

ANTI TUOMAINEN



CZŁOWIEK, KTÓRY UMARŁ

PRZEWROTNA POWIEŚĆ KRYMINALNA,
W KTÓREJ OFIARA SAMA SZUKA
SWOJEGO ZABÓJCY!

ALBATROS

ANTTI TUOMAINEN



CZŁOWIEK, KTÓRY UMARŁ

Z fińskiego przełożyła
Iwona Kiuru

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
MIES JOKA KUOLI

Copyright © Antti Tuomainen 2016

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp.
z o.o. 2019

Polish translation copyright © Iwona Kiuru 2019

Redakcja:
Marta Gral

Projekt graficzny okładki:
Tommi Tukiainen/Like Publishing Ltd.

Opracowanie graficzne okładki polskiej:
Kasia Mieszka

ISBN 978-83-8125-530-1

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Spis treści](#)
[O książce](#)
[O autorze](#)
[Dedykacja](#)
[Motto](#)

CZEŚĆ I. ŚMIERĆ

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[8](#)

CZEŚĆ II. ŻYCIE

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[8](#)
[9](#)
[10](#)
[11](#)
[12](#)
[13](#)
[14](#)

15

16

17

18

19

20

21

CZĘŚĆ III. MIŁOŚĆ

1

2

EPILOG

Nominowana do Petrona Award, nagrody za najlepszy skandynawski kryminał, a także do Last Laugh Award, przyznawanej w Wielkiej Brytanii za najzabawniejszą powieść detektywistyczną. Zaliczona przez „Irish Times” do 20 najlepszych kryminałów 2017 roku.

**ŻYCIE CZASEM ZMUSZA DO ROBIENIA DZIWNYCH RZECZY.
NA PRZYKŁAD DO SZUKANIA WŁASNEGO ZABÓJCY.**

Jaakko Kaunismaa, trzydziestosiedmioletni właściciel nieźle prosperującej firmy eksportującej do Japonii fińskie grzyby, raczej nie marzył o zostaniu detektywem. Ale po wizycie u lekarza, który informuje go, że jest od dłuższego czasu podtruwany i nie ma dla niego ratunku, nie pozostaje mu nic innego, jak odnaleźć swojego mordercę. Zwłaszcza że po powrocie z kliniki zastaje w domu żonę z pracownikiem firmy – w sytuacji, która nie pozostawia wiele pola wyobraźni.

Kto czyha na życie Jaakka? Niewierna żona i jej kochanek? Właściciel nowej konkurencyjnej firmy? Czy może ktoś inny?

JJaakko nie ma dużo czasu na znalezienie odpowiedzi. Kilka tygodni, dni, a może tylko parę godzin...

Błyskotliwa czarna komedia nawiązująca do najlepszych tradycji skandynawskiego thrillera. Ukłon w stronę braci Coenów i Fargo. Genialny przykład na to,

**jak elastyczny jest gatunek kryminału. Perełka w dorobku
króla Helsinki noir.**

ANTTI TUOMAINEN
(ur. 1971 r. w Helsinkach)

Fiński pisarz, autor siedmiu powieści kryminalnych, których tłumaczenia ukazały się w 27 krajach. Zanim poświęcił się karierze literackiej, pracował w agencjach reklamowych jako copywriter. Debiutował w 2006 r. Międzynarodowy rozgłos przyniosła mu wydana w 2011 r. powieść **Uzdrowiciel**, która dobyteła tytuł Najlepszej Fińskiej Powieści Kryminalnej i była nominowana do prestiżowej skandynawskiej Nagrody Szklanego Klucza.

Kolejna, **Czarne jak moje serce**, została uznana przez fińskich czytelników za najlepszy kryminał ostatniej dekady.

Obecnie Tuomainen razem z żoną mieszka w Helsinkach, a kiedy nie pracuje nad nowymi powieściami, pisze opowiadania i artykuły dla prasy.

Tego autora

UZDROWICIEL
CZARNE JAK MOJE SERCE
KOPALIŚMY SOBIE GRÓB
CZŁOWIEK, KTÓRY UMARŁ

Dla Anu
Z miłością, raz jeszcze

Zastrzeżenie

Twórca pozwolił sobie na sporą dowolność artystyczną co do faktów geograficznych, medycznych, przyrodniczych i czasowych.

W pozostałych kwestiach niniejsza historia jest całkowicie prawdziwa.

*He was some kind of a man.
What does it matter what you say about people?*

Marlene Dietrich, *Dotyk zła*

CZĘŚĆ I
ŚMIERĆ

1

– To naprawdę wielkie szczęście, że zostawił pan także próbkę moczu.

Z podłużnej twarzy siedzącego za stołem lekarza bije powaga i doniosłość. Ciemne oprawki okularów podkreślają błękit oczu, przesywających mnie na wylot.

– To... – rozpoczyna – będzie wymagało odrobiny wstępu. Kontaktowałem się z lekarzami z Kotki i Helsinek. Ich opinie całkowicie pokrywają się z wnioskami, do których doszliśmy. Nie mogliśmy zrobić niczego, nawet gdybyśmy to zauważyli podczas pańskiej poprzedniej wizyty. Jak się pan czuje?

Wzruszam ramionami. Powtarzam to, co powiedziałem poprzednim razem, i dodaję jeszcze najnowsze objawy. Wszystko rozpoczęło się od nagłego i bardzo silnego ataku nudności, który dosłownie zwalił mnie z nóg. Potem poczułem się lepiej, ale tylko na chwilę. Co jakiś czas słabnę tak, że boję się utraty przytomności. Miewam napady kaszlu. Stres nie daje mi spać. Kiedy zasypiam, dręczą mnie koszmary. Często boli mnie głowa i czuję się tak, jakby ktoś mi ją podrzynał od środka na wysokości oczu. Gardło mam wiecznie zaschnięte. Ataki nudności, które znów się pojawiły, nadchodzą niespodziewanie.

A wszystko właśnie teraz, kiedy nasza firma przygotowuje się na najgorętszy okres roku, na swe największe wyzwanie i najważniejszy zryw od początku jej istnienia.

– Otóż to – potwierdza lekarz. – Otóż to.

Nie odpowiadam ani słowem, a on milczy.

– W grę nie wchodzi przedłużające się uciążliwe przeziębienie, jak początkowo przypuszczaliśmy – odzywa się po chwili. – Bez próbki moczu w ogóle nie udałoby się tego wykryć. Po otrzymaniu wyników postanowiliśmy wykonać tomografię, dzięki której całość zaczęła nabierać konkretnych kształtów. Problem w tym, że pańskie nerki, wątroba i trzustka, a więc najważniejsze i największe narządy, są bardzo poważnie uszkodzone. Z tego, co pan mówi, wnioskuję, że został również uszkodzony ośrodkowy układ nerwowy. Niewykluczone, że cierpi pan na porażenie mózgowe. To wszystko jest bezpośrednim skutkiem zatrucia, które zdołaliśmy stwierdzić na podstawie próbki moczu. Stopień toksyczności, czyli ilość trucizny, ma taki poziom, że zaszkodziłby nawet hipopotamowi. To, że nadal pan tu siedzi i chodzi do pracy, jest w moim przekonaniu możliwe dlatego, że proces zatruwania odbywał się od bardzo długiego czasu. Trucizna gromadziła się w pańskim organizmie od tak dawna, że zdążył się pan do niej w pewnym sensie przyzwyczaić.

Upadek odbywa się wewnątrz, jakby coś, co jest we mnie, oderwało się i runęło w lodowatą przepaść. To trwa parę sekund. Potem kończy się – i oto znów siedzę na krześle naprzeciwko lekarza, jest wtorek, a ja zaraz pojedę do pracy. Czytałem o ludziach, którzy zachowują rozsądek podczas pożarów albo po tym, jak zostali postrzeleni, i nie wpadają

w panikę, choćby wylewały się z nich wiadra krwi. Patrząc lekarzowi prosto w oczy i zachowuję się tak, jakbym czekał na autobus.

– Powiedział pan, że pracuje w branży grzybowej – odzywa się lekarz.

– Matsutake nie są trujące – odpowiadam. – A zbiory dopiero się zaczną.

– Matsutake?

Nie wiem, jak daleko w przeszłość mam sięgać.

Wybieram krótką wersję: w Helsinkach żona pracowała w dużym zakładzie jako kucharka, a ja byłem kierownikiem sprzedaży. Trzy i pół roku temu kryzys uderzył w nasze miejsca pracy i w tym samym czasie oboje dostaliśmy wypowiedzenie. Równocześnie Hamina – podobnie jak dziesiątki innych mniejszych miast – gorączkowo poszukiwała nowej działalności gospodarczej na miejsce zlikwidowanego portu i fabryki papieru. Przeprowadziliśmy pospieszne negocjacje i otrzymaliśmy hojne wsparcie na start firmy – właściwie darmowe pomieszczenia i siłę roboczą obeznaną w lasach i okolicach. Sprzedaliśmy nasze dwupokojowe mieszkanie w Oulunkylä, na przedmieściu Helsinek, i za otrzymane pieniądze kupiliśmy w Haminie domek jednorodzinny oraz małą łódź z włókna szklanego, która jest zacumowana przy pomoście, jakieś siedemdziesiąt metrów od naszej skrzynki na listy.

Pomyśl na firmę: matsutake, czyli gąska sosnowa.

Japończycy mają na jej punkcie fioła, w Finlandii jest jej pełno.

Japończycy płacą za młode grzyby nawet tysiąc euro za kilogram. Na północ i wschód od Haminy są lasy, w których

gąski sosnowe można by ścinać kosą. A my mamy na miejscu lokal do obróbki – suszarnię, pakownię i chłodnię – oraz pracowników. W czasie zbiorów raz w tygodniu wysyłamy transporty do Tokio.

Muszę wziąć oddech. Lekarz nad czymś się zastanawia.

– A pański tryb życia tak poza tym?

– Słucham?

– Jedzenie, ruch?

Mówię, że jem dobrze. Nie narzekam na brak apetytu. Odkąd spotkałem Tainę, czyli od ponad siedmiu lat, ani razu sam nie musiałem przygotowywać posiłku. A Taina nie gotuje potraw, w których łyżeczka purée z selera rozpaczliwie szuka pojedynczego źdźbła trawy pszenicznej. Składnikami, które preferuje moja żona, są śmietana, sól, masło, sery i wieprzowina w dużych ilościach. Lubię jej kuchnię, zawsze lubiłem. To widać po mojej talii. Ważę dwadzieścia cztery kilo więcej niż na naszej pierwszej randce.

Taina nie przytyła, może dlatego, że jest bardziej krzepkiej budowy. Wygląda jak zawodniczka trójboju siłowego na chwilę przed olimpiadą. Myślę tak w najpiękniejszym znaczeniu tego słowa: uda Tainy są jędrne, krągłe i mocne. Ramiona szerokie, a ręce silne, ale nadal kobiece, brzuch płaski. Kiedy oglądam zdjęcia kulturystek, które nie doprowadziły się jeszcze do stanu wygłodzenia, myślę o mojej żonie. Poza tym Taina uprawia sport: chodzi na aerobik, siłownię i – odkąd przeprowadziliśmy się tutaj – wiosłuje po zatoce. Czasami próbuję jej towarzyszyć. Fakt, że ostatnio coraz rzadziej.

Nie wiem, dlaczego tyle mówię, tak rozwlekle, dlaczego w ogóle muszę opowiadać o Tainie ze wszystkimi

szczegółami. Brakuje tylko, bym przedstawił jej wymiary z dokładnością co do centymetra.

Wreszcie – kiedy lekarz, z tego, co widzę, nie kieruje swych uzdrawiających oczu tam, gdzie bym sobie tego życzył – pytam, co zrobimy. Spogląda na mnie, jakby właśnie zrozumiał, że nie usłyszałem ani słowa z tego, co powiedział. Za szklami okularów dostrzegam ruch mrugających powiek.

– My nie będziemy robić nic – odpowiada.

Skąpany w świetle gabinet jest tak pełen lata i słońca, że muszę zmrużyć oczy.

– Przykro mi – mówi lekarz. – Być może nie wyraziłem się wystarczająco precyzyjnie. Nie potrafimy określić, jaka dokładnie trucizna wchodzi w grę. Wygląda to na połączenie wielu składników pochodzenia naturalnego. I podobnie jak trucizna, również zatrucie w sensie toksykologicznym wydaje się, na podstawie pańskich objawów i słów, optymalnym połączeniem nadzwyczaj długotrwałego narażenia na działanie środków toksycznych z rozwiniętą do granic tolerancją. Nie możemy niczego zrobić. Nie istnieje nic takiego, co mogłoby przywrócić normalny stan albo przynajmniej zatrzymać ten proces. Może nas co najwyżej interesować, ile potrwa, aż organizm po prostu przestanie funkcjonować. I niestety prowadzi to do śmierci.

W tej zalanej słońcem letniego dnia przestrzeni ostatnie słowo brzmi szczególnie groteskowo. To słowo znalazło się w niewłaściwym miejscu. Ja znalazłem się w niewłaściwym miejscu. Przyszedłem tu z powodu przeziębienia, myślę. Pewnie także z powodu bólów brzucha i osłabienia. Chcę usłyszeć, że potrzebuję odpoczynku i antybiotyków, może,

w najgorszym wypadku, płukania żołądka, a potem wyzdrowieję i będę mógł...

– Tę sytuację można by porównać do raka trzustki albo marskości wątroby – ciągnie lekarz. – Kiedy ważny organ przekracza swój próg wydajności, nie wraca już do swojego pierwotnego stanu, tylko niejako ciągnie do ostatka, wypala się i stopniowo gaśnie jak świeca. Nie zostaje nic do zrobienia. Organu nie można również przeszczepić, ponieważ zostały zniszczone także narządy z jego otoczenia i w żaden sposób nie zdołałyby wesprzeć funkcjonowania tego wszczepionego, wręcz przeciwnie, że się tak wyrażę. A w pańskim przypadku każdy organ jest w stanie daleko posuniętej degeneracji. I w tym właśnie może tkwić sekret stosunkowo dobrego samopoczucia, w tej specyficznej równowadze złych mocy.

Spoglądam na niego. Przechyla odrobinę głowę.

– Wszystko jest oczywiście względne – dodaje.

Siedzi za swoim stołem. Siedzi tam dziś i będzie siedział jutro, i jeszcze w przyszłym tygodniu. Ta myśl dopada mnie z wielką siłą i dopiero po chwili rozumiem, dlaczego mnie nurtuje.

– Ile... – zaczynam. O takie rzeczy pyta się tylko raz w życiu, teraz to do mnie dociera. – Jak długo... Do kiedy... Czy ja... Ile zostało mi czasu?

Lekarz, który będzie pracować w swoim zawodzie jeszcze przez co najmniej dziesięciolecie, a potem przeżyje na emeryturze kolejne dziesięć albo i dwadzieścia lat, poważnieje jeszcze bardziej.

– Biorąc pod uwagę całościową sytuację... – odpowiada. – Dni, najwyżej tygodnie.

Najpierw chcę krzyczeć. Cokolwiek. Potem chcę uderzać, bić. Potem robi mi się niedobrze. Przełykam ślinę.

– Nie wiem, jak to możliwe – mówię.

– To połączenie wszystkich...

– Nie o to mi chodzi.

– Otóż to.

Milczymy.

Odnoszę wrażenie, że lato zamienia się w jesień, zimą, wiosną, znowu w lato. Lekarz spogląda na mnie pytająco, przesuwając po blacie stołu niebieską kartkę. Dostrzegam na niej moje dane, wypisane dużymi literami. Jaakko Mikael Kaunismaa. Numer identyfikacyjny 081178-073H.

– Czy ma pan jakieś życzenia?

Chyba sprawiam wrażenie zdziwionego, bo lekarz precyzuje pytanie:

– Terapia kryzysowa? Pomoc psychiatryczna? Miejsce opieki paliatywnej albo hospicjum domowe? Łagodzenie bólu? Leki uspokajające?

Muszę przyznać, że tego typu sprawy nie zaprzętały mi wcześniej głowy. Nie rozmyślałem zbyt dokładnie o schyłku swego życia. Na żadnej mojej liście nie znalazły się takie akurat kwestie. Śmierć nadchodzi tylko raz w życiu, uprzytamniam sobie, i może należało bardziej w nią inwestować. Ale ja zawsze jej unikałem, a także wszystkiego, co się z nią łączy. Teraz rozumiem, jak wielkie to pytania, jak przełomowe decyzje. Przez ostatnie siedem lat wszystkie przełomowe decyzje podejmowałem wraz z żoną. Od Helsinek do Haminy, od gąski sosnowej do łodzi motorowej.

– Muszę pomówić z żoną – odpowiadam.

Kiedy słyszę własne słowa, wiem, że tak właśnie jest:
muszę porozmawiać z Tainą, a cała reszta wyjaśni się potem.

2

Asfalt dyszy i wibruje. Wiatr zapomniał o swojej jedynej powinności: wianiu. Z każdej strony jest tak zielono, a powietrze tak bardzo duszne, że czuję się, jakby ktoś mnie zanurzył w gęstym mchu. Ściskam w spoczonej dłoni komórkę. Nie wiem dlaczego. Nie zamierzam nigdzie dzwonić. O takich sprawach nie mówi się przez telefon. Odklejam od skóry koszulę, lecz materiał w jednej chwili przywiera z powrotem do ciała.

Wsiadam do samochodu, uruchamiam silnik i nastawiam klimatyzację na maksa. Kierownica pod moją ręką jest mokra i bezwładna. Jeśli ten spokój wynika z tego, że jestem w szoku, to nie mam nic przeciwko.

Wyruszam ze szpitala i skręcam w prawo. Powinienem skręcić w lewo – to najprostsza droga – ale potrzebuję paru minut, chcę zebrać myśli.

Pomieszczenia naszej firmy znajdują się po drugiej stronie wieży ciśnień, w dzielnicy Hevoshaka. Jadę w kierunku rzeki Salmenvirta aż do końca drogi, potem skręcam w lewo i podążam wzdłuż cieśniny do Savilahti. Spomiędzy drzew i budynku prześwituje morze niebieskie jak mundur policjanta. Ktoś poprawia przed domem kostkę brukową,

która była ułożona bez zarzutu, jakaś kobieta z falującymi włosami pedałuje od strony rynku, rowerowy koszyk wypełniają zakupy. Jest za pięć jedenasta. Przedpołudnie w Haminie.

Wjeżdżam na Mannerheimintie, skręcam w lewo. Z Mullinkoskentie skręcam powtórnie w lewo na Teollisuuskatu. Hevoshaka to mała dzielnica i z wyglądu zadziwiająco niejednolita. Można tam znaleźć wszelkie wariacje budynków mieszkalnych i biurowych, od wielkich do małych, od domków jednorodzinnych do bloków, od budek z hot dogami aż po hale przemysłowe.

Nasza firma zajmuje w całości jednokondygnacyjny żółto-brunatny budynek z małym punktem przeładunkowym na jednym końcu oraz pomieszczeniami saunowymi i tarasem na drugim. Nie dostrzegam nigdzie samochodu Tainy. Może jeszcze nie przyjechała. Albo wyskoczyła do domu na lunch. Czasami tak robi. Ja niezbyt chętnie opuszczam firmę w trakcie dnia pracy. Rozbija mi to wewnętrzny zegar i kalendarz. Wolę spędzać dzień w pracy i wracać do domu wieczorem, to łatwiejsze i bardziej przejrzyste. Wtedy te miejsca pozostają rozdzielone, praca nadal jest pracą, a dom tym bardziej domem.

Zawracam przed budynkiem firmy i kieruję się na wyspę Pappilansaari. Telefon mam przy sobie, pomiędzy nogami.

Mówią, że Hamina jest okrągła. To dotyczy jednak tylko samego serca miasta: ratusza i kilku okrążających go ulic. Poza tym miasto jest równie prostokątne jak wszystkie inne.

Rynek huczy.

Oprócz miejscowych sprzedawców dostrzegam wszystkie stałe elementy krajobrazu: ciągnące się metrami stwardniałe

pałeczki lukrecji, lniane podkładki do sauny w obrzydliwie wygórowanych cenach, majtki pieluchowe w paczkach po dziesięć, dwadzieścia i sto sztuk.

Co jakiś czas powraca do mnie myśl o śmierci, ale skupienie się na niej jest właściwie niewykonalne, zwłaszcza że chodzi o własną śmierć. Sekundę później zastanawiam się już nad czymś na wskroś powszednim: nad dzisiejszą listą zakupów, firmowymi wydatkami.

Po kilku minutach przejeżdżam przez most Pappilansalmi. Nasze miasteczko to skupiska domów porozrzucane po przylądkach, wyspach i obszarach leśnych. Podłużne odnogi morza wdzierają się pomiędzy ludzi i budynki, połykają zielone skrawki ziemi.

Z daleka dostrzegam bordowego hyundaia Tainy. Za nim wyrasta kawałek po kawałku błyszcząca czarna corolla. Pewnie dopiero co wymyta. Zatrzymuję samochód przy ulicy, kawałek przed wjazdem do domu, i wyłączam silnik.

Czy Taina coś wspominała, że przyjedzie do nas Petri?

Czasami moja żona zostaje w domu, by wypróbować nowe przepisy, i Petri jej pomaga. Petri to pierwszy pracownik, którego zatrudniliśmy. Zna nasze sprzęty i maszyny, instaluje i naprawia wszystko, co trzeba. Poza tym zna na wylot każdą drogę, każdy zakręt i zakole w promieniu pięćdziesięciu kilometrów i pomaga nam w najprzeróżniejszych problemach logistycznych.

No dobrze, myślę, wysiadając z samochodu, powiem Petriemu, że musi wrócić na Teollisuuskatu, bo kalibrownik się zablokował. Coś na pewno wymyślę. A potem posadzę Tainę na kanapie i powiem... Nie wiem co, ale jedno jest pewne: nie będę musiał niczego zmyślać.

Mieszkamy w ostatnim budynku na zwężającej się ku końcowi zwirowej drodze. Elewacja jest radośnie żółta, po drugiej stronie domu ciągnie się zielone podwórze ozdobione krzewami owocowymi i starymi klombami, opadające do porośniętego sitowiem brzegu. Pośrodku znajduje się dziesięciometrowy taras, z którego można oglądać morze w całkowitym spokoju; również przeciwległy brzeg jest wystarczająco odległy.

Wspinam się po prowadzących do drzwi wejściowych schodach od strony ulicy. Ostatnimi czasy wciąż mam zadyszkę. Sądziłem, że to sprawa przeziębienia, że może w grę wchodzi zapalenie oskrzeli lub w najgorszym wypadku zapalenie płuc. Opuszczam rękę na poręcz i chwilę odczekuję. Słyszę odgłos nadlatującego hydroplanu.

Bogaci Rosjanie wybudowali sobie w okolicy pałace z widokiem na morze, a niektórzy mają na swoich przystaniach oprócz jachtu własny hydroplan. Hałasują nimi w lecie przez rok lub dwa lata, a potem wystawiają cały chłam na sprzedaż i oczywiście nie mogą znaleźć kupca ani na swój samolot na płozach, ani na willę. W podupadającej miejscowości, zamieszkannej przez starzejące się społeczeństwo i dotkniętej wysokim bezrobociem, irracjonalni milionerzy nie wyrastają jak grzyby po deszczu.

Hydroplan jest coraz bliżej.

Poręcz staje się nagle zimna. Odrywam od niej dłoń, otwieram drzwi i wołam „Cześć!” na powitanie. Nikt nie odpowiada. Może są w kuchni. Przechodzę przez cały dom na drugą stronę, gdzie znajduje się kuchnia. Drewniana podłoga skrzypi mi pod nogami.

Pomieszczenie jest puste, wszędzie panuje porządek. Na kuchence nie dymi z ani jednej patelni czy garnka, gołe blaty aż błyszczą, nie unosi się żadna woń. Wołam Tainę po imieniu.

Hydroplan brzęczy dokładnie nad naszym domem, mój głos ginie w podniebnym szumie. Kieruję się do tylnych drzwi, otwieram je i wchodzę na szczyt schodów. W hałasie hydroplanu ginie szcęk otwieranych drzwi, a także jęknięcie, które wydobywa mi się z gardła.

Taras się kołysze.

Albo to ja się kołyszę.

Nie, to taras jest w ruchu.

Moje wyostrzone zmysły rejestrują – niezależnie od brzęczenia hydroplanu, który na błękitnym, ciepłym niebie wykonuje tuż nade mną ostry łuk – jak trzeszczy metalowy leżak firmy Masku, jak piszczą włókna sztuczne ocierających się o siebie biało-czerwonych poduszek i jak po prawej stronie leżaka zakupiony w Bauhausie niemiecki grill na kółkach przesuwany zgrzytliwie milimetr po milimetrze ku brzegowi tarasu i jak z powodu niespokojnych ruchów cierpi huśtawka po lewej, a pelargonie w kącie sprawiają wrażenie, jakby były gotowe w każdej chwili rzucić się do sprintu.

Petri spoczywa na leżaku na plecach, stopami do mnie i domu. Głowę odrzucił do tyłu ponad oparciem, w pozycji wręcz nienaturalnej. Patrzy na morze do góry nogami, jeśli ma otwarte oczy. Nie wiem, czy starcza mu na to sił. Taina robi wszystko, by miał zaciśnięte powieki.

Moja żona jest odwrócona plecami do mnie. Jej szerokie plecy błyszczą od potu, silne krągłe pośladki lśnią niczym wielkie rumiane policzki. Cwałuje na Petrim, jakby

próbowała wjechać na górskie zbocze. Nogi trzyma stabilnie na deskach tarasu, a jej biodra równomiernie pompują, by koń zwyciężył samego siebie. Imponująca praca. Twarz skierowała ku niebu. Być może widzi ten sam hydroplan co ja.

Tempo narasta. Narasta, choć powinno to być niemożliwe.

Widzę łom oparty o ścianę szopy.

Właśnie wtedy nadchodzi atak nudności. Torsje są tak silne, że omal nie zwalają mnie z nóg.

Przytrzymuję się obiema rękami poręczy. Wymiociny lecą strumieniem w stronę tarasu.

Hydroplan trzęsie całym budynkiem. Wycofuję się – automatycznie i prowadzony wewnętrzną siłą – do środka i zamykam za sobą drzwi.

Czuję, jak powietrze wypełnia mi płuca. Przez jakiś czas nie oddychałem. Prostuję się.

Odgłosy hydroplanu słyszeć coraz słabiej, jakby w sąsiednim pokoju brzęczała mucha. Wiem, że to, z czym tutaj przyszedłem, nie może w żaden sposób zostać wypowiedziane, nie zasługuje na to, i że rzeczą, której pragnę teraz najbardziej na świecie, jest klimatyzacja w moim samochodzie.

3

Co jakiś czas zbaczam na przeciwległy pas i wciąż próbuję mierzyć ze środka jezdni na prostą. Droga podskakuje, kołysze się. Na szczęście ulice są pustawe, turyści opanowali rynek lub morze, a miejscowi załatwiają swoje sprawy w centrum albo z samego rana, albo pod wieczór. Jest południe, chwila wytchnienia.

W mojej głowie nie ma takiego spokoju. Wściekłość przemienia się we wstrząs, kolosalne rozczarowanie, nagie zimno, które nie ma konturów ani dna. Potem znów na powierzchnię wypływa wściekłość. Co jakiś czas widzę przed sobą poważną twarz lekarza i jego biały fartuch, po chwili znów mam przed oczami krągłe uda Tainy, pompujące jak na zawodach w podnoszeniu ciężarów.

Klimatyzacja pracuje z maksymalną mocą.

Zimne powietrze uspokaja mrowiącą skórę i oczy swędzące od potu.

Znowu czuję, że moja twarz należy do mnie.

Chyba mam kierunek.

Miejsce do parkowania jest przed komisariatem. Dwupiętrowy budynek sprawia wrażenie spokojnego. To na tym placu jedyna nowoczesna budowla. Po obu stronach

ratusza znajdują się kościoły: z południowo-wschodniej – cerkiew; z północno-zachodniej – kościół luterański. Tworzą gęsto zabudowany okrąg, otoczony stu pięćdziesięcioletnimi drewnianymi budynkami; są odrestaurowane, piękne, zdobne. Gdyby znajdowały się w Helsinkach, mogliby w nich mieszkać ci, którzy wygrali wcześniej w totka.

Byłem raz na komendzie, miesiąc temu. Złożyłem wówczas zawiadomienie o kradzieży. Sprzed budynku naszej firmy wywieziono materiały opakowaniowe. Wiedziałem, kto to zrobił. Zabawiłem się trochę w detektywa. Nie mogłem jednak niczego udowodnić, a policja nie zareagowała zbyt entuzjastycznie na moją teorię. Musiałem więc zamilknąć, odebrałem kopię zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa, żeby wysłać ją do ubezpieczyciela, a potem wróciłem do pracy i usłyszałem od Tainy, że zawsze zbyt łatwo daję za wygraną.

Co w obliczu tego, co zdarzyło się przed chwilą, sprawia, że myślę o swojej sytuacji w zupełnie nowych kategoriach.

Wyłączyłem silnik. Pożerająca wszystko fala klimatyzacji znika, a w jej miejsce pojawia się przedziwny spokój. Jestem przekonany, że słyszę jadącą na rowerze dziewczynę w letniej spódniczce, słyszę wiatr w jej falbanach, koła na asfalcie, słyszę dyskusję na temat niebieskich bratków prowadzoną przed kwaciarnią i szum chłodziarek w budce z lodami. Pytam samego siebie, co mi się przydarzyło, i znam odpowiedź.

Otwierają się drzwi komendy.

Wychodzi z niej mężczyzna w moim wieku, rozgląda się ze złością, naciera na swój samochód, jakby zamierzał zmiążyć siedzenie, po czym z piskiem opon rusza

w kierunku Szkoły Oficerów Rezerwy i znika. Właśnie tak, myślę. Jakich to błędów nie popełniamy, kiedy działamy w pośpiechu, w gniewie, w afekcie!

Zaledwie kilka sekund wcześniej sam miałem wbiec na komendę – żeby co im powiedzieć?

„Umieram, chyba mnie otruto, choć nie mogę tego udowodnić. Moja żona pieprzy się w ogródku z naszym młodym pracownikiem Petrim. Co policja zamierza z tym zrobić?”

Zdaję sobie sprawę, jak głupio i niemęsko to wszystko by zabrzmiało.

Jeśli wkrótce umrę – wolę mówić „jeśli” niż „kiedy” – nie zamierzam spędzać ostatnich dni życia na posterunku policji małego miasta i obnażaniu swoich prywatnych spraw. Zwłaszcza że to do niczego by mnie nie zaprowadziło. Co z tego – nawet gdyby myśli kłębiące mi się w głowie okazały się słuszne – że moja żona i jej o dziesięć lat młodszy kochanek postanowili mnie otruć?

Ta myśl nasza mnie sama z siebie, skądś się pojawiła, nie ja na to wpadłem. Ale jest w tym jakaś logika: jak uprzątniemy starego grubasa, to po wszystkich naszych grach wstępnych przejdziemy wreszcie do konkretów. Tylko dlaczego nie rozwód? Nie mam pojęcia.

Ale nawet zakładając, że to ich sprawka, to co z tym zrobić? I kiedy? I co mi z tego przyjdzie?

Nic. Będę martwy.

Jestem martwy tak czy inaczej.

Wysiadam z samochodu. Upał porywa mnie w objęcia, powietrze jest nieruchome. Rozglądam się, głęboka zieleń bijąca z drzew świadczy o tym, że nadeszła pełnia lata.

Z budynku komendy wychodzi dwóch umundurowanych policjantów. Młodzi mężczyźni z bronią przy pasie. Jeden z nich zerka w moją stronę. Uśmiecham się i kiwam głową na powitanie. Wygląda, jakby się zastanawiał, czy mnie zna. Nie zna. Niby skąd miałby mnie znać. Patrzy znów przed siebie, zasłuchany w słowa kolegi. Mijamy się, dzieli nas co najwyżej półtora metra.

W budce z lodami pracuje nastolatka. Ma długie ciemne włosy i długie opalone ręce. Uśmiecha się w naturalny sposób, ta dziewczyna jest wcieleniem lata.

Zamawiam najpierw gałkę lodów rumowych z rodzynkami, potem drugą bananowych z lukrecją i kiedy sprzedawczyni wręcza mi rożek, decyduję się na jeszcze jeden smak tradycyjną wanilię. Dziewczyna dociska szczelniej gałki i podaje mi loda, który ma wysokość niemal pół metra. Płacę banknotem pięćdziesięcioeurowym, resztę wpycham do miseczki na napiwki. Dziękuje mi kryształowym głosem. Życzę jej wszystkiego słonecznego.

Z rożkiem w ręce siadam na kamiennym ogrodzeniu. Zlizuję wąskie strużki, które spływają z lodowej wieży. Nie czuję właściwie nic. Jestem, gdzie jestem. Przychodzi mi na myśl, że w gruncie rzeczy zawsze tak było. Tyle że wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Zerkam jeszcze w stronę komendy. Z kimś jednak muszę porozmawiać. Może nie akurat w tej chwili, kiedy mam usta pełne słodkich, pysznych, kremowych lodów, ale wkrótce. Od tej pory wszystko będzie wkrótce.

Moi rodzice nie żyją. Byłem jedynym dzieckiem starszego małżeństwa, nie mam brata, siostry ani bliskich krewnych. Nie utrzymuję kontaktów z przyjaciółmi z młodości. Nie mam

znajomych, z którymi łączy mnie hobby, nie mam kolegów z pracy. Przebiegam w myślach kolejne twarze, głosy, sylwetki. Ludzie pojawiają się jeden za drugim, by coś powiedzieć, dotknąć mnie, spojrzeć w oczy, przejść się kawałek, podejść, a potem tym pewniej odejść. Nikt nie zostaje, nikt się nie zatrzymuje, nikt nie czeka, co powiem. Powoli zaczynam tracić nadzieję.

Lody poprawiają mi nastrój. Czuję się tak, jakbym dostał prosto w żyłę solidną dawkę porządnego stymulanta. Albo tak to sobie wyobrażam. Niewykluczone, że już nie zdążę w tym życiu zażyć dożylnie narkotyków, więc wszelkie porównania pozostają na poziomie wyobrażeń i założeń. Ale czy tak samo nie jest z niemal wszystkim innym? Czym więcej jest nasze życie niż myślami, wyobrażeniami, oczekiwaniami, założeniami i wnioskami wyciąganymi na chybił trafił?

Nigdy wcześniej nie zaprzętałem sobie głowy takimi refleksjami. Nie wiem, czy powinno mnie to cieszyć, czy martwić.

Dobrze mi z lodami w żołądku. Już sam ten fakt jest zwycięstwem.

Raz jeszcze robię w głowie rejestr osób ze swojego życia i wreszcie znajduję kogoś, kto być może będzie się nadawał.

Krótką jazdą do pracy przebiega lepiej niż poprzedzającą ją amok. Prawą ręką trzymam kierownicę, lewą zwieszam z otwartego okna. Pozwalam, by lato wiało mi w twarz.

Miasto jest ciche i ciepłe. Jadę Mannerheimintie i po raz pierwszy zauważam park po obu jej stronach. Po lewej obniża się on ku urokliwej sadzawce otoczonej drzewami, po prawej

zielen pęcznieje pagórkami w kształcie dawnych wałów obronnych.

Wreszcie skręcam na Teollisuuskatu, ale nie zatrzymuję się przed naszą firmą. Dobiega mnie głos Tainy. Słyszę konkretny ton, ten sam, którego użyła, mówiąc, że nie doprowadzam spraw do końca, że zbyt łatwo daję za wygraną. Ten głos łączy się z widokiem, którego świadkiem byłem przed chwilą. Ogarnia mnie wściekłość.

Przejeżdżam jeszcze jakieś siedemset metrów. Potem Teollisuuskatu skręca o dziewięćdziesiąt stopni na lewo i zmienia nazwę. Mijam granatowy budynek.

Spółka Grzyby Hamińskie.

Trzech mężczyzn, którzy pół roku temu pojawili się znikąd.

Kontaktowali się z naszymi partnerami z Japonii. Wiem, że obiecali im niższe ceny i lepszą jakość. Połączenie, rzecz jasna, niemożliwe. Jako handlowiec rozumiem jednak, że w uszach klienta taki tekst brzmi niczym najśłodsza muzyka. Nie mam pojęcia, czym zamierzają skusić dobrych zbieraczy, jak chcą wszystko zorganizować. Nie może chodzić o pieniądze, bo ich firma nie ma ani jednego klienta na taką skalę jak my.

Podwórce jest puste. Zazwyczaj przed budynkiem stoi ozdobnie oklejona furgonetka. Czasem jedne z wielkich drzwi automatycznych są otwarte, ze środka dobiegają dźwięki najnowszych fińskich hitów, a na kanapie wyniesionej na zewnątrz siedzi przynajmniej jeden z mężczyzn i pali papierosa. Teraz wszędzie panuje cisza, budynek sprawia wrażenie opustoszałego.

Przejeżdżam kawał drogi i zawracam. Ponownie zbliżam się do granatowego budynku i wyostrzam wzrok. Nikogo. Zatrzymuję się przy drodze, ale potem decyduję się wjechać na podwórze.

Dzień dobiega dopiero do połowy, a ja już jestem tutaj. Wydarzenia poranka wydają się nieprawdopodobnie odległe. Zdejmuję nogę ze sprzęgła, zajeżdżam łukiem przed budynek i wysiadam.

W długiej ścianie widzę dwoje drzwi: automatycznie otwierane i zwykłe. Obok tych drugich dostrzegam dzwonek, naciskam. Po chwili naciskam powtórnie. Nikt nie otwiera, nie słyszę też kroków dochodzących z wewnątrz. Próbuję klamki. Drzwi otwierają się po naciśnięciu. Wchodzę do środka, nawołuję. Zero odpowiedzi.

Od razu mam przed sobą coś w rodzaju biura, przez które muszę przejść, aby dostać się do innych pomieszczeń. Zatrzymuję się. Stoły i półki są puste. Laptop leżący samotnie na jednym ze stołów i krzesło biurowe odwrócone w kierunku drzwi świadczą o tym, że ktoś wykonywał tu kiedyś jakąś pracę i pośpiesznie wyszedł. Pomieszczeniem zawładnął wiszący na ścianie powiększony i oprawiony w ramki portret. Spojrzenie prezydenta Kekkonena wbija mi się w czoło i nie daje spokoju, chociaż skręcam i idę dalej.

W kuchnię i pomieszczenie socjalne ktoś musiał nieźle zainwestować. Zainwestować tak, jak robią to mężczyźni, jeśli dać im odrobinę czasu na zajmowanie się wyposażeniem wewnątrz. Wysoki barek oraz duża oszklona szafa na napoje świadczą o tym, że ktoś tu bardzo lubi piwo. Wśród butelek królują estońskie browary, wybór jest imponujący.

W kuchni panuje porządek. Na lewo widać pomieszczenie rekreacyjne wyposażone w kanapy, wielki telewizor i godny pozazdroszczenia zestaw stereo. Przeglądam uporządkowaną kolekcję CD i DVD. Płyty z hitami i filmy akcji, od Arttu Wiskariego do Vina Diesela. Do sufitu jest przymocowany worek treningowy. Na ścianie wiszą czerwone rękawice, pod nimi piętrzą się ciężarki.

Kiedy się odwracam, widzę na przeciwległej ścianie coś totalnie odmiennego.

Muszę podejść bliżej, żeby się przyjrzeć. Oglądałem kilka filmów samurajskich. Miecze ze ściany wyglądają tak samo jak te, które błyszczą w rękach poważnych filmowych bohaterów. Ostrożnie wydostaję z uchwytu jeden z nich. Wyjmuję z pochwy. Odnoszę wrażenie, że ostrze nie ma końca. Stal połyskuje, widok ostrej krawędzi wywołuje we mnie dreszcze, zimne i nieprzyjemne. Wsuwam miecz z powrotem do pochwy i odkładam na miejsce.

Wciąż jeszcze nie znalazłem niczego, co miałoby związek z grzybami. Gdybym musiał wyciągać jakieś wnioski na podstawie tego, co widziałem, postawiłbym na coś w rodzaju towarzystwa szabli i miecza utrzymanego w duchu prezydenta Urha Kalevy Kekkonena. Mimo wszystko biuro, kuchnia i pomieszczenie socjalne zajmują tylko niewielką część powierzchni firmy. Otwieram drzwi i przechodzę na drugą stronę hali.

Wystarczy pół minuty, bym poczuł się bardziej zazdrosny i bardziej zdumiony niż kiedykolwiek wcześniej ostatnimi czasy.

Wszystko jest oczywiście względne, bo akurat dziś wpadam w zdziwienie stosunkowo często. Sprzęty

i urządzenia mają lepsze niż my. Błyszczą. Lśnią. Nie były używane ani razu, nie odnajduję ani jednej rysy czy jakiegokolwiek śladu użytkowania. Okrażam całą przestrzeń i próbuję jakoś przełknąć te wszystkie niespodzianki. Czegoś takiego się nie spodziewałem.

Wygląda na to, że:

- a) nasi konkurenci nie żartują;
- b) to ludzie kompletnie inni, niż sądziłem;
- c) już po raz trzeci dzisiejszego dnia obudziłem się z ręką w nocniku.

Cofam tę metaforę. Ani razu nie miałem ręki w nocniku. Może na tym polega mój błąd.

Mamy prawdziwych konkurentów.

Wciąż myślę o naszej firmie w liczbie mnogiej. Nic w tym dziwnego. Taina i ja jesteśmy współwłaścicielami, założyliśmy firmę razem, razem zbudowaliśmy nasz mały sukces. To wydaje się ważne. Jest ważne. Niewykluczone, że firma to w tej chwili najważniejsza sprawa w moim życiu. A przynajmniej nic się w niej nie zmieniło przez całe przedpołudnie, co w obliczu mojej obecnej sytuacji mogę uważać za swoisty cud.

Przez jedyne okno hali wlewa się światło słoneczne. Wewnątrz panuje chłód. Zdaje się, że zobaczyłem wszystko, co miałem zobaczyć. Stoję jeszcze przez chwilę w miejscu i powracam tą samą drogą, którą przyszedłem. Kekkonen świadkiem, że opuszczam budynek.

Wskakuję do samochodu, pospiesznie wyjeżdżam z podwórza i za budynkiem skręcam wprost na Teollisuuskatu.

To dobrze. Furgonetka Grzybów Hamińskich jedzie mi naprzeciw. Za przednią szybą widzę całą trójkę. Kiedy ich mijam, każdy z mężczyzn wpatruje się we mnie.

4

– Tydzień – mówi Olli, smarując grzybowym pasztetem kromkę żytniego chleba miejscowej firmy Aholainen. Warstwa pasztetu osiągnęła wysokość centymetra, kromka błyszczący tłuszczem jak narta z dawnych czasów. – Wtedy pierwszy rzut będzie można wysłać. Tak sędzę.

Olli to stary zawodowiec, ekspert od grzybów, ich jakości, pakowania próżniowego, suszenia, przechowywania, mrożenia i rozwiązań transportowych. Ma pięćdziesiąt jeden lat, jest dziadkiem i człowiekiem, o którym myślałem, jedząc lody. Olli to facet, któremu chyba mogę powiedzieć przynajmniej o części moich problemów.

– Czyli mogę obiecać Japończykom dostawę na przyszłą środę? – pytam.

– Możesz – potwierdza. – Ale las zdecyduje.

– Oczywiście – odpowiadam. Wypowiedzi Ollego wymagają zawsze interpretacji, czasami trzeba je wręcz tłumaczyć na ludzki język.

– Bo nie wiadomo, zanim nie będzie wiadomo.

Siadamy na tarasie na końcu budynku. Olli je zapiekanek mięsna z ziemniakami i chleb. Parzy się kawa Kulta Katriina. Ja wciąż mam żołądek wypełniony lodami. Nie mam na nic

ochoty. No, chyba że na ciastko... Biorę jedno z miseczki, odłamuję kawałek i wkładam do ust.

– Olli – odzywam się. – Mogę o coś zapytać?

– Ty tu wypłacasz pensję.

– To nie ma związku z pracą. Sprawa jest... osobista... i gorąca. Można by rzec: pilna. Odtąd wszystko będzie pilne. Dobrze, żebyś to wiedział.

Patrzy na mnie swymi brązowymi oczami. Ma gęste, ciemne włosy posmarowane żelem i twarz o kanciastych, ale przyjemnych rysach. Wygląda tak, jak wyglądałby George Clooney, gdyby urodził się w Haminie, jadł dużo węglowodanów i zajmował się zawodowo grzybami.

– Wracając do pytania – mówię. – Ma związek z płcią przeciwną. Z kobietami.

Fenomenalne uściślenie, na wypadek gdyby nie wiedział, że jestem mężczyzną, myślę. Olli jednak nic sobie z tego nie robi, kiwa głową. Odwracam wzrok na sąsiednią posiadłość. Szary budynek przemysłowy wydaje się nieco krzywy.

– Zdaje się, że ty masz w tych sprawach doświadczenie – dodaję.

– Z pięciu dziesięcioleci.

Zamierzam mówić dalej, ale najpierw robię w głowie szybki rachunek i spoglądam na Ollego.

– Kiedyś trochę się... jak by to powiedzieć... zraziłeś...

Olli wzdycha ciężko.

– Od pięciu dziesięcioleci. Od takiego czasu się zrażam.

Nie potrafię ukryć zaskoczenia.

– Myślałem, że...

– Właśnie. – Opiera opalone łokcie o stół i również patrzy na szary budynek. W słońcu wydaje się niemal biały. – Mam

doświadczenie. Z kobietami. Po raz pierwszy ożeniłem się, kiedy miałem dziewiętnaście lat. Zostawiła mnie pięć lat później. Następna odeszła, kiedy byliśmy małżeństwem trzy lata. Ostatnia już po roku.

– Przykro mi.

– To nic. – Olli patrzy tęsknie przed siebie.

Nie tak to sobie wyobrażałem. Sądziłem, że będę mógł opowiedzieć o swoim zawodzie, nawet jeśli nie wprost i bez obrazowych szczegółów – wciąż mam przed oczami płonące pośladki Tainy, jak ubijają młode biodra Petriego. Ale teraz czuję, że muszę pocieszać Ollego. Ten jednak odwraca głowę w moją stronę.

– Chciałeś coś powiedzieć? – pyta.

– Tak. Myślę, że... Wydaje mi się, że moja żona kogoś ma.

Olli wciąga powietrze. Być może jestem właśnie świadkiem najdłuższego w historii świata wciągania powietrza.

– Nie – rzuca.

– Tak.

– Jesteś pewny?

Czuję w ustach smak wymiocin. Przytakuję.

– Kobiety... – Olli wzdycha.

– Tak by to można ująć – zgadzam się.

Przez chwilę żaden z nas się nie odzywa.

– Co zamierzasz zrobić?

Pytanie mnie zaskakuje. Sądziłem chyba, że Olli raczej będzie udzielać mi odpowiedzi, niż zasiewać ziarno wątpliwości. Chyba na tym polega sens zwierzeń. Że coś, co dręczy ci umysł, zwalnia uścisk.

– Nie wiem – przyznaję uczciwie. – Nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Nie wiem, co mam myśleć.

– Trudna sprawa. Ktoś ci zanurza wiosło w sadzawce, w której masz pływać sam.

– Nie sądziłem...

– Ktoś sobie wbija słupy na twojej działce. Rżnie z pistoletu do twojej tarczy...

– Właśnie.

– Wiesz, co robię, żeby poradzić sobie z najgorszym?

Wymyślasz więcej powiedzonek? Nie zdradzam, o czym myślę, kręcę głową.

– Obniżam poprzeczkę.

– Proszę?

– Obniżam poziom – wyjaśnia Olli. – Nie wymagam od następnej równie wiele co od poprzedniczki. Jeśli ta wcześniej była jeszcze jako tako ogarnięta, biorę trochę gorszą.

– Przed chwilą powiedziałeś, że każde twoje kolejne małżeństwo było krótsze od poprzedniego. Więc nie jestem pewien, czy takie podejście się sprawdza.

Olli patrzy na mnie, jakbym nie zrozumiał, co właśnie powiedział. Właściwie patrzy na mnie tak, jakbym nie pojmował niczego, kompletnie.

– Żaden plan nie jest doskonały.

Zwijam się wpool, mam skurcz żołądka. W skroniach czuję, że coś mnie tnie i kroi, jak gdyby ktoś wyciągał mi obcęgi kości czaszki. Cały epizod trwa sekundę, może dwie. Słońce świeci intensywniej niż przed chwilą. Zerkam na Ollego. Wydaje się przestraszony albo przynajmniej zaskoczony.

– Wszystko dobrze? – pyta.

– Znakomicie. – Prostuję się i siadam wygodniej na krześle.

– A firma?

To pytanie, do którego zdecydowanie łatwiej mi się odnieść. Choć także z firmą łączy się wiele nierozwiązanych kwestii wynikających z mojej ekspresowej śmierci. O której, oczywiście, nie zamierzam wspomnieć Ollemu ani słowem. Nie wytrzymałbym ani jednego porównania więcej.

– Na firmę ta sprawa nie wpływa w żaden sposób – stwierdzam i wiem, że to prawda. – Wszystko toczy się po staremu. To najważniejsze.

Olli sprawia wrażenie, że akceptuje moje słowa.

– A ci nasi nowi konkurenci? – odzywam się. – Znasz tych gości?

– O tyle o ile.

– Mają jakieś pojęcie o branży?

– O branży?

Spoglądam na niego. Najwyraźniej chodziło mu po głowie coś zupełnie innego.

– O grzybach – uściślam. – O branży grzybowej.

– Najmniejszego.

Przez chwilę się zastanawiam. Nie zamierzam mu zdradzać, że dopiero co gościłem w pomieszczeniach ich firmy.

Gościłem? Czy określenie „włamałem się” nie byłoby bliższe prawdy? Nie wiem. Coś się ze mną stało przed budynkiem komendy. Nie do końca mogę powiedzieć, że wróciłem po rozum do głowy, bo wkrótce po tym włamałem się do budynku naszego konkurenta i zapytałem o radę gościa, którego receptą na problemy sercowe jest usilne obniżanie poprzeczki dla partnerek.

Myślę o nowych, błyszczących urządzeniach naszych konkurentów, o tym całym imponującym otoczeniu.

– Co o nich wiesz? – pytam.

Olli najwyraźniej zamierza zmienić płytę, nastraja się na nowe tony.

– Kolesie z tej samej okolicy.

Milczę. Olli traktuje to jako zachętę do rozpoczęcia wywodu.

– Asko to ten starszy blondyn, który zawsze prowadzi furgonetkę. Ci, co z nim jeżdżą, to Juhana i Juhani. Asko robił najróżniejsze rzeczy: pracował w fabryce papieru, w porcie, u producenta konserw rybnych. Juhana grał w fiński baseball. A Juhani dopiero co wyszedł na wolność. Siedział za zabicie matki. Juhana był swoją drogą najlepszym atakującym w historii Hamińskich Baseballistów, mimo że przez trzynaście sezonów grał w drugim gnieździe.

Wbijam wzrok w Ollego. Dostrzega moje zdumienie.

– Fiński baseball to w Haminie ważna dyscyplina – rozpoczyna. – I...

– Zabił matkę?

Przytakuje.

– Za śledzie. Juhani z nią mieszkał. Smażyła śledzie. A to śmierdzi. Fetor tłuszczu śledzi... wszystko nim przesiąka, od zasłon po ubrania. Jak się kładziesz wieczorem spać, poduszka też ci jedzie śledziami. Ale matka Juhaniego je lubiła.

– A jak ci kolesie zaczęli? Dlaczego zabrali się do grzybów?

Olli spogląda na mnie.

– Widzieli pewnie, jak dobrze nam idzie.

5

Siedzę samotnie w swoim pokoju prezesa. Mam przed sobą stertę papierów i komputer. Na lewo od ekranu jest fotografia nas dwojga. Jesteśmy opaleni i szczęśliwi, stoimy na tajskiej plaży na wyspie Phuket. Wtedy byłem jeszcze w miarę proporcjonalny, chociaż w chwili robienia zdjęcia niewątpliwie wciągałem brzuch. Nie żeby aż podróż poślubna, ale prawie. Szafirowe wody cieśniny Malakki opłukują nam nogi, ramiona splatamy w uścisku. Mamy na sobie czerwone stroje do pływania. Tainie kojarzyły się ze *Słonecznym patrolem*, tyle pamiętam, ale nie jestem pewien, czy to było jej zdaniem dobrze, czy źle.

Odnoszę wrażenie, że od zrobienia tego zdjęcia dzieli nas wiele – zarówno w latach, jak i w kilometrach. Taina, którą dziś widziałem, nie jest tą Tainą, która przytula się do mnie tak mocno, że kremy przeciwsłoneczne skleją nas w jedną całość.

Cudzołóstwo. Zdrada małżeńska.

Zdrada, której dopuściła się Taina.

Może jedna z wielu zdrad. Nie wiem, co pozwoliło mi zejść ze schodów, jaka siła kazała mi zamknąć za sobą drzwi. Ale wiem, że postąpiłem tak, jak należało. Gdybym wbiegł na

taras i zaczął bezsilnie wymachiwać łomem, zrobiłbym z siebie żalostnego rogakza. Włączam komputer.

Szum i brzęczenie komputera brzmią znajomo i w przedziwny sposób przynoszą ulgę. Może to jest dźwięk świata, jego soundtrack.

Szukam czegoś o spółce Grzyby Hamińskie. Nic. Fakt, znajduję informację o wpisie do rejestru handlowego, ale że dopiero rozpoczęli działalność, nie ma żadnych sprawozdań finansowych ani niczego innego. Jako dyrektor generalny widnieje Asko Mäkitupa, kapitał spółki wynosi zwyczajowe dwa tysiące euro. Kiedy dodaję do tego maszyny i pomieszczenia, rozumiem coraz mniej. Jakim cudem gostek z portu, zabójca matki i gracz w baseball zdołali wystartować ze swoją działalnością z takim przytupem?

Czuję ucisk w piersi, przez chwilę widzę wszystko podwójnie. Zimny pot zalewa mi kark, w szyi mnie mrowi. I znów cały atak przemija w jednej chwili.

Googluję. Udaje mi się dotrzeć do tego, co mówił już wcześniej lekarz. Przewlekłe zatrucie prowadzi najpierw do rozwinięcia w organizmie tolerancji, a potem do katastrofy. A katastrofa – nadejdzie w swoim czasie.

Olli przechodzi przez otwarte drzwi. Sprawia wrażenie zamyślnego. Wygląda na to, że każdy z nas ma swój problem. Moje problemy wydają się dwojaki: te, które mają związek z moim życiem, i te, które mają związek z moją śmiercią. Nigdy wcześniej nie rozumiałem, jak blisko są powiązane. Śmierć jest jak skondensowane życie: zawiera w sobie jedno wielkie pytanie o to, jak należy przeżyć swój czas. Albo: jak należało.

Jeśli pozostanie ci dzień, co zrobisz? A jeśli tydzień?

Miesiąc?

Nie myślałem o takich sprawach. Być może w ogóle nie myślałem.

Zostałem obudzony.

Co nie jest takie złe, biorąc pod uwagę to, co wydarzy się później.

Furgonetka Grzybów Hamińskich wykonuje zdecydowany łuk, wjeżdżając na nasze podwórze. Przyglądam się w oknie samochodowi podskakującemu na nieutwardzonej powierzchni. Trzej mężczyźni są tak ciasno ubici na przednich siedzeniach, że tworzą nieruchomą zwartą masę.

W drzwiach gabinetu pojawia się Olli, by oznajmić o ich przybyciu. Odpowiadam, że się tym zajmę. Spogląda na mnie bez słowa i znika.

Kiedy wychodzę na zewnątrz, mężczyźni wysiadają z samochodu. Słońce jest w zenicie, mrużę oczy. Czuję na twarzy pył przywiany przez furgonetkę. Mam w ustach smak ziemi i benzyny.

Po zejściu na ziemię panowie ustawiają się w porządku.

Pamiętam, co mówił o nich Olli, i bez problemu rozpoznaję Aska. To on wysiada po stronie kierowcy, jest zdecydowanie najstarszy z tej trójki. Grubo po pięćdziesiątce, wytrenowany, wciąż w szczytowej formie. Włosy, które mu zostały, jasne i długie, zaczesał do tyłu. Ma niebieskie oczy, ostre spojrzenie; wysyła mi wzrokiem kolce. Zapadłe policzki, żylaste opalone ramiona, błyszczące neonowe adidasy, brak skarpetek, nienaturalnie brązowe nogi. Całokształt sprawia wrażenie

kogoś na prymitywny sposób wyuczonego i doświadczonego, ten gość to wytrawny stary myśliwy.

Pozostali, Juhani i Juhana, ustawiają się po jego obu stronach.

Zakładam, że baseballista, czyli Juhana, to jedyny z tej grupy, który nie podnosi ciężarów. Jest wątkły i uderzająco błady. Przychodzi mi na myśl, że nawet ja zdążyłem się bardziej opalić, a jestem w końcu facetem, który pracuje w zamkniętym pomieszczeniu i dokonuje żywota. O taką bładość musiał się szczególnie postarać, podobnie jak Asko o błyszczący brąz swoich nóg.

Drugi z pomocników – nic nie poradzę na to, że w takiej roli mi się jawią u boku Aska – przywodzi na myśl tradycyjny model drzwi stodoły. To musi być Juhani. Jest gościem, który się napakował. Na wskroś. Jego głowa ma rozmiary trzech głów normalnych mężczyzn. Nie wiem, czy można sobie napakować głowę, ale jakoś musiał ją wyhodować. Twarz zajmuje majestatyczne pół metra letniego krajobrazu, a jej wyraz mógłby zgasić jakiś mniejszy model słońca.

– Przyszliśmy cię ostrzec – mówi Asko, nie wdając się w żadne powitania. – Właśnie obejrzelśmy nagranie, jak włamałeś się do naszej firmy.

Powinienem był oczywiście wziąć pod uwagę tę możliwość. Co się stało, to się nie odstanie. Asko ma przyjemny głos, głęboki i miękki. Unoszę obie dłonie, by dodać mocy temu, co zaraz powiem.

– Proszę o wybaczenie – odzywam się. – Jeśli powstało takie podejrzenie, mogę zapewnić, że jest niesłuszne. Nie włamałem się. Chciałem się przywitać. Drzwi były otwarte,

więc pomyślałem, że jesteście na miejscu, i wszedłem do środka. Kiedy nikogo nie zobaczyłem, zawróciłem.

– Zawróciłeś, jak już przeprowadziłeś szpiegostwo przemysłowe.

Spoglądam na każdego z mężczyzn z osobna. Uśmiecham się tak serdecznie, jak tylko dziś potrafię.

– Jak wspomniałem, rzecz można potraktować także z całkowicie innego punktu widzenia – mówię.

– Zwalić tego prosiaka czy nie? – pyta Juhani.

– Istnieje oczywiście także ten trzeci punkt widzenia – wtrącam. – Ale tego nie popieram. Jeśli mogę cokolwiek powiedzieć, to...

– Przyjechaliśmy tu, żeby cię ostrzec – przerywa mi Asko.

– Zapytaj go, co robił w naszej firmie – podpowiada mu Juhana.

– Czy nie o to właśnie zapytałeś? – zwracam się do Juhany, a potem patrzę na jego szefa. – Rozpoczynamy od nowa? To absolutnie niepotrzebne. Popełniłem błąd, przepraszam. Już po raz drugi.

– Zapytaj go o tych Japończyków – mówi Juhana.

Jego głos idealnie pasuje do aparycji, jest blady i wątki. Nie pojmuję, jak ktoś z taką budową ciała może w ogóle trafić w piłkę, nie mówiąc już o jakichkolwiek sukcesach baseballowych.

– O jakich Japończyków? – pytam, a potem zwracam się do Juhany: – Dlaczego każesz komuś zadawać pytania, które sam chcesz zadać?

– Jesteś nam dłużny – rzuca Asko. – Odszkodowanie.

– Odszkodowanie?

– Kiedy przyjadą Japończycy? – pyta.

O ile mi wiadomo, Japończycy nie przyjadą przez całe lato. Gdyby mieli przyjechać, wiedziałbym o tym. A przynajmniej sądzę, że bym wiedział. Inna rzecz, że dziś rano sądziłem, że będę żyć wiecznie i że mam wierną żonę. Ale nagle dostrzegam w tej sytuacji pewną możliwość.

– Za półtora tygodnia – odpowiadam. – Najwyraźniej jesteście gotowi do grzybobrania.

– Żadnego, kurwa, grzybobrania – mówi Juhani. – Ten prosiak działa mi na nerwy.

Prosiak? To już drugi raz.

– Juhaniemu chodzi o to, że sami nie zbieramy – wyjaśnia Asko. Najwyraźniej jest przyzwyczajony do tego typu komunikacji. – My zarządzamy działalnością.

– Czy to oznacza, że już opłaciliście grzybiarzy?

– Nie mów mu – odzywa się pospiesznie Juhana.

Jego szef wciąga głębiej powietrze. Wie, że otrzymałem odpowiedź. To znaczy, że mogę mieć tylko więcej pytań.

– To miejscowi czy skądś ich przywieziecie? – pytam. – A jeśli macie plany dotyczące Japonii, to zapewne macie też pracowników wyspecjalizowanych w konserwacji, pakowaniu i logistyce?

Asko przygląda mi się przez chwilę w milczeniu.

– Zostałeś ostrzeżony – mówi.

Nie odpowiadam. Asko już ma się odwrócić, kiedy odzywa się Juhani:

– Jak znajdziesz w swoim łóżku przeciętego grzyba, to będziesz wiedział, co to oznacza.

Jego szef zastyga. Patrę na Juhaniego. Jest tak wielki, że samo patrzenie na niego można uznać za wyczyn sportowy.

– Przeciętego grzyba? – powtarzam.

Juhani przytakuje swym wielkim łbem.

– Nie wiem, co to znaczy – mówię. – Ale pomyślę o tobie, jeśli znajdę na swojej poduszce przełamane grzyba.

Kręci głową.

– Nie przełamane – uściśla. – Przeciętego.

Asko unosi dłoń.

Juhani i Juhana jeszcze przez chwilę taksują mnie wzrokiem. Potem wchodzi do furgonetki. Samochód przejechała się od ich ciężaru.

– Jedziemy stąd – mówi Asko. – Ale ty zostałeś...

– ...ostrzeżony.

Furgonetka cofa i odjeżdża z piskiem. Wracam do budynku. Wydaje mi się, że w oknie dostrzegam Ollego, ale być może tylko coś mi się przywidziało, bo po chwili w szybie odbija się jedynie czyste błękitne niebo.

6

Zamykam drzwi swojego gabinetu, biorę do ręki papier i długopis. W pomieszczeniu są dwa stoły. Na biurku szumi komputer, piętczą się sterty dokumentów, walają najróżniejsze przedmioty związane z naszym biznesem. Zasiadam do stołu konferencyjnego.

Jestem człowiekiem list. Lubię ten moment, gdy widzę całe swoje życie na jednej kartce A4.

Zazwyczaj dzielę sprawę na trzy kategorie. Wypisuję hasła, pod którymi pozostawiam tyle miejsca, by móc swobodnie dopisywać wszystko, co potrzebne:

1. PROJEKTY BIEŻĄCE
2. PROJEKTY PLANOWANE
3. DO ZROBIENIA DZIŚ

Słyszałem o zasadzie, według której istnieją sprawy ważne i sprawy pilne. Zgodnie z nią sprawami ważnymi należy zająć się najpierw. Jest to – o ile dobrze zrozumiałem – paradoks, który ma na celu efektywniejsze działanie. Robię więc jeszcze drugi podział:

1. SPRAWY WAŻNE

2. SPRAWY PILNE

Rozpaczam. Część z tych spraw to powtórka. Niektóre są tak nowe, że muszę je sobie rozjaśnić i podyktować w głowie, nim zdołam cokolwiek napisać na kartce.

1. PROJEKTY BIEŻĄCE

- śmierć; własna; spowodowana zatruciem
- ustalenie źródła zatrucia => potencjalni truciele
- Taina (i Petri)
- rozpoczęcie zbiorów grzybów: przedyskutowanie spraw ze zbieraczami i pracownikami

– wyjaśnienie działań konkurencji

– przekonanie Japończyków

2. PROJEKTY PLANOWANE

– utrzymać się przy życiu (tymczasowo)

3. DO ZROBIENIA DZIŚ

–

Zerkam na poprzednie notatki. I w tym momencie, jak często przy okazji robienia list, dostrzegam związki między sprawami. Umieram na przewlekłe zatrucie. Jeśli się nad tym rozsądnie zastanowię – a o to chodzi przy sporządzaniu list – mogłem ulec przewlekłemu zatruciu tylko w dwóch miejscach: w pracy lub w domu. Ktoś musiał mnie otruć. Tworzę nową listę osób:

1. MIEJSCE PRACY – NORDIC FOREST DELICATESSE
EXPORT OY

- Taina (odpowiedzialna za jakość i smak, odpowiedzialna za receptury, kurwa)
- Petri (kierownik techniki i transportu, włóczychujek)
- Olli (pakowanie, konserwacja, mrożenie)
- Sanni (nadzór nad zbiorami, koordynacja zbieraczy)
- Raimo (kierownik zaopatrzenia)
- Suvi (póletatowa asystentka biurowa)
- ja (prezes)

2. DOM – PAPPILANSAARI

- Taina (żona)
- Veikko (jeź ogrodowy)

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie wymiotowałem prosto na naszego jeża. Bardzo możliwe, bo do jego ulubionych kryjówek należą gęste krzewy przy schodach na tylnym podwórzu. Nie chciałbym zrobić Veikkowi niczego podobnego. Postanawiam to sprawdzić, kiedy tylko... niełatwo mi teraz powiedzieć: „kiedy wrócę do domu”. W domu człowiek powinien czuć się chroniony przed złem świata, w domu nie powinno się być świadkiem scen kontaktu narządów płciowych żony i pracownika. Tak czy siak, muszę się upewnić co do stanu Veikka.

Lista sprawia początkowo wrażenie zaskakująco krótkiej, ale już po chwili wydaje się długa. Niebagatelny wpływ na ten stan rzeczy ma to, że żyję niejako w dwóch sferach czasowych: poprzedniej, w której wszystko można było przesunąć na kiedy indziej, na wszystko był czas później, a przyszłość jawiła się jako długi, niejasny, trwający mniej więcej wieczność okres, oraz tej współczesnej, w której nie

ma czasu właściwie na nic i która może się zakończyć i tak, że nawet najkonieczniejsze zadania pozostaną niewykonane.

To przerażająca myśl. Sprowadza mnie do kolejnego punktu.

3. DO ZROBIENIA DZIŚ

- rozpoczęcie śledztwa nad morderstwem (samobój moim zabójstwem)

- rozpoczęcie badań nad zdradą (Taina pieprzy się na leżaku z Petrim)

- w związku z powyższymi => utajnienie przed wszystkimi swojego stanu zdrowia

Ból ponownie uderza niespodziewanie. Tym razem jest inny. Przypuszczam, że tak odczuwa się porażenie prądem: całe ciało się trzęsie, każda komórka jest atakowana z osobna. Boli wszędzie, w każdym miejscu. Siedzę naprzeciwko okna, które ciemnieje, dzień ciemnieje, odpływam.

Nie umieram.

Podobnie jak po poprzednich atakach, również teraz widzę wszystko jaśniej niż jeszcze chwilę temu. Przedemną leży na stole lista. Podnoszę wzrok. Jestem pewien, że za oknem dostrzegam coś wielkości człowieka.

Właśnie wtedy dzwoni telefon.

Odbieram i nie od razu rozpoznaję głos. Lekarz przechodzi jednak prosto do rzeczy i nie mam trudności, by znów być, że tak powiem, na bieżąco. W końcu właśnie się przesunąłem do tego, co bieżące. Jestem w bieżącej chwili, aż przestanę być

całkowicie. W kręgosłupie czuję jeszcze jakieś spóźnione dreszcze.

Postać człowieka utknęła mi pod powiekami, a potem wszystko, co dostrzegam, to szara ściana z betonu oświetlona słońcem.

– Wspominał pan, że chce porozmawiać z żoną – rozpoczyna. – Zdążył pan to zrobić?

– Nie nadarzyła się jeszcze odpowiednia chwila – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Rozumiem – mówi lekarz. – To drażliwe momenty także dla bliskich.

– Słowo „drażliwy” doskonale oddaje taki moment.

– Słucham?

– Nic. – Kręcę głową i nagle skądś pojawia się myśl, że lekarz do mnie dzwoni, ponieważ dał mi błędny wyrok, pomylił mnie z kimś innym, pomieszały mu się papiery, to wszystko to jedno wielkie nieporozumienie. – Czy pojawiło się coś nowego w związku z moim stanem?

– Nie wiem. Pojawiło się?

Moje nadzieje gasną równie szybko, jak szybko się narodziły. Jadę kolejką górską, to jasne, ale być może trwający wciąż stan szoku sprawia, że nie odczuwam najgwałtowniejszych upadków i najdzikszych wzniesień.

– Najwyraźniej nie – odpowiadam.

Lekarz przez chwilę milczy.

– Dzwonię w sprawie wyników badań toksykologicznych. Nie mamy jeszcze pełnych wyników, a pana stan pogarsza się niemal z godziny na godzinę. W dalszym ciągu dobra wiadomość jest taka, że nie cierpi pan na nic zaraźliwego.

Nie wiem, czy powinienem teraz zapytać, jaka jest wobec tego zła wiadomość, skoro tamta była dobra. Milczę, odchylam się na oparciu fotela.

– Badania wciąż są prowadzone. Dzięki panu przesłaliśmy większą ilość moczu do Helsinek. Wygląda na to, że albo jutro, albo pojutrze zdobędziemy bogatszą wiedzę na temat składu toksyn, czyli trucizny. Jak wspomniałem rano, najprawdopodobniej w grę wchodzi trucizny pochodzenia naturalnego, więc wygląda na to, że będziemy mogli ustalić, czy ich źródłem są rośliny, grzyby czy...

– Chcę wiedzieć wszystko natychmiast – przerywam mu. – Kiedy tylko cokolwiek się wyjaśni, musi pan od razu do mnie zadzwonić. Proszę dać mi słowo.

Lekarz odchrząkuje.

– Właśnie jutro wyjeżdżam na urlop, ale mój kolega...

– Nie.

– Mój kolega...

– Nie – powtarzam dobitnie, wyraźnie, bez emocji. Równocześnie mierzę wzrokiem swoją listę. Co napisałem pod hasłem DO ZROBIENIA DZIŚ? Rozpoczęcie śledztwa. Właśnie tak, teraz właśnie rozpoczyna się śledztwo.

– Żadnych kolegów. Tylko pan. To małe miasto. Nie chcę, by ktoś inny wiedział. Ktokolwiek. Ani u was, ani gdziekolwiek indziej. Tajemnica lekarska, czyż nie?

– Oczywiście. Ale ze względu na leczenie...

– Właśnie z tego powodu – odpowiadam. – Nie powiemy o tym nikomu, dopóki nie rozstrzygnę, jak moja żona... jakie ma w tej sprawie stanowisko.

Czuję, że to ważne, bym mówił prawdę. Inna rzecz, że część tej prawdy mogę przemilczeć.

– Jeszcze jedno – rzucam, nie dając mu dojść do słowa. – Chciałbym móc skontaktować się z panem o każdej porze. Potrzebuję numeru telefonu. Na wypadek gdybym potrzebował leków przeciwbólowych albo czegoś innego.

Niemal słyszę, jak klnie, myśląc o swym urlopie. Ale ja umrę tylko raz. Tylko raz jestem mordowany.

– Dobrze – odpowiada wreszcie. – Wolałbym jednak w ciągu dnia.

Podaje mi numer komórki. Każdą z cyfr wypowiada niechętnie, lecz to robi. Kończę rozmowę i rzucam okiem na listę. Czytam wypisane imiona, a potem ruszam do drzwi.

Zostawiam samochód przy Kipparinkuja. Kiedy wysiadam, pod moimi nogami trzeszczy żwir, którym posypane są drogi w tej dzielnicy. Głogowy żywopłot ma wysokość dorosłego mężczyzny, jest gęsty jak mur z cegieł i całkowicie zasłania widok na piękne podwórze, stare jabłonie i krzewy owocowe. Dom stoi na tyłach działki.

Budynek jest granatowy, został zbudowany, zanim w powojennej Finlandii pojawiły się domy dla kombatantów, ale to ta sama architektura, choć jest zdecydowanie mniejszy. Cała powierzchnia wynosi co najwyżej tyle co we współczesnych dwupokojowych mieszkaniach. Wszystko jest starannie wypielęgnowane, porządek bije po oczach – sam budynek, podwórze, rabatki i klomby.

Sanni siedzi na schodach, pochylona nad swymi adidasami.

Długie rude włosy lśnią w słońcu i zasłaniają twarz niczym miedziany dach. Palce zawiązujące sznurowadła są szybkie i zręczne, przyzwyczajone do tego, by szukać, wybierać i działać. Sanni to moja rówieśnica, jest naszą ekspertką od terenu i zarządza zbieraniem; sama także zbiera i odpowiada za to, by nasi ludzie byli efektywni, świadomi jakości

i pracowali tam, gdzie należy. Jest rozwódka, mieszka sama i, o ile wiem, takie rozwiązanie ją satysfakcjonuje.

Ma na sobie krótkie białe szorty, małą czerwoną saszetkę do biegania i czarny przylegający top; widać mnóstwo jasnej, miękkiej skóry, którą dostrzegam właściwie po raz pierwszy. Sanni zawiązuje sznurowadła z pietyzmem, robi na swych czerwonych adidasach wzorowe podwójne żółte kokardki. Kiedy wstaje, zauważa mnie i wzdryga się. Nie słyszała, jak się zbliżam.

– Przestraszyłam się – mówi.

– Mnie?

Dzieli nas kilka metrów. Oczywiście Sanni to mieszanina błękitu i zieleni.

– No bo tak... niespodziewanie przyszedłeś.

– Chcę z tobą pomówić. Wiem, że jesteś rzetelna i wszystko jest na pewno w porządku, ale zbiory zaczynają się lada dzień i chciałbym sprawdzić parę rzeczy.

Sanni jest niewysoka i drobna, może mieć sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Jej postać z jakiegoś powodu przywołuje mi w głowie słowo, którym nazwał mnie Juhani: prosiak. Instynktownie wciągam brzuch i naprężam pierś – i momentalnie czuję się jak ostatni półgłówek. Oto stoję pośrodku podwórza, ja, grubas w średnim wieku, który zaraz umrze, ale stara się zrobić wrażenie na płci przeciwnej.

– No dobra – rzuca Sanni.

Wypuszczam powietrze i uwalniam sadło z brzucha, staram się zrobić to niepostrzeżenie.

– Chodźmy może tutaj. – Wskazuję ręką leżaki w białozieloną kratę. Sprawdzam, czy na materiale nie widać śladów ludzkich wydzielin, mokrych albo wyschniętych, i dopiero

wtedy siadam. Być może nie ma to uzasadnienia, ale moment, w którym zobaczyłem Tainę z Petrim, prawdopodobnie na zawsze zniweczył moje zaufanie do mebli ogrodowych.

Słońce na dobre umiejscowiło się na niebie. Takie sprawia wrażenie: jasny żar, który nie porusza się ani nie zmienia i którego nic nie może dosięgnąć. Błękitne niebo wygląda jak świeżo umyte, jest czyste i idealne. Powietrze zatrzymało się w bezruchu, ktoś trzepie gdzieś dywan.

– Rozmawiałem przed chwilą z ludźmi z Grzybów Hamińskich – zaczynam. – Nie otrzymałem jasnej odpowiedzi na nic, ale na podstawie tego, co dziś widziałem i słyszałem, mogę stwierdzić, że mamy konkurencję, którą należy potraktować jak najpoważniej.

Sanni milczy.

– Tak się składa, że wiem, że ich urządzenia do pakowania i konserwacji są nowocześniejsze niż nasze i tylko czekają, by je uruchomić. Próbowałem wypytywać tych gości o zbieraczy, ale nic nie zdradzili. W tym jest coś, czego do końca nie rozumiem. A właściwie we wszystkim, cholera jasna, we wszystkim.

Spogląda na mnie. Macham ręką, jakbym odganiał gestem to, co przed chwilą powiedziałem.

– Wiesz coś? – pytam.

Waha się przez chwilę. Krótszą niż okamgnienie i właśnie dlatego to dostrzegam. Wahanie znika, Sanni strząsa włosy sprzed twarzy, ale wciąż nie odpowiada.

– Sanni... Wiesz coś?

Patrzy mi w oczy.

– Zaproponowali mi pracę. W charakterze menedżera zbiorów.

Menedżera. U nas jest tylko nadzorcą.

– Kiedy?

Odwraca głowę w stronę krzewów owocowych. Ich gęsta zieleń przywodzi na myśl dżunglę.

– Dopiero co.

– Co odpowiedziałaś?

Znów na mnie patrzy. Wygląda inaczej niż przed sekundą, błękitnozielone oczy odbijają biały żar słońca.

– Że porozmawiam z tobą.

Wciągam i wydecham powietrze.

– Co o nich wiesz? O ich firmie? – pytam.

– Wiem, że dostałabym znacznie wyższą pensję.

Ktoś, kto trzepie dywan, nie przerywa swej pracy. Odgłosy uderzeń dochodzą od strony morza.

– Mówiłaś kiedyś, że grzyby to twoja pasja.

– Bo tak jest – potwierdza. – Są mi bliższe niż jakikolwiek człowiek. Ale podwyżka i... – Przez chwilę się waha. Odwraca głowę, patrzy prosto przed siebie.

– Zaproponowali ci coś jeszcze oprócz znacznie wyższej pensji?

Odpowiada dopiero po chwili.

– Uważają, że nasza... to znaczy twoja firma nie ma przed sobą przyszłości.

Przeszywa mnie głębokie, bolesne ukłucie gdzieś w głębi płata czołowego, przed oczami wije się węgorz elektryczny, który przesłania widoczność.

– W jakim sensie? – pytam. – Dlaczego niby nie ma?

Sanni nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Bo brakuje nam śmiałości i odwagi – odpowiada. – Bo nie jesteśmy wystarczająco agresywni.

– To ich pogląd czy twój?

Zagryza wargi, zerka na sznurowadła, jakby sprawdzała, czy nadal są zawiązane. Są.

– Sanni, muszę powiedzieć to na głos. Grzyby Hamińskie nie budzą mojego zaufania. Wręcz przeciwnie. Przeszłość tych ludzi...

– Wiem – przerywa mi. – Ale każdy z nas ma tyle różnych stron. Podobnie jak grzyby. Piękny z zewnątrz prawdziwek może okazać się w środku cały robaczywy. A taki mleczał jest wprawdzie brzydki, ale w kuchni zawsze się sprawdza. Kiedyś chodziłam przez jakiś czas z Juhaną.

– Tym od baseballu?

– Wtedy jeszcze grał. Rozstaliśmy się, kiedy przestał.

Sanni zauważa moje spojrzenie, które pewnie można by określić jako świdrujące.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Jesteś... – Szukam słów. – Bo on po prostu wydaje się kompletnie inny niż ty, właśnie, zupełnie jakby...

– Jakby każde uderzenie zamiast w piłkę trafiało go w głowę. W jakimś sensie to prawda – mówi Sanni. – Jego ostatni mecz... Akurat się rozgrzewał przed ostatnią kolejką. Atmosfera była napięta. Grali z drużyną Mailajussit z Seinäjoki. Przeciwnicy mieli już jeden wygrany odcinek. W miejscu rozgrzewki kije tylko śmigwały. Juhana chyba patrzył na boisko, wykonując te swoje słynne ruchy. Na boisku akurat mieli dość nietypowego spalonego. Juhana, który wyciągał się w tej swojej pozycji na drapieżnika, jak nie wyskoczył... był jak ta pantera... dopiero kij Halonena go zatrzymał. A Halonen grał jako dzoker... to był ten, co chlastał kijem jak młociarz.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Trzepanie dywanu ustało. Ogród pachnie.

– Co zamierzasz zrobić? – pytam.

– Przebiec dziesięć kilometrów – odpowiada Sanni. – W czasie poniżej pięćdziesięciu minut.

– Nie o to mi chodziło.

– Wiem.

Potrząsa włosami, zdejmuje z nadgarstka gumkę, związuje włosy w kitkę. Koński ogon wygląda jak miedziana flaga gotowa do kołysania się. Sanni wyciąga z saszetki batonik proteinowy, zdziera z niego opakowanie i zaczyna jeść.

– Sanni, czego chcesz?

Przełyka kawałek. I od razu odgryza następny.

– Może wyższą pensję – mówi z pełną buzią.

– Oprócz tego. W życiu.

W blasku jej błękitnozielonych oczu płoną siła i czystość, i coś jeszcze, czego przedtem nie dostrzegałem.

– Niezłe pytanie jak na wczesne wtorkowe popołudnie – zauważa.

Spoglądam na nią bez słowa. Oblizuje górną wargę, przełyka niewidzialne resztki batona.

– Chcę przejść się lasem o poranku. Chcę samochód terenowy, który nie jest koreański, japoński albo chiński. Chcę śniadanie do łóżka, i to nie w dniu moich urodzin. Chcę zrobić remont kanalizacji. Chcę chociaż raz w życiu mieć bieliznę Victoria's Secret. Chcę nową profesjonalną strzelbę. Chcę pobić na maratonie w Tokio rekord trzech i pół godziny. Chcę wiedzieć wszystko, co możliwe i niemożliwe, na temat grzybów i roślin.

Milknie, wkłada do ust ostatni kawałek batona. Myślę o swojej liście, o śledztwie, o moim zatruciu. Więc to tak jest być człowiekiem, tak jest z ludźmi: wiem, czego chce Sanni, ale nie wiem o niej nic.

– O jakiej podwyżce myślisz? – pytam.

– Pięćdziesiąt procent – odpowiada.

Omiał się nie krztuszę, choć nic nie jem.

– Oni obiecali więcej – mówi.

– Ani przez chwilę w to nie wątpiłem.

Potrzebuję Sanni. Z wielu powodów. Przede wszystkim muszę utrzymać ją blisko siebie. Wiem również, skąd wziąć pieniądze. Petri nie musi mieć nowego samochodu. Wygląda na to, że doskonale udaje mu się zdążyć, dokądkolwiek chce, jeżdżąc tym, którym dysponujemy, on i nasza firma.

– Podwyżka takiego rzędu... Jeśli się na to zgodzę, poproszę cię o przysługę. – Widzę po niej, że jest gotowa wysłuchać mojej propozycji. – Chciałbym, żebyś trochę pozwlekała. Powiedz tym gościom, że przemyślisz sprawę. Że musisz dokładnie się zastanowić. Że chcesz usłyszeć, jak zamierzają zorganizować swoją działalność, z kim chcą rozpocząć handel.

Dostrzegam w kąciaku jej ust uśmiech. No, może nie tyle uśmiech, ile delikatne poruszenia, które natychmiast znikają.

– Chcesz, żebym zaczęła szpiegować.

Nie odpowiadam.

– Być może całkiem błędnie cię oceniłam – mówi i sprawia przy tym wrażenie równocześnie zawiedzionej i uradowanej.

8

Zawracam, żwir trzeszczy pod oponami, światło słoneczne tańczy na masce, jakby ktoś bawił się wielkim lustrem. Nie włączam klimatyzacji, zamiast tego opuszczam szybę i ruszam powoli piaszczystą drogą. Skręcam na Kalastajankatu. Zerkam w lusterko wsteczne, by się upewnić, że nie spowalnięm niczyjej jazdy. Zza zakrętu wyłania się granatowy ford mondeo. Odrobinę przyspieszam, patrzę na prawo.

Widzę w przeblýsku podwórze białego domku jednorodzinnego. Kojarzę mężczyznę z widzenia, zawsze pracuje, od rana do wieczora, wciąż coś robi; teraz zajmuje się drewnem na opał, które piętrzy się przed domem i w regularnym stosie, i luzem w niewielkiej stercie. Mężczyzna jest niski, sprawny i trudno określić jego wiek – z powodu twarzy pooranej zmarszczkami i pozbawionego odrobiny tłuszczu ciała przypomina wyglądem gitarzystów z Rolling Stones. Z jego postaci bije duch działania: na pewien skromny sposób łączą się w nim nieustępliwość, prostolinijność i konsekwencja w doprowadzaniu wszystkiego do końca. Gdybym miał prowadzić wojnę światową, wysłałbym tego gościa wraz z jego piłą elektryczną

i maszyną do cięcia drewna, żeby tę wojnę wygrał. Dziś jestem zdolny to wszystko zrozumieć.

Na skrzyżowaniu piaszczystej drogi i asfaltu zatrzymuję się, przepuszczam ciężarówkę.

Rzut oka w lusterko wsteczne wystarczy, by dostrzec granatowe mondeo, które zjeżdża na pobocze i prawdopodobnie tam pozostanie. Nie spowolniłem więc swymi myślami niczyjej jazdy. Tyka kierunkowskaz, kiedy skręcam, by pojechać drogą do centrum. Słyszę w głowie kroki Sanni, odbiegającej coraz dalej od mojego samochodu, czuję wciąż jej rękę, ciepłą i drobną, kiedy ściskaliśmy sobie dłonie na znak zawartej umowy. Widzę jej rude włosy, białe szorty, które teraz, gdy biegnie, wydają się jeszcze krótsze. Moja grzybowa agentka.

Granatowe mondeo.

Dopiero kiedy je widzę, łapię się na tym, że znowu spojrziałem w lusterko. Natychmiast zerkam jeszcze raz. Postanawiam wykonać małą przejażdżkę po mieście. Jadę na rynek. Jest prawie pusty. Błądzą po ulicach, kieruję się do centrum. Coś przychodzi mi do głowy.

Stworzony trzysta lat temu plan zagospodarowania miasta w kształcie okręgów wokół ratusza jest niczym dar bogów dla tych, których ktoś ściga. Albo przynajmniej dla tych, którzy chcą wiedzieć, czy rzeczywiście są ścigani. Największy z okręgów jest wprawdzie zaledwie zbliżony do koła: to droga długości około kilometra, której brakuje ostatniej jednej czwartej, nosząca nawet znaczącą nazwę: Isoympyräkatu. Ulica Wielkiego Okręgu. W którymś momencie nie widzę już mondeo.

Jadę Isoympyräkatu tak daleko, jak tylko mogę, aż do Bastioni. Bastioni to odrestaurowany teren fortyfikacji zbudowanych w dziewiętnastym wieku; jego centrum, dawny obszar magazynów, został kiedyś klimatycznie podziurawiony przez kazamaty, czyli skarbcze z czerwonej cegły. Dziś pełni rolę miejsca rozrywek.

Byliśmy tam z Tainą na występie orkiestry wojskowej. Wyrzucam z głowy letnią Tainę i jej cudownie wilgotne nagie pośladki, cały ten obraz. Skręcam w Rauhankatu, kieruję się prosto ku ratuszowi i widzę za sobą granatowe mondeo. Przez ileś sekund jestem przekonany, że to przywidzenie, ale tak nie jest.

Więc dobrze.

Najmniejszy okrąg ma długość dwustu metrów.

Kocie łby otaczają ściśle ratusz, tak ściśle, że budynek, wznoszący się dwadzieścia metrów ponad resztą miasta, jest jak wyspa wielkości swych fundamentów w centrum ośmiu ulic. Gdy zerkam w lusterko, przychodzi mi do głowy, że wszystkie drogi wcale nie prowadzą do Rzymu, lecz do siedziby władz małego miasta we wschodniej Finlandii. Zwalniam i rozpoczynam okrążenie.

Z lusterka wstecznego nie ma pożytku, bo wciąż zakręcam. Odwracam więc głowę i patrzę za siebie przez otwartą szybę. Granatowe mondeo jest za mną. Nie jadę zbyt szybko.

Pokonanie pierwszego pełnego okrążenia zajmuje mi dwadzieścia sekund. Rozpoczynam kolejne. Mondeo jedzie za mną. W połowie drugiego okrążenia znów patrzę za siebie, próbując dojrzeć jego wnętrze.

Kierowca jest potężnej postury. Drugie okrążenie za mną.

Przy kolejnym dołącza do nas czerwony golf. Najwyraźniej jedzie wolniej, niżby chciał, i przy trzeciej przecznicy wycofuje się z naszej karuzeli, gniewnie popiskując oponami na brukowanej powierzchni. Okrążamy ratusz dalej – z tą różnicą, że teraz przyspieszam.

Czwarte okrążenie to powtórka trzeciego – w dalszym ciągu zwiększam prędkość. Jeśli jakiś ptak wysoko na niebie śledzi nasze poczynania, może być trochę zdziwiony tymi zabawami w kółko.

Przy piątym okrążeniu ktoś w mondeo wpada w gniew. Głos zdradza właściciela. Patrzą za siebie. Przez otwarte okno wychyla się wielka głowa.

– Prosiak! – wrzeszczy Juhani. – Ty pieprzony prosiaku!

Nie przemyślałem, co dalej. W filmach i serialach telewizyjnych pościg kończy się zwykle tym, że osoba, która kogoś ściga, zostaje zdemaskowana. Ale Juhani chyba nie oglądał tych samych filmów co ja. Krzyczy, jest najwyraźniej wściekły. Zaczyna do mnie docierać, że ten facet nie zamierza poprzestać na jeździe za mną. Z powodu śledzi zamordował własną matkę. Co zrobi z gościem, który ma czelność żartować sobie z jego pogroźek o przeciętym na pół grzybku?

– Sadło! Zatrzymaj się!

Juhani trąbi klaksonem i wypluwa z siebie przekleństwa i rozkazy.

Zwykle prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę jest podczas jazdy optymalna. Ale gdy robi się kółko za kółkiem – to siódme lub ósme okrążenie – daje się ją odczuć. Zbiera mi się na wymioty. Jazda jak na karuzeli w połączeniu ze stanem silnego zatrucia zaczyna przekraczać moje siły.

Zwiększam prędkość do sześćdziesięciu na godzinę.

Już nawet Juhani nie jest w stanie dalej wrzeszczeć. Kiedy czuję, że dłużej nie wytrzymam, wystrzelam na prawo.

Na prostej Kadettikoulunkatu ponownie przyspieszam. Juhani jest tuż za mną. Wkrótce skrećę na lewo. Nie znam miasta zbyt dobrze. Ale wiem tyle, że w którąkolwiek stronę się jedzie, centrum prędko zostaje z tyłu. Tak jest i teraz.

Problem jest taki – abstrahując od faktu, że ściga mnie niezrównoważony zapaśnik – że do gardła podchodzą mi wymioty.

Krążenie w kółko to było za dużo, ciśnienie to za dużo.

Po prawej jest coraz mniej budynków, po lewej są schodzące w dół nieużytki, na których tu i ówdzie rosną drzewa liściaste. Asfalt zamienia się w drogę żwirową. Pamiętam, że po lewej stronie gdzieś niżej jest jakaś rzeka czy strumień, który dopływa do jeziora Kirkkojärvi. Dostrzegam z lewej wyżłobioną oponami zatoczkę. Wjeżdżam w nią samochodem, odpinając pasy, po czym otwieram drzwi, wysiadam i rzygam.

Silnik gaśnie i słyszę nadjeżdżające mondeo, które ryje pobocze, silnik zaczyna wyc, auto podskakuje jak suchy groch na podłodze. Torsje mijają, najgorsze mam za sobą.

Mondeo zatrzymuje się, Juhani wyskakuje ze środka. Trzyma w ręce coś długiego i błyszczącego. Zamierzam wrócić do samochodu, ale nie mam w dłoni kluczyków. Nie widzę ich na ziemi. Zerkam do środka, stacyjka jest pusta.

Juhani jest dziesięć metrów ode mnie.

Zbliża się od drogi i widzę już, co ma w ręce.

Mógłbym krzyczeć o pomoc, ale w zasięgu wzroku nie ma ani jednego domu ani człowieka, poza tym nie potrafię złapać oddechu, a gardło mnie boli, jakby ktoś je szorował od środka.

Mój wzrok ogniskuje się na ręce Juhaniego. Jakiś miecz samurajski. Może o parę centymetrów krótszy, ale kształt, błysk i ostrość są takie same. To wystarczy. Biegnę w przeciwnym kierunku.

Ziemia jest nierówna, zarośnięta. Ciągnie mnie w dół. Mógłbym krzyknąć, zapytać, czego chce, ale nie jestem w stanie. Juhani biegnie za mną. Mijamy drzewa. Przeszukuję kieszeń, uprzytamniam sobie jednak, że zostawiłem telefon w samochodzie. Wkrótce będziemy nad strumieniem. Nie widzę innej możliwości; sfruwam na pobocze, grunt usuwa mi się spod nóg, zjeżdżam coraz niżej, jestem po kolana w mule. Przez parę sekund nie widzę Juhaniego, potem pojawia się nade mną i wykonuje szalony skok.

Wielki facet przelatuje w powietrzu z mieczem w ręce niczym bohater komiksu. Mnie w tym czasie udaje się przebrnąć na drugą stronę rowu. I odwracam głowę.

W skoku Juhaniego jest siła, która wypycha całą sylwetkę naprzód, a Juhani pomaga sobie jeszcze ruchem rąk. Wygląda, jakby trenował w powietrzu na bieżni. Wreszcie ląduje. Nogi toną mu w mule, kolana odmawiają posłuszeństwa, prawa ręka trafia prosto w wyschnięte rozwidlenie grubego konara. Skierowany w górę miecz czeka na nadejście reszty Juhaniego. Ostrze trafia go pod podbródek i wychodzi przez czubek głowy, a dłoń dzierżąca rękojeść zatrzymuje się pod brodą. Juhani wygląda, jakby siedział i głęboko nad czymś rozmyślał – z mieczem w głowie.

Runąłem na nasyp. Po raz pierwszy od dłuższego czasu udaje mi się porządnie wciągnąć powietrze. Wstaję, a kiedy jestem pewien, że nogi mnie uniosą, przedzieram się przez muł, wspinam na pobocze, znajduję jakąś ścieżkę, chwiejnym

krokiem docieram do samochodu i padam do środka. Kluczyki leżą pod przednim siedzeniem. Zdejmuję buty i skarpetki i zawijam nogawki spodni. Czyszcę buty, jak mogę najlepiej, i wkładam je na gołe stopy. Maszeruję do mondeo, wyciągam kluczyki ze stacyjki, zamykam drzwi i wyrzucam kluczyki w trawę.

Wracam do swojego samochodu, uruchamiam silnik, zamykam drzwi, zapinam pasy i odjeżdżam, patrząc w lusterko wsteczne.

Mondeo wygląda tak, jakby celowo zostało zaparkowane w zatoczce. Może Juhani będzie mógł przynajmniej przez jakiś czas posiedzieć sobie nad strumieniem i porozmyślać w samotności, wolny od wszelkich spojrzeń.

Zaczynam rozumieć, że zdarzały się już nie takie rzeczy.

CZĘŚĆ II
ŻYCIE

1

Woda spływa do umywalki, Taina znika w kłębach pary. Potem znów się pojawia, nagie ramiona są naprężone, w rękach trzyma garnek. Ziemniaki parują, w ich łagodnym zapachu mieszają się woń ziemi i słodczy. Gdy idę do kuchennego stołu, Taina zerka w moją stronę; nie patrzy mi w oczy ani nie śledzi moich kroków.

– Cześć – mówi. – Tak myślałam, że się zdrzemnąłeś. Roladki z mielonego i grzybów. Sos cebulowo-śmietanowy. Młode ziemniaki. Żytni chleb. Dużo solonego masła. Pomyślałam, żeby na deser usmażyć na zewnątrz naleśniki, do tego dżem truskawkowy, dopiero co zrobiłam, i bita śmietana.

– Brzmi nieźle – przyznaję. – Wręcz wspaniale. Powiedziałbym nawet: wyśmienicie!

Taina odwraca głowę. Uśmiecham się do niej.

Moja żona.

Sto sześćdziesiąt sześć centymetrów stuprocentowej kobiety. Gęste ciemne włosy do ramion, szaroniebieskie okrągłe oczy, zgrabny nosek i wielkie roześmiane usta oraz białe zęby.

Jemy zawsze o szóstej. Zdążyłem wziąć prysznic, wrzucić do pralki zabłocone ubranie, wynieść do śmietnika zniszczone buty, podskoczyć do apteki i spędzić wystarczająco dużo czasu, leżąc na plecach w naszej sypialni i gapiąc się w sufit. Słyszałem, jak Taina wróciła do domu, zawołała „Hej!” i zabrała się w kuchni do przygotowania obiadokolacji. Nie wiem, gdzie była wcześniej. Mam nadzieję, że w pracy.

– Chyba pospałeś trochę dłużej – mówi z uśmiechem, niosąc na stół garnek z ziemniakami.

Siadamy na swoich miejscach. Nie wiem, czy uda mi się cokolwiek przełknąć. Podajemy sobie nawzajem półmiski. Po chwili jedzenie dymi nam z talerzy. Unoszę kieliszek.

– Twoje zdrowie!

Sięga po kieliszek, patrzy mi w oczy. Wznosimy toast i pijemy.

– Dawno nie widziałam na tobie tej koszulki – odzywa się.

Nigdy jej się nie podobał mój T-shirt ze Snacky Girl, który otrzymałem w dodatku do jakiejś maksiporcji. Koszulka absolutnie nie jest stylowa, a ja ważę o jedno dziecko więcej niż wtedy, kiedy ją dostałem. Ale właśnie ten strój w jakiś sposób wydał mi się dzisiaj stosowny. Na obcisłym białym T-shircie widnieje wielkie, rażąco kolorowe zdjęcie nieznannej mi blondynki, która w skąnym żółtym bikini opiera się o podwójnego hamburgera z wystającym apetycznie wołowo-wieprzowym mielonym.

– Byłem w takim nastroju, żeby ją założyć. – Wpatruję się w talerz. Wiem, że roladki będą rozpląwać się w ustach, sos jest tak pyszny, że w normalnych warunkach mógłbym go

wręcz pić. Sytuacja jest niewątpliwie kłopotliwa. – Jak ci minął dzień?

Ona już je. Apetyt jej dopisuje, jak zawsze.

– Zwyczajnie – odpowiada pomiędzy jednym kęsem a drugim.

Spoglądam na nią. Odpowiedź jest jednocześnie zrozumiała i wstrząsająca. Taina przełyka jedzenie.

– Z jednym wyjątkiem – dodaje. – Słyszałam, że przyjechali do nas ci kołesie z Grzybów Hamińskich. O co im chodziło?

– Pojęcia nie mam – odpowiadam.

– Czego chcieli?

– Chyba po prostu poinformować, że pracują teraz w tej samej branży.

– I przyjechali specjalnie pod naszą firmę, żeby o tym powiedzieć?

– Tak zrozumiałem treść ich przekazu. W ogólnym zarysie.

– W ogólnym zarysie – powtarza za mną i spogląda na mój talerz. – Wszystko dobrze?

– Fenomenalnie. – Odkrawam plaster roladki, przesuwam nożem kawałek ziemniaka. – Konkurencja faktycznie nam rośnie. Sądząc po tym, co zrozumiałem, mają zupełnie nowy sprzęt i cała reszta też już jest gotowa. Interesował ich przyjazd Japończyków.

Taina unika mojego spojrzenia, przesuwa wzrok w stronę własnego talerza.

– Ale z tego, co wiem, Japończycy nie pojawią się tu przez całe lato – dodaję, nie spuszczaając z niej wzroku. – Zresztą po co by mieli przylatywać, wszystko przecież jest u nas w porządku i ustaliliśmy cały plan, od terminów importu po ceny. Ale tym kołesiom powiedziałem coś innego.

Moja żona zerka najpierw na podwórze, potem patrzy na mnie.

– Co?

– Że Japończycy przylecą za półtora tygodnia.

– Dlaczego?

– Dlaczego powiedziałem, czy dlaczego Japończycy mają przylecieć?

– Dlaczego tak powiedziałeś? – W głosie Tainy słychać nutkę irytacji.

– Zagrałem na czas. Uważam, że oni nie są tymi, za kogo się podają.

– A za kogo się podają? – pyta.

– Za przedsiębiorców z Grzybów Hamińskich.

Taina patrzy na mnie, nic nie mówi, tylko je. Ja przez cały dzień nie miałem w ustach nic poza lodami, ale nie jestem głodny. Porcja na moim talerzu przestała dymić. Taina je ze smakiem, zagryza mięso kromką razowca, a potem widelcem wyławia tak duży kawałek rolady, że kiedy wkłada go do ust, musi się skoncentrować na gryzieniu.

Energiczne bzykanie na świeżym powietrzu niewątpliwie doskonale wpływa na apetyt.

– I w związku z powyższym... – dodaję. – W związku z Grzybami Hamińskimi czy jak ich tam zwał, a ogólnie ze wzrostem konkurencji... obiecałem Sanni podwyżkę.

Drgnięcie jest nieznaczne, mimo to je dostrzegam. Widelec omal nie wypadł Tainie spomiędzy palców, lecz natychmiast go przytrzymuje.

– Słucham?

– Sanni to najlepsza specjalistka, jaką kiedykolwiek mieliśmy, a odkąd nadzoruje zbiory, mogliśmy mieć

stuprocentową pewność, że znajdzie sobie do pomocy najlepszych z tej okolicy. Jest zdolna i rozumie, jakie wyzwania stoją przed naszą działalnością. To dla nas inwestycja i ubezpieczenie. Zależy nam na tym, żeby została w naszym gronie, i nie chcemy, żeby przeniosła się na przykład do Grzybów Hamińskich.

Taina odkłada widelec na talerz i odchyła się na oparcie krzesła. Ruchy i przesunięcia nie są duże, ale nie można ich przeoczyć.

– Widzę, że przemyślałeś sprawę – mówi. – A zastanawiałeś się, skąd wziąć na to pieniądze?

Ja także odkładam sztućce. Taina najwidoczniej nie ma nic przeciwko temu. Tyle że jej talerz jest prawie pusty, a mój wciąż nietknięty.

– Wiem, jak to rozwiązać – odpowiadam. – Zrobiłem dokładne wyliczenia i rozeznałem się co nieco w kwestii samochodów. Doszedłem do wniosku, że nie musimy kupować Petriemu nowego i nie musimy tego lata dawać mu podwyżki. Jest przecież taki młody, w wielu sprawach jeszcze niedoświadczony, więc nagradzanie go na tym etapie mogłoby mieć na niego zgubny wpływ. Moim zdaniem na razie powinien wykazać, dlaczego jest dla nas ważny i co takiego może nam zaoferować. Myślę, że musi najpierw... jak by to wyrazić... wyrosnąć na ludzi. To w końcu jeszcze totalny żółtodziób, dzieciak, same mięśnie i ani krztyny inicjatywy.

Na twarzy Tainy pojawia się delikatny rumieniec – od szyi po policzki.

– Obiecaliśmy mu nowy wóz i podwyżkę.

Kręcę głową, usiłując za wszelką cenę sprawiać wrażenie zamysłonego.

– Obiecałem mu, że możemy przedyskutować sprawę. To zupełnie co innego.

Jej twarz jest teraz czerwona aż po cebulki włosów.

– On potrzebuje nowego samochodu – mówi Taina, nie patrząc mi w oczy, tylko gdzieś w lewo, może na salon. – Jest niewiarygodnie usłużny, energiczny i wbrew temu, co twierdzisz, pełen inicjatywy.

– Podjąłem już decyzję – ucinam. – To Sanni jest osobą, w którą teraz zainwestujemy.

Taina porusza się na krześle. Nie żeby się wiła, ruch jest znacznie bardziej niepozorny, ale jest w nim niepokój. Przechodzę do właściwego tematu.

– A właśnie. Doszedłem do wniosku, że powinniśmy zacząć zdrowiej się odżywiać.

Niepokój Tainy ulatnia się, na jego miejscu pojawia się nieznany mi ciężar, ciemny grymas, który sprawia, że czerwień twarzy staje się bardziej błyszcząca, twardsza.

– Co?

...najprawdopodobniej w grę wchodzi truczny pochodzenia naturalnego, więc wygląda na to, że będziemy mogli ustalić, czy ich źródłem są rośliny, grzyby czy...

Z głosem lekarza brzęczącym w głowie opuszczam łokcie na stół.

– Jemy bardzo dużo tłustych rzeczy. Odkąd jesteśmy razem, przybyło mi kilka kilogramów. Ścisłe mówiąc, dwadzieścia cztery. To tyle, ile ważyłem w pierwszej klasie podstawówki. Czasem mi się wydaje, że wszędzie ciągnę za sobą tego chłopca. Proponuję, żebyśmy odeszli od sosów, ciężkich gulaszy, zapiekanek, potraw jednogarnkowych i roladek, nawet jeśli są przepyszne, i przerzucili się na nieco

zminimalizowaną dietę, w której składniki byłyby... jak by to powiedzieć... bardziej widoczne i na wierzchu.

Taina wpatruje się we mnie. Nigdy nie widziałem w jej oczach takiego koloru. To kwestia zachodzącego słońca, wiszącej nad kuchennym stołem lampy z energooszczędną żarówką, której światło jest zawsze kusząco matowe, czy czegoś jeszcze innego?

– Skąd ta... potrzeba oglądania składników?

Patrzemy na siebie. Cisza jest pełna napięcia, fal radiowych, których nie rejestruje ani jedno urządzenie. Odchylam się na oparcie krzesła i poklepuję brzuch.

– Chciałbym to zgubić. Wrócę do takiej formy, w jakiej byłem, kiedy się poznaliśmy.

Nadal się waha, zwłoka jest króciutka, ale nie umyka mojej uwadze.

– Tak? – rzuca w końcu Taina. – Niczego sobie wyzwanie.

– Ale dzięki nowej diecie i długoterminowemu programowi treningów całkowicie wykonalne. Możemy też powrócić do wspólnego biegania. Do Bożego Narodzenia po brzuchu nie będzie ani śladu.

Taina sprawia wrażenie, jakby chciała coś powiedzieć, ale milczy. Patrzy przed siebie. Wstaje, zabiera swoje nakrycie, pochyla się, bierze również moje i odchodzi.

Stoi twarzą do umywalki, kiedy przerywam milczenie.

– Hej, jeszcze coś.

Zamiera z talerzami w ręce i nie odwraca się, kiedy pytam:

– Widziałas gdzieś jeża?

2

Poranek ma zapach złota i soli. Woda bawi się u stóp pomostu. Nigdy nie pływam rano w morzu, dziś tak. Nurkuję. Przy samej powierzchni woda jest ciepła, ale już na głębokości pół metra czuję uchwyt zimnej pięści. Powracam na powierzchnię, mrużę oczy.

Swobodna żabka, wzrok na przeciwległym brzegu. Świat jest pełen nowego światła.

Przetrwałem noc. Odnalazłem w sobie przedziwne siły. Leżałem obok Tainy, czuwając, i nie oskarżałem jej o zamordowanie mnie (na to będę potrzebował dowodów), pomiędzy północą a szóstą rano zdołałem wypić litr jogurtu AB, wzmocnionego miodem, i rozmyślałem nad swoją sytuacją oraz następnymi możliwymi krokami.

Cokolwiek mówi się o śmierci, nie należy lekceważyć jej wyszczuplającego wpływu. Kąpielówki, które jeszcze na początku lata uciskały mnie na biodrach i w pachwinach, znamionując pojawienie się przepukliny, dzięki przymusowemu postowi zrobiły się całkiem wygodne.

To oczywiście tymczasowe, ale – teraz to wiem – takie jest też życie. Dziwne, że długo żyłem tak, jakbym nigdy nie miał umrzeć, jakby po minionym lecie obiecano mi kolejne,

z jakiegoś powodu lepsze. A jednak do dyspozycji jest tylko okamgnienie: chwila słońca, jasność, której nie pojmujesz, czas, który tylko znika.

Nocne przemyślenia to szkielety myśli dziennych, powyginane ciała marzeń. Zrozumiałem to o czwartej nad ranem, kiedy przebudziłem się z krótkiego konwulsyjnego półsnu. Bałem się, że żyłem źle, że straciłem swoje życie. To był strach przed nieodwracalnością, jakbym biegł po krawędzi przepaści i podrygiwał nogami nad nicością.

Ale słońce, morze i nowy poranek zdają się mieć nad tym wszystkim uzdrawiającą moc.

Trudno powiedzieć, co z tego wynika z szoku, co jest skutkiem zatrucia, a co ogólnego rozbudzenia do tego, co w życiu mam, a czego nie. Ale to, co wydarzyło się wczoraj, było być może najlepszym, co mnie spotkało. Bo dosłownie wrzuciło mnie w centrum mojego życia.

Stanowię tak silną jedność z wodą i światłem, ze swoim tu i teraz, że dostrzegam mężczyznę, dopiero kiedy usiłuję się podnieść do pionu i zauważam, że woda sięga mi tylko kolan.

Granatowe dzinsy, które nie leżą zbyt dobrze, T-shirt z logo festiwalu truskawkowego w Suonenjoki, czarno-białe sportowe buty marki Puma. Mężczyzna stoi w zaroślach na brzegu i jest moim rówieśnikiem, ale waży zdecydowanie mniej ode mnie. Dlaczego wciąż myślę o swojej wadze? Dlaczego właśnie teraz, kiedy nie powinno to mieć żadnego znaczenia? A może jednak ma? Słyszę głos Juhaniego, wyzywającego mnie od prosiaków, i wiem już, dlaczego mężczyzna tu przyszedł.

– Jaakko Kaunismaa? – pyta, a kiedy potakuję, wytrząsając z oczu morze, mężczyzna wskazuje dłonią odznakę policyjną

wiszącą na jego szyi. – Nazywam się Mikko Tikkanen, jestem z komendy policji w Haminie. Jeśli to panu nie przeszkadza, miałbym parę pytań.

– Oczywiście – odpowiadam.

Brodząc, docieram do pomostu, biorę ręcznik i wycieram najpierw twarz. Z jakiegoś powodu sucha twarz wydaje się bardziej własna i łatwiej zapanować nad jej grymasem.

Mikko Tikkanen przemierza kilka słonecznych metrów po połyskującej słońcem trawie i wchodzi na pomost, który ma w sumie jakieś osiem metrów. Chwilę później stoimy naprzeciw siebie w połowie jego długości. Mikko Tikkanen ma wokół ust ciemny prostokąt – precyzyjnie wystrzyżoną bródkę. Jego oczy są serdeczne i czujne. Wyjmuje z kieszeni kartkę i spogląda na nią. Na podstawie tego, jak się wypowiada, wnioskuję, że kartka stanowi tylko rekwizyt. I bez niej by wiedział, jak przeprowadzić tę rozmowę.

– Otrzymałem zgłoszenie kradzieży samurajskiego miecza, którego właściciel ma powody przypuszczać, że to pan mógł go zabrać... podczas bezprawnej wizyty w siedzibie spółki akcyjnej Grzyby Hamińskie przy Teollisuuskatu dwadzieścia siedem, wczoraj pomiędzy dwunastą czterdzieści jeden a dwunastą czterdzieści sześć, na co dowodem jest nagranie z kamery i ślady butów na podłodze.

Tikkanen patrzy na mnie. W kąpielówkach czuję znajomy ucisk z początków lata. Nie mogę kłamać.

– Nie ukradłem miecza – mówię.

Policjant bada mnie wzrokiem. Wycieram plecy. Wiatr na skórze jest jak ciepły oddech małego zwierzaka, przyjemny i miękki.

– Przyznaje pan jednak, że był pan w siedzibie Grzybów Hamińskich wczoraj o godzinie...

– Jeśli tak jest na nagraniu, to chyba trudno by mi było zaprzeczać.

Zbывa moje słowa milczeniem. Wpadam na coś.

– Jeśli to jest nagrane, to sprawa jest jasna – rzucam.

– Jak to?

– Na nagraniu widać, że nie zabrałem miecza. Ani niczego innego.

Wszystko to prawda.

– Kamera jest tylko jedna – odpowiada policjant. – A na materiale, który oglądałem, widać tylko, jak włamuje się pan do pomieszczeń firmy. Nie widziałem, jak pan wychodzi.

– Nie włamałem się – prostuję i wzdycham. – Wszedłem do środka. Drzwi były otwarte.

– Dzwonił pan do drzwi?

– Tak.

– Ktoś panu otworzył?

– Nie.

– Co to pańskim zdaniem oznacza?

Patrzemy na siebie. Strużka wody łaskocze mnie pomiędzy udami, a po chwili wypływa strumyczkiem z kąpielówek, ale nie czuję się wystarczająco swobodnie, żeby zacząć teraz poklepywać sobie rącznikami przyrodzenie.

– Niekoniecznie musi cokolwiek oznaczać – mówię. – Pracownicy mogli być zajęci. Hałasy maszyn mogły zagłuszyć dźwięk dzwonka.

Tikkanen milczy.

– No dobrze – przyznaję. – Mogłem zatrzymać się w wejściowym holu. Ale poszedłem dalej.

– Dlaczego?

Pytanie pojawia się jakby z innej strony niż te poprzednie, jest zadane przez zwykłego gościa, który nazywa się Mikko Tikkanen i ma na sobie koszulkę z truskawkowego festiwalu.

– Byłem ciekawy – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– W związku z czym?

Znowu Mikko Tikkanen bez słowa „policjant” na wizytówce.

– Jestem przedsiębiorcą, eksportuję grzyby. Założyliśmy z żoną firmę trzy i pół roku temu. Budowaliśmy ją cierpliwie, tworzyliśmy wszystko perspektywicznie, z myślą o kolejnych latach. Grzyby Hamińskie pojawiły się nagle nie wiadomo skąd. Chciałem się przywitać, popytać o kwestie zawodowe.

– Dlaczego akurat wczoraj?

Ponieważ wczoraj umarłem. Ponieważ wczoraj odzyskałem życie.

– Może dlatego, że sezon się zbliża. Wkrótce rozpoczynamy zbiory, w weekend mają być burze i deszcze, a zaraz potem grzyby...

Tikkanen odwraca głowę, patrzy w stronę Tervasaari.

– Dlaczego grzyby?

– Słucham?

– Co pana interesuje w grzybach? Co sprawiło, że zaczął pan zbierać grzyby?

– Nie zbieramy grzybów – odpowiadam. – To znaczy zbieramy, ale nie my sami. I grzybobranie nie jest tym, do czego się zabraliśmy. Straciliśmy pracę i moja żona przeczytała w jakiejś gazecie, że Japończycy uwielbiają gąski sosnowe i specjalnie po nie przylatują do Finlandii. Pomyśleliśmy, że moglibyśmy dostarczać je Japończykom.

– Pańska żona powiedziała to samo.

– Moja żona?

Tikkanen znów na mnie patrzy.

– Taina Kaunismaa – odpowiada powoli. – Przed chwilą z nią rozmawiałem. To od niej się dowiedziałem, gdzie pana znajdę.

– Tak, oczywiście – potakuję.

Jestem prawie suchy. Przewieszam ręcznik przez rękę. Potrzebuję ciuchów, czegoś, w czym się schronię.

– Powiedziała także, że nie widziała miecza.

– Oczywiście, że nie.

– Czyli nie zabrał go pan i miecz nie jest w pańskim posiadaniu.

Mam w głowie obraz Juhaniego, jak siedzi solidnie na nasypie strumienia: miecz wyrasta mu z głowy jak antena, którą próbuje wychwycić odległe stacje.

– Nie zabrałem. Nigdy nawet nie trzymałem takiego w ręce.

Tikkanen spogląda na mnie bez słowa. Nie wiem, co ta nowa mina oznacza. Jest poważny, ale wygląda równocześnie, jakby był szczerze podekscytowany... Nie, wcale nie podekscytowany, tylko ciekawy.

– A chciałby pan?

Chciałbym zejść z pomostu. Wskazuję brzeg, na ręce mam przewieszony ręcznik.

– Muszę iść do pracy – mówię. – Zaczyna się sezon.

Nie spuszcza ze mnie wzroku. Nie wierzę, by przez parę sekund cokolwiek się w nim poruszyło. Przechodzi mi przez myśl, że może nawet przestało mu bić serce. Wreszcie się odzywa:

– Oczywiście.

Odwraca się i schodzimy z pomostu na trawę, a ziemia pod stopami wydaje się obiecana. Jakbym sprytnie się z czegoś wykaraskał. Mijam Tikkanena i ruszam w stronę naszego domu, który połyskuje pomiędzy liśćmi drzew. Tikkanen jest jak rzep. Zaczynam się czuć naprawdę niekomfortowo.

– Oczywiście kojarzę pana i pańską żonę – odzywa się za moimi plecami. – Chociaż nie spotkaliśmy się wcześniej. Małe miasto. Wieści szybko się rozchodzą. Niewiele się wydarza takich rzeczy, które prędzej czy później nie trafią do wiadomości innych. Trudno utrzymać tajemnice. Jak coś się komuś powie, to równie dobrze można by zaraz potem zorganizować konferencję prasową na środku rynku.

Dochodzimy na podwórze.

– Pańska żona sprawia wrażenie sympatycznej – dodaje.

Dostrzegam przy drodze samochód, który nie wygląda znajomo. Musi należeć do Tikkanena. Zapamiętuję markę i model.

– Powinienem... – zaczynam.

– Czas zbiorów – rzuca. – Rozumiem.

Dochodzę do schodów. Zerkam za siebie.

– Wszystko na pewno w porządku? – pytam.

– Z mojej strony tak.

– Nie podejrzewa mnie pan o kradzież miecza?

Tikkanen odpowiada dopiero po chwili.

– Nie.

Odwraca się do drzwi samochodu. Zaczynam już myśleć, że mam to z głowy, kiedy słyszę, jak pyta:

– Dobrze się pan czuje?

Początkowo nie rozumiem pytania, ale potem wyczuwam coś pod nosem. Ocieram dłonią górną wargę. Krew.

– Czasami tak mi się robi od pływania – wyjaśniam.

– Właśnie.

Kiedy wchodzę do środka, Taina stoi przy oknie, pośrodku jego szerokości, plecami do mnie. Wokół niej budzi się nowy dzień. Kiedy się spędziło z kimś ileś tam lat, wystarczy rzut oka na układ ciała i pochylenie głowy tej drugiej osoby, by wiedzieć, w jakim jest właśnie nastroju. Taina nie odwraca się, najprawdopodobniej nie spuszcza wzroku z oddalającego się samochodu Tikkanena.

Zatrzymuję się w przejściu pomiędzy kuchnią a salonem. Czuję prąd powietrza. Dopiero teraz moje uda są już zupełnie suche. Równocześnie dobre samopoczucie, którym cieszyłem się, pływając w srebrnej wodzie, znika bezpowrotnie. Jestem poirytowany i zziębnięty.

– Policja – mówi Taina.

– Tak.

– Nie rozumiem. Dlaczego on tu przyszedł?

– Pytał o jakiś miecz samurajski.

– Tyle wiem, bo o to samo pytał także mnie. Ale dlaczego szukał czegoś takiego tutaj, u nas?

Nie odwraca się.

Odkąd wieczorem podziękowałem jej za jedzenie i zaniósłem Veikkowi mleko na spodku, właściwie nie widziałem jej oczu. Może mnie unika, spotkania naszych spojrzeń. Dobrze to rozumiem. Ja też uważam, że czymś innym jest patrzeć w oczy żonie, którą widziałem bzykającą

się z naszym pomocnikiem, niż żonie, która robi mi w zwykły poranek kawę. Zaledwie dobę temu... Wzdycham w myślach. Tylko dwadzieścia cztery godziny temu wszystko było inaczej.

– Nieporozumienie – rzucam. – Ktoś przekazał błędne informacje, pomylił mnie z kimś innym. Oczywiście nie zabrałem znikąd żadnego miecza. Nie jestem złodziejem.

– Co mu powiedziałeś?

– Co masz na myśli?

– Co powiedziałeś policjantowi?

– To samo. A co miałem powiedzieć?

Taina nie odpowiada od razu. Odwraca się odrobinę. Mimo niewielkiego wzrostu jest imponującą kobietą. Ma na sobie obcisły różowy T-shirt, a jej piersi, pod tym kątem, w tym świetle, wyglądają okazale. Zauważam, że znów myślę o *Słonecznym patrolu*, choć nie do końca rozumiem dlaczego, po wszystkich tych latach.

– Nic, oczywiście – odpowiada. – Przestraszyłam się tylko... chyba. Małe miasto i w ogóle. Zainteresowanie policji to nie jest wielki powód do radości. Zwłaszcza ze względu na firmę. Opinię łatwo się traci.

Kiedy to mówi, obraca się już całkiem w moją stronę. Światło bijące z za szyby sprawia, że cała twarz ginie w cieniu.

– Ale jeśli w grę wchodziło nieporozumienie – dodaje – to o całej sprawie można zapomnieć i nie będziemy musieli tego Tikkanena już u nas oglądać.

– Nie zapraszam go tutaj.

– Bo nie ma żadnego powodu.

– Bo nie ma żadnego powodu – potwierdzam.

Robi krok w moją stronę. Znów wciągam brzuch. Zaczynam rozumieć mechanikę, jaka się z tym wiąże: kiedy

ktoś się zbliża, staram się wyglądać lepiej niż w rzeczywistości. Zjawisko jest ogólnoludzkie, rozumiem to, ale w tej fazie mojego życia – czy też śmierci – wymaga ode mnie sporego wysiłku.

– Myślałam o tym, co wczoraj zaproponowałeś – mówi Taina.

– Zaproponowałem dużo różnych rzeczy.

– Lżejsze jedzenie. Masz rację. Odżywiamy się stanowczo zbyt tłusto.

Próbuję się uśmiechnąć. Morze chyba zamieniło mi twarz w słup soli. Policzki się mnie nie słuchają.

– Dalej będziesz gotować? – pytam.

– Chętnie. Czeka mnie ciekawe wyzwanie. Potrzebuję czegoś takiego. Odmiany dobrze robią. Kto by miał siły jeździć na biegówkach ciągle po tych samych szlakach?

Taina czerwienieje. Może domyślam się przyczyny, może nie. Chcę coś powiedzieć na temat wymiany kijków, ale pewnie akurat teraz byłoby to zbyt wiele. Mam pewne zobowiązania w związku ze swoimi badaniami. To zobowiązanie wobec samego siebie.

– Co byś dzisiaj zjadł? – pyta.

Nie mogę powiedzieć, że może szklanekę jogurtu. Muszę być sobą, żywym sobą.

– Bez różnicy – odpowiadam i przypomina mi się, co przeczytałem kiedyś u fryzjera w jakimś kobiecym magazynie. – Żeby tylko było dużo protein.

3

Maska samochodu jest uniesiona, Petri pracuje bez koszuli, ma na sobie czerwone szorty. Słońce dopiero rozpoczyna wędrówkę, ale już teraz jego żar pali skórę. Petri jest opalony, umięśniony i porażająco młody; ja nie.

Silnik motoroweru wyje gdzieś niczym kosiarka cierpiąca na mutację. Od granicy lasu dzieli nas jakieś pięćdziesiąt metrów, choinki prażone słońcem wyglądają jak sieroty, znalazły się w niewłaściwym świecie. Jesteśmy na tylnym podwórzu firmy.

Nic nie wiem o samochodach. Jak z autem jest coś nie tak, odstawiam je do naprawy. Nigdy nie interesowało mnie, co kryje się pod maską. Niewątpliwie może być tego sporo, bo Petri jest tak skoncentrowany, że nie słyszy mojego nadejścia. Stoję po przeciwnej stronie samochodu, patrzę na jego ręce manewrujące nad silnikiem. To silne, umiejętnie ręce: palce są zręczne, bicepsy rodem z telewizyjnych zawodów sportowych. Przez jakiś czas mu się przyglądam. Wreszcie Petri dostrzega mnie i podnosi wzrok.

– Nie przeszkadzaj sobie – rzucam.

Patrzy mi w oczy przez jedno mgnienie. Potem na jego twarz znów opadają ciemne włosy.

– Gdzieś tu coś szwankuje – mówi.

– Jak to możliwe? – dziwię się. – Taki dobry samochód.

Ręce Petriego nie przerywają pracy.

– Stary – odpowiada. – Trzeba by kupić nowy.

Przez chwilę nic nie mówię. Petri dociska jakąś śrubę czy nakrętkę, widzę to po mięśniach jego ramienia.

– Mamy to w planach – odzywam się wreszcie. – Gdy tylko pozwoli na to sytuacja finansowa.

– Nie wiem, ale codziennie mi schodzi, żeby go utrzymać w dobrym stanie. Godzina albo dwie.

Może to dobrze, myślę, w przeciwnym razie nic by już nie różniło ciebie i mojej żony od miejscowych królików.

– Cierpliwości – radzę mu. – Wszystko w swoim czasie.

– No chyba.

– Jesteś w ogóle zadowolony? – pytam.

Petri kładzie obie dłonie na samochodzie i wygląda, jakby chciał się wyprostować, odpychając się rękami. To oczywiście zbędne. Nie potrzeba mu do tego żadnego wsparcia. Ma brzuch płaski jak deska do prasowania i plecy zawodowego pływaka. Zdołałby się podnieść, nawet gdyby leżał wyciągnięty na rozkładanym fotelu ogrodowym, skazany na łaskę i niełaskę swego jeźdźca. Patrzy na mnie pytająco.

– Ze swojej pracy – precyzuję. – Ze swoich zadań.

Milczy ze wzrokiem utkwionym we mnie.

– Co masz na myśli?

– Jak ci się podobają twoje aktualne obowiązki zawodowe? Jesteś zadowolony z tego, co robisz? Pewnie wiesz, że znaleźliśmy się w nowej sytuacji.

Jego wzrok prześlizguje się z samochodu na niebo, z nieba na czyściwo, które trzyma w ręce.

– Jak to w nowej sytuacji?

– Mamy konkurencję. Trzech facetów, tam, na końcu ulicy.

Petri zerka na bok, jakby oczekiwał, że zobaczy zaraz koleśki z Grzybów Hamińskich. Ale po tej stronie jest tylko ściana z jasnej cegły i spłowiałe od słońca trawy. Potem znów patrzy na samochód i jego silnik i nic nie mówi. Wygląda na jeszcze młodszego niż przed chwilą.

– A tak... Oni.

– Chcieli cię u siebie zatrudnić?

Waha się, co widać po jego dłoniach. Nagle stają się niepewne, nie wiedzą tak dobrze jak jeszcze przed chwilą, co powinny robić.

– Możesz być wobec mnie zupełnie szczery – dodaję. – To nic złego, że ktoś cię namawia do pracy. Też bym to zrobił. Taki młody człowiek, który ma zdolności i aż nadto energii. Który działa bez niczyich próśb i robi więcej, niż nakazywałby umiar.

Petri uśmiecha się z trudem. Wiem z doświadczenia, że niełatwo wysłuchiwać pochwał i utrzymywać tajemnice dotyczące tej samej sprawy.

– No tak – rzuca.

– Czyli kontaktowali się z tobą?

Potakuje.

– Oferowali ci większe pieniądze? – pytam.

Patrzy na bok. Kręci głową.

– Nowy samochód.

– Mogłeś powiedzieć. Powinieneś od razu przyjść z tym do mnie.

Teraz patrzy mi w oczy.

– Ale...

– Coś byśmy wymyślili. Sprawę z samochodem załatwimy, jak nadejdzie jego pora. Ale wcześniej są na pewno takie kwestie, co do których możemy tak czy inaczej dojść do porozumienia. My dwaj moglibyśmy dużo sobie nawzajem dać.

Petri spuszcza wzrok, zatrzymuje go na silniku.

– Proponuję, żebyśmy nad tym popracowali – ciągnę. – Założmy coś w rodzaju dwuosobowej kuźni pomysłów, takie centrum kreatywności, jak to się mówi.

– Nie wiem...

– Petri, powiem ci teraz coś w zaufaniu, tak między nami.

Jego ręce nie są już równie szybkie ani pewne jak przed chwilą. Drżą. Drżenie jest minimalne, ledwo widoczne, ale ja je dostrzegam. Robię celowo długą przerwę, podczas której pochylam się nad silnikiem w ten sposób, że otwarta maska tworzy dla nas swoistą kryjówkę.

– Widzę, że masz w sobie więcej ambicji niż ktokolwiek inny w tej firmie. Mam wrażenie, że jesteś gotowy na wszystko. To dobrze. Ambicja to rzecz godna pochwały. Chcesz zajść w życiu daleko. I tak trzeba. Doskonale, że robisz rozeznanie swoich możliwości. Chciałbym dać ci przyjacielską radę. Bo przecież mogę nazywać cię przyjacielem?

Odpowiada coś, ale tak cicho i w kierunku swej dłoni, że wyłącznie czyściwo w jego pięści może to dosłyszeć.

– Rada od przyjaciela – ciągnę – jest taka, że potrzebujesz przyjaciela. Kogoś, z kim można porozmawiać o sprawach, nazywając rzeczy po imieniu. Nie sądzę, że dążysz wyłącznie do nowego dostawczaka. Chcesz więcej. Mam rację?

Jego ręce się zatrzymują. Petri podnosi się, ale wzrok opuszcza jeszcze niżej, do poziomu tenisówek.

– Trochę się spieszę...

– Oczywiście – mówię. – Ale wrócimy do tego, mój nowy przyjacielu.

– Nie wiem...

– Przy pierwszej okazji – obiecuję.

Odwracam się i odchodzę. Nie słyszę, by poruszył się w jakąkolwiek stronę.

4

Mój problem polega na tym, że nie wiem, kiedy umrę. Nie wiem, czy nastąpi to za minutę, czy za tydzień. A z drugiej strony, czyż nie jest to podstawowy problem wszystkich ludzi, każdego z nas? Śmierć, na której wszystko ugrzęźnie, która położy kres wszystkim naszym planom, wraz z którą wygasną wszelkie oczekiwania.

Nikt jej nie uniknie. Ja umrę, ty umrzesz, on umrze, my umrzemy, wy umrzecie, oni umrą. Wszyscy umrą. Chwila klikania po internecie wystarczy, by stwierdzić, że liczba ludzi żyjących do tej pory przez cały czas trwania gatunku ludzkiego w ciągu ostatnich stu tysięcy lat wynosiła jakieś pięćdziesiąt miliardów. Każdy z nich umarł.

Wszyscy my, którzy żyjemy teraz – a po tych, co zniknęli z obiegu, zostaje okrągłe siedem miliardów – umrzemy i to stosunkowo niedługo, jeśli spojrzeć na sprawę z odrobinę szerszej perspektywy. Każdy człowiek, któremu uścisnąłem dłoń, którego widziałem, jadąc rano do pracy, każdy, którego znam, którego kiedyś poznałem albo na którego kiedykolwiek zerknąłem choćby mimochodem.

Wszyscy się usuną, każdy zostanie usunięty.

Choćbyś trzymał właśnie na rękach świeżo narodzonego niemowlaka, zasady są jasne: śmierć nadejdzie niczym butelka ze smoczką, równie ciepła i równie niezawodna. Śmierć to jedyna stała w życiu, to na swój makabryczny sposób jedyna rzecz, której naprawdę można zaufać.

Odchylam się na oparcie krzesła, oddycham i zastanawiam się, czy poza wszystkim innym nie zaczynam wariować.

Lekarz wspominał o możliwości porażenia mózgowego. Czy to właśnie to? Nie mam pojęcia. Czy człowiek wie, kiedy traci rozum? A może właśnie to, że nie jest w stanie tego rozpoznać, jest objawem utraty rozumu? Wzdycham głęboko, postanawiam uczesać włosy. Po porannej kąpieli wciąż mam na głowie nieład.

W każdym razie śmierć jest właśnie kolejnym pokojem, do którego wejść. Gdzieś tam, za drzwiami mojego gabinetu. Śmierć to coś konkretnego, to spotkanie, które zostało z mojej strony uzgodnione i z którego nie mogę się wycofać. A poza tym przypomina o sobie.

Ten poranek: krew ciekąca z nosa, atak bólu głowy, bóle żołądka i nerek, przedziwne wrażenie porażenia prądem i błyskawic w zasięgu wzroku. Trudno mi ocenić, czy jest tego tyle co wcześniej, czy coraz więcej.

Śmierć może nadejść w tym momencie: zamknę oczy, nigdy więcej już ich nie otworzę; spojrzę na zewnątrz, nie zobaczę nic, zawiążę sznurowadła, nie zrobię ani kroku.

Ktoś puka, więc jestem żywy.

Opuszczam dłonie na stół i odwracam głowę w stronę drzwi. Nie wiem, jak długo rozmyślałem – albo cierpiałem na

jakieś zaburzenie, trudno stwierdzić – ale sądząc po świetle w gabinecie, żyję wciąż w tym samym dniu co przed chwilą. Rozpoznaję, że to Raimo, zanim widzę go choćby częściowo. Pukanie jest szybkie, nierytmiczne i stanowcze. Po nim następuje otwarcie drzwi, od którego cierpią framugi.

Raimo wchodzi do pomieszczeń, jakby wątpił w istnienie zawiasów. Jest naszym kierownikiem do spraw zaopatrzenia. Mężczyzna w średnim wieku o ciemnych włosach; klóciłem się z nim więcej niż z kimkolwiek innym przez całe moje życie. Ma na sobie dżinsy, błękitną koszulę i bordową marynarkę. Termometr zewnętrzny wskazywał dwadzieścia pięć stopni już podczas mojej porannej kąpieli.

– Mogę na chwilkę? – pyta.

Kiwam głową. Raimo wchodzi, zamyka drzwi. Oprócz zawiasów ma najwidoczniej zastrzeżenia co do powszechnego użytkowania klamek. Drzwi zamykają się za nim z hukiem. Raimo siada na krześle po drugiej stronie biurka.

– Musimy zamówić nowe, bardziej wytrzymałe pudełka plastikowe, te z tych głębszych modeli, z otworami po boku. Mają dopływ powietrza, to zapewnia świeżość.

– Dlaczego?

– Bo tamci zamówili dwadzieścia tysięcy sztuk.

– Masz na myśli tych facetów z Grzybów Hamińskich?

Raimo potakuje. Potem przygląda mi się uważniej, najwyraźniej coś dostrzega. Ale nic nie mówi.

– Skąd wiesz, że zamówili pudełka w takich ilościach?

Odchrząkuje, chociaż głos miał do tej pory czysty.

– Tak się składa, że wiem.

To prezent Raima dla naszej firmy. Ten gość zdobywa wszelkie informacje i potrafi – przynajmniej po rozlicznych kłótniach i sporach – znaleźć dla nas najlepszych dostawców, wynegocjować najkorzystniejsze ceny.

– Model biodegradowalny?

Potakuje.

– Czyli na ten sezon – mówię. – To znaczy, że w pierwszym roku istnienia zamierzają zebrać dwa razy tyle co my w naszym trzecim, który był dla nas najlepszy.

Ponownie potakuje. Z jego miny, a właściwie jej braku, trudno cokolwiek wywnioskować. Raimo jest tak samo przykości jak ja: gość, którego zaskoczyły minione lata i pochłonięte jedzenie. Ale w jego przypadku masa rozłożyła się jakoś proporcjonalniej. Ja dźwigam w talii wypełnioną piaskiem piłkę plażową, u niego nadprogramowa energia rozprzestrzeniła się równomiernie jak masło na kromce chleba.

– I takie pudełko lepiej wygląda – dodaje Raimo. – Ludziom się spodoba. Jak się nasze stare położy obok tego, każdy wybierze to nowe niezależnie od grzybów w środku.

To jak historia mojego życia, myślę. Raimo poprawia sobie wąsy. Trwają niezmiennie na tej samej pozycji.

– Widzę tu parę małych... może nawet nie tak małych problemów – mówię. – Mamy jeszcze tyle starych pudełek, że wystarczyłyby na cały sezon. A po drugie, te nowe, biodegradowalne, są niewątpliwie atrakcyjniejsze, ale też więcej kosztują.

Raimo wyrównuje poły marynarki. Chce coś powiedzieć, ale się powstrzymuje.

– I to nie może zależeć od opakowania – ciągnę. – W dalszym ciągu mamy najlepszy produkt i z pewnością, ze stuprocentową pewnością, najlepszych zbieraczy.

– W których się inwestuje – dopowiada cicho. Spogląda za szybę, a potem wędruje wzrokiem za mój komputer i zatrzymuje spojrzenie gdzieś w pół drogi. Nie może tam być nic szczególnie interesującego.

– W pudełka zainwestujemy w swoim czasie – mówię. – Ale akurat teraz...

– Akurat teraz musimy zaatakować. – Raimo znów patrzy mi w oczy.

– Zaatakować?

– Pokazać, kim jesteśmy. Najlepszą grzybową firmą w mieście.

– Żyłem w przekonaniu, że jesteśmy najlepszą grzybową firmą w kraju.

– Jak dla mnie na jedno wychodzi.

Zapomniałem. Raimo to hamińczyk z krwi i kości. Dla niego Kouvola, od której dzieli nas tylko pół godziny jazdy, jest równie egzotyczna i zagraniczna jak Wenezuela; Kotka znajduje się na innej planecie, obcej i odpychającej. Nie mogę powiedzieć, że nie wierzę w sukces Grzybów Hamińskich, nie mogę zdradzić, że jeden z nich przebił już własną głowę mieczem.

– Co proponujesz? – pytam.

– Szybkie działanie. Zamówimy trzydzieści tysięcy pudełek, tego nowego modelu. Zapełnimy je i sprzedamy.

Nie jestem pewien, czy dobrze słyszałem.

– A jeśli nie znajdziemy grzybów? Wtedy będziemy mieć trzydzieści tysięcy pudełek, które podczas następnego sezonu

nie będą się już nadawały do użytku.

– Jest takie ryzyko – przyznaje Raimo. – Ale musimy je podjąć. Tu nie chodzi wyłącznie o pudełka. Pudełka są na grzyby, po to, żeby je zapełniać. Tylko jedni z nas mogą przetrwać. W tym mieście nie ma miejsca na dwie firmy robiące w grzybach.

– Co do tego całkowicie się z tobą zgadzam. – Nie dodaję, że teraz pozostaje nam tylko czekać, aż obaj pozostali konkurenci także się pozabijają. Tylko że to byłby kiepski żart, sam w to nie wierzę. – Ale jeśli będziemy teraz bezsensownie wydawać pieniądze, to to się skończy... – kiwam głową w stronę siedziby naszych przeciwników – ich zwycięstwem.

Raimo nie odzywa się. Najpierw myślę, że zastanawia się nad następną repliką, ale wkrótce zauważam, że mi się przygląda, bada mnie wzrokiem. Dostrzega, że to widzę, i znów odwraca wzrok ku oknu.

– Nie byłoby chyba fajnie, gdyby to miało być nasze ostatnie lato – mówi.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pytam.

– Jeśli karetka jedzie zbyt wolno, pacjent umiera, zanim dostanie się do lekarza.

Oddycham głęboko.

– Jeśli karetka jedzie za szybko, to umrze zarówno pacjent, jak i kierowca, pielęgniarz i lekarz – odpowiadam.

– Wiesz, o co mi chodzi.

Siedzimy w milczeniu. Potem słyszę przez otwarte okno odgłos uruchamianego samochodu. To oznacza, że Petriemu udało się naprawić silnik. Mam nadzieję, że właśnie to, co powiedziałem, zmusiło go do ruchu, wzbudziło w nim choćby

trochę paniki. Uważam, że mam do tego prawo. On również, że tak powiem, wkroczył na mój teren.

Muszę go złapać. Pospiesznie wstaję. Raimo spogląda na mnie pytająco. Firmowy dostawczak zawraca ślamazarnie na podwórzu.

– Siedź sobie – mówię. – Ja muszę lecieć.

– Co robimy? – pyta.

– W związku z czym?

– Z pudełkami – prawie krzyczy mi w twarz.

– Nic nie robimy. – Robię dwa kroki ku drzwiom. – Na razie.

Raimo kręci głową.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś planował jakieś większe zmiany w tym zakładzie – mówi.

Nie mam czasu dopytywać, co ma na myśli. Muszę biec, samochód mam na przednim podwórzu. Wyskakuję na zewnątrz, widzę, jak jadąca w kierunku miasta furgonetka Petriego znika. Kiedy skręcam, myślę o tym, że Raimo w wielu sprawach ma rację.

Czasami trzeba zaatakować.

5

Nie wiedziałem nic na temat grzybów, zanim zdecydowaliśmy się na prowadzenie firmy. Jasne, zdążyłem zjeść wcześniej tyle grzybów, ile się ich zwykle zjada: pizze z pieczarkami, zupy i sosy grzybowe, kurki i prawdziwki w risotto i tak dalej. Ale sam nigdy nie zerwałem ani jednego grzyba.

Potem straciliśmy pracę i Taina wymyśliła gąski sosnowe.

Nagle oboje zaczęliśmy brodzić w grzybach po uszy, dosłownie i w przenośni. Tyle o nich czytałem, że zaczęły mi się śnić po nocach. Czasami we śnie znikałem w ciemnościach ogromnego prawdziwka o woni ziemiarki i odchodów dzikiego zwierzęcia. Albo przedzierałem się przez szaroniebieską grzybową masę, która przypominała tężący cement, i w końcu topiłem się w niej w wielkich bólach.

Początkowy zapach oczywiście wywietrzał, jak zawsze, gdy coś zamienia się w pracę.

Najważniejszy pożytek z moich lektur był taki, że zdobyłem wiedzę, podstawowe wykształcenie, którego potrzebowaliśmy, kiedy niedługo później próbowaliśmy przekonać ludzi podejmujących decyzję o przyznawaniu pomocy dla przedsiębiorstw z okręgu Vehkalahti.

Zaprosiliśmy ich na lunch złożony z pięciu rodzajów grzybów. Informację o dofinansowaniu otrzymaliśmy następnego dnia. Fińsko-Japońska Kompania Handlowa udostępniła nam swoje kontakty. Poleciliśmy do Tokio z ofertami naszej firmy. Pierwszą umowę zaklepaliliśmy już nocą na lotnisku, oczekując na powrotny lot do Helsinek.

I nic nie mogło wygrać z uczuciem, którego doświadczyłem podczas grzybobrania w naszym pierwszym sezonie. Zbiory gąski sosnowej – albo matsutake, jak od początku ją nazywaliśmy – zaczynają się latem, czasem już w połowie lipca.

Latem las wygląda jak nieskończony ciąg wysokich pokoi, jeden piękniejszy od drugiego. Albo – bogatszy. Bardziej majestatyczny. Panująca cisza może początkowo wydawać się przerażająca. Później zrozumiałem, że tak naprawdę las nigdy nie cichnie, zawsze wydaje z siebie mnóstwo odgłosów, od ledwo słyszalnego delikatnego szelestu liści i ich gęstego szumu po wypełniający głowę huk koron i lament gałęzi.

Las jest także pełen życia, pełen innych wędrowców, małych i dużych. Tam, jeśli się tylko przyjrzeć i posłuchać, zawsze trwają godziny szczytu. Napotkałem setki ptaków, tysiące i jeszcze raz tysiące owadów, węży, lisów, szopów, łosi, widziałem w przebłysku wilka, na piaskach leśnego potoku znalazłem ślady niedźwiedzia i rysia.

Z czasem wyostrzyły mi się na to zmysły.

Co doprowadziło z kolei do tego, że nauczyłem się wyczuwać obecność człowieka z dalekiej odległości.

Napotkanie drugiego człowieka w lesie było jak przeskok do epoki kamienia: zbliżaliśmy się do siebie ostrożnie, starannie obmyślonymi ruchami, zerkając jeden na drugiego

niedowierzająco i być może wachając powietrze z nieco uniesionymi nosami. A w końcu zazwyczaj obchodziliśmy się z daleka, po wymianie podejrzliwego i powściągliwego powitania, będącego połączeniem skinienia głową i poruszenia ust. I nigdy nie oddalaliśmy się od siebie tak, by jeden odwrócił się do drugiego na oczach tamtego plecami w prostej linii. O nie, oddalaliśmy się chyłkiem, utrzymując drugiego grzybiarza w zasięgu wzroku na tyle, by – jeśli ten zmieni zdanie i zacznie węszyć na naszym terenie – zdołać ochronić swe znalezisko, wzniesć wiadro przeciw wiadru.

Nasza firma rosła, działalność trzeba było zacząć koordynować i zintensyfikować ją, kontrolować i podtrzymywać – innymi słowy: kierować. Pojawiło się zapotrzebowanie na prezesa. Nie miałem już czasu na chodzenie po lasach. Przystałem być grzybiarzem. Stałem się przedsiębiorcą.

Może właśnie wtedy coś się wydarzyło.

Czy kiedy zamiast kaloszy włożyłem na nogi skórzane buty, zmieniło się we mnie coś jeszcze?

Ta myśl przychodzi, kiedy śledzę furgonetkę Petriego. Jest środek dnia, słońce wzniosło się mniej więcej tak wysoko, jak to tylko w Finlandii możliwe. Co oznacza, że oglądam to miasto klarowniej niż kiedykolwiek wcześniej. Tutaj umrę, to moje miasto śmierci. W tych słowach nie pobrzmiwa równie wielka duma jak wówczas, gdy ktoś mówi o mieście swoich narodzin. Może nic w tym dziwnego. O mieście śmierci ma się tak niewiele do powiedzenia, niewielu o nim wspomina.

Petri jedzie powoli, bardzo powoli. Myślę, że powodem tego jest on albo samochód. Potem przychodzi mi do głowy, że może jedno i drugie: Petri oszczędza furgonetkę, bo ją rozumie. Przez ułamek sekundy przykro mi z jego powodu: nie dostanie nowego samochodu, choć najwyraźniej go potrzebuje. Potem przypomina mi się, a raczej widzę – pamięć jest jak kino, z którego nie ma wyjścia – Petriego i Tainę w naszym ogrodzie. Poza tym prowadzę przecież swoje śledztwo.

Za kierownicą myśli stają się jaśniejsze. Wcześniej sądziłem, że to ze względu na ręce, że kiedy mają coś do zrobienia, umysł przełącza się na autopilota. Ale teraz rozumiem, że to za sprawą tego, co pod nami, co nas niesie.

Droga jest zawsze jasna i prosta, nawet kiedy skręca. Droga nie wpada w dygresje, nie zaczyna wariować. Nie przenosi się z roku 2016 do 1989 jednym skokiem błędnej myśli. Droga jest nieomylna, niezawodnie chronologiczna i logiczna. Kiedy na nią patrzysz, zmusza cię do prostolinijności, konsekwencji, od punktu A do punktu B, choćby miało nie wiadomo jak boleć.

Odpowiada mi powolna jazda. Mam czas uporządkować ludzi, wydarzenia. Układam w głowie wszystko, o czym wiem, że uległo zmianie. Sporządzam też możliwie jak najpełniejszą listę.

WSZYSTKIE OSOBY, KTÓRE MNIE ZAMORDOWAŁY,
WEDŁUG STOPNIA PRAWDOPODOBIENSTWA

1. TAINA*
2. PETRI *

(* STOPIEŃ PRAWDOPODOBIENSTWA MOŻE SIĘ ZMIENIĆ,
PRZY CZYM IMIONA NIE ZNIKAJĄ Z LISTY)

Wystawiam łokieć na zewnątrz i lato uderza do środka samochodu, suszy mi lewą pachę.

Dojeżdżamy pod ratusz. Robimy niecałą połówkę okrążenia. Petri zwalnia, ledwo się wlecze. Potem całkowicie mnie zaskakuje, tak że szczęka mi opada: skręca na parking przed komendą policji. Nie pozostaje mi nic innego, niż wyminąć go, nie przerywając jazdy. Robię niemal całkowite okrążenie wokół ratusza i zatrzymuję się, gdy znów mam furgonetkę Petriego w zasięgu wzroku.

Petri wyskakuje z samochodu, dopiero na chodniku wciąga na siebie biały T-shirt. Ubierając się, napręża mięśnie, prezentuje tricepsy, napina mięśnie brzucha. Nie robi tego prawdopodobnie celowo – nie sprawia wrażenia specjalnie świadomego – po prostu tak się dzieje.

To nie jedyna rzecz, na którą trudno mi patrzeć, nie tracąc zaufania do swoich oczu. Petri, mając już na sobie koszulkę, wyrównuje wszystkie jej zagięcia, jednym ruchem ręki poprawia ją przy szyi, po czym rusza do drzwi komendy, otwiera je i znika w środku. Przez chwilę niczego nie rozumiem.

Moja żona bzyka się z kierowcą furgonetki.

Kierowca furgonetki i moja żona mnie zamordowali.

Kierowca furgonetki idzie pogadać sobie z policją.

Wnętrze mojego samochodu wypełniają dźwięki *Surfin'* *Safari Beach Boysów*. Zerkam na ekran telefonu, widzę, że to

Taina, i dopiero wtedy odbieram. Przedstawiam się pełnym imieniem i nazwiskiem. Taina przez chwilę milczy.

– Gdzie jesteś? – pyta wreszcie.

– W mieście.

– Co robisz?

Spoglądam na drugą stronę placu.

– Kupuję lody – odpowiadam.

Taina znów przez chwilę się nie odzywa.

– W czasie kiedy ty kupujesz lody i w ogóle dziwacznie się zachowujesz, ja porozmawiałam z Raimem.

– Dziwacznie?

– Tak. Wczoraj i dziś rano. I teraz. Kupujesz lody, akurat!

– A jeśli naprawdę to robię?

Nie odpowiada.

– Potrzebujemy tych nowych pudełek – mówi po chwili.

– Nie.

– Co nie?

– Nie, nie potrzebujemy. Nie, nie zamówimy ich.

– To co zrobimy?

– Będziemy działać w sposób zdyscyplinowany, podporządkowując się naszej perspektywicznej strategii.

– Słucham?

– Wierzę w naszą firmę – odpowiadam. – Nie będziemy podejmować pochopnych decyzji, nie będziemy chwytając się tego, co akurat wpadnie komuś do głowy. Patrzymy w przyszłość. Mamy jeszcze stare pudełka, wystarczy na najbliższe zbiory i oszczędzimy w wydatkach. Strategia jest nieomylna, tylko człowiek może ją zniszczyć.

– Dostałeś udaru?

– Co nagle, to po diable – rzucam. – Gdzieś ci się spieszy?

Cisza.

– Raimo mówi...

– Raimo mówi to, co powinien mówić kierownik zaopatrzenia. Zadaniem kierownika zaopatrzenia jest nabywanie nowych produktów. Byłbym zawiedziony, gdyby nie chciał tego robić.

W głowie zaczyna mi dzwonić sygnał telefonu. Deska surfingowa, plaża, słońce. Kiedyś, dawno temu.

– Taina?

– Tak?

– Pamiętasz Tajlandię?

– O co ci chodzi?

– Pamiętasz naszą podróż poślubną, plażę w Tajlandii, nasz mały bungalow?

Przez chwilę nie słyszę nic poza letnim wiatrem, przelatującym przez samochód.

– Oczywiście, że pamiętam – odzywa się w końcu Taina. – Dlaczego pytasz o takie rzeczy? Te pudełka...

– Zapomnij o pudełkach – przerywam jej ze złością i rozpoczynam ponownie, już cieplej: – To znaczy pamiętaj o nich, ale później. Pomyślałem o tej naszej podróży, jak bardzo nam się spodobało tamto miejsce i tamci ludzie. Sama mówiłaś, że któregoś dnia musimy tam wrócić, zrobić sobie powtórkę, znowu tam polecieć.

– Tak? – Jej głos jest niski i bliski szeptu, jakby była w miejscu pełnym ludzi, w sytuacji, w której nie bardzo można rozmawiać na osobiste tematy.

Ale w czym może być towarzystwie? Jej kochanek jest na komendzie policji, a mąż w zaparkowanym samochodzie pod ratuszem.

– Przyszło mi do głowy, że przecież moglibyśmy zarezerwować sobie podróż na jesień albo zimę – mówię. – Pomyśl: z listopadowego śniegu na słoneczną piaszczystą plażę. Jeśli...

– Listopadowego?

– Na przykład. – Nie odwracam wzroku od drugiej strony placu. – Może być także śnieg grudniowy albo styczniowy.

– Nie o to mi chodziło – odpowiada pospiesznie Taina. – Chodziło mi o to, że do tych śniegów jest jeszcze... szmat czasu.

– Podróż warto wykupić wcześniej. Pasuje ci, że zrobię rezerwację już dzisiaj?

– Niezbyt mi...

– Albo zaczekaj! Mam lepszy pomysł.

Taina milczy.

– Zróbmy to razem – proponuję. – To tak czy inaczej najrozsądniejsze. Noclegi i w ogóle. Nie będzie potem pretensji, oboje zobaczymy, jaka jest oferta i w jakich cenach, w jakiej lokalizacji. Choć oczywiście na pewno sprawdzimy tamten bungalow... nasz bungalow.

Bezsilny wiatr upalnego dnia jest ciepły i jakby trochę zużyty. Taina przez długą chwilę nie odzywa się ani słowem.

– Tajlandia? – pyta wreszcie.

– Tak.

– W listopadzie?

– Na przykład.

Znów przerwa.

– No dobrze.

– Fantastycznie – mówię. – Wieczorem zrobimy razem rezerwację. Przygotujemy sobie na przykład jakieś fajne

drinki, usiądziemy na tarasie i zabukujemy loty i noclegi. Spędzimy miły wspólny wieczór.

Taina nie odpowiada.

Połączenie się przerywa.

Stadko turystów mknie na plac. Jestem świadkiem spektaklu starego jak świat. Próbują zrobić zdjęcie: jeden trzyma aparat, reszta ustawia się w szeregu. Rządek szczyrzy zęby. Z aparatem jest coś nie tak. Trzymający go turysta próbuje kolejnych przycisków. Uśmiechy ustawionych do zdjęcia słabną. Po chwili ktoś się wyrywa, żeby udzielić robiącemu zdjęcie kilku rad. Wkrótce wszyscy tłoczą się wokół niego i aparatu. Koniec końców grupka rozprasza się, by obejrzeć plac. Właściciel aparatu rusza z miną nieszczęśnika za pozostałymi.

Grupa turystów zasłoniła wejście do komendy. Chyba nic nie straciłem, bo furgonetka nie ruszyła z miejsca. Siedzę i czekam na ciąg dalszy.

Chcę wiedzieć dlaczego.

Nie tylko dlaczego Petri tu przyszedł, ale ogólniej: dlaczego działają tak, jak działają, dlaczego sytuacja wygląda tak, a nie inaczej. Kiedy się tego dowiem, będę wiedział, co robić i jak. Być może wcale nie straciłem rozumu. Muszę tylko utrzymać się przy życiu... dopóki nie umrę. Nie mogę umrzeć w trakcie śledztwa.

Nie mogę umrzeć, nim...

Petri wychodzi na skąpany w słońcu chodnik. Za nim podąża mężczyzna, którego spotkałem kilka godzin wcześniej.

Duży czerwony owoc na truskawkowo-festiwalowym T-shircie wygląda z tej odległości jak wielkie usta, usytuowane pośrodku Mikka Tikkanena. Zatrzymują się przed furgonetką. Przez chwilę rozmawiają, wreszcie żegnają się uściskiem dłoni. Tikkanen wraca na komendę, Petri wskakuje do środka i zaczyna wycofywać.

Nie mam na co czekać.

6

Popołudnie w moim gabinecie: komputer sygnalizuje nadejście nowych mejli, biurko jest zarzucone papierami, z otwartych drzwi dobiegają odgłosy pracy. Wszyscy są na miejscu, czas zebrania w pokoju konferencyjnym ustaliliśmy na wpół do trzeciej.

Jasność uderzająca z okna ujawnia, że niemal wszystko, co jest w moim gabinecie na widoku, pokrywa warstewka kurzu o grubości tysięcznej milimetra. Gdy dokładniej mu się przyjrzeć, kurz skrzy, rozsyła we wszystkie strony miliony błyszczących jak gwiazdy mikroskopijnych promieni; tak dzieje się cały czas, bezustannie, jakby skądś buchała niekończąca się nigdy energia. Albo tylko to sobie wyobrażam. Umierający mężczyzna ma prawo wyobrażać sobie, co chce.

Dopiero teraz naprawdę zaczynam rozumieć, jak ważna jest dla mnie ta firma, jak wiele dla mnie znaczy. To moje dzieło, jak się to mówi. Tworzę pospieszną, zwięzłą listę spraw, o których zamierzam mówić, o których muszę powiedzieć.

Upływają minuty. Jeśli myślę o nadchodzącym zebraniu, mijają powoli. Jeśli zaczynam myśleć o śmierci, pędzą bez

tchu.

Nikt nie przychodzi do mojego gabinetu. Nie uważam, by było w tym cokolwiek dziwnego. Powiedziałem Ollemu, że moja żona kogoś ma. Stanowczo zabroniłem Raimowi nabywania biodegradowalnych pudełek, a domyślam się, że częściowo obiecał już kontrahentowi ich zakup. Przestraszyłem różnego moją żonę Petriego ofertą przyjaźni. Zwerbowałem Sanni do roli szpiega. Po wielekroć oszołomiłem swoją niewierną żonę samurajskim mieczem i propozycjami wspólnych podróży. Wszyscy wolą zachować dystans wobec faceta, w którego towarzystwie czyhają ciągle niespodzianki.

Na korytarzu widzę w przeblysku Suvi, naszą asystentkę biurową zatrudnioną na pół etatu. To jedyna osoba, z którą w ostatnim czasie nie przeprowadziłem ani jednej dziwacznej dyskusji, nie wymogłem na niej działań niezgodnych z prawem ani nie śledziłem jej swoim samochodem.

Suvi jest wysoka, energiczna, niewiele mówi i cechuje ją dokładność. Dzięki swej staranności wiele razy mnie uratowała. Ma dwadzieścia siedem lat i dwoje dzieci, wykształcenie biznesowe zdobyła już po tym, jak jej mąż umarł od wąchania rozpuszczalników. Powiedział mi to Raimo Wąsaty. Na tym samym wdechu użył wobec niej określenia „gorąca”. Nie chcę myśleć, co chodzi mu po głowie – oprócz biodegradowalnych pudełek – gdy na nią patrzy.

Za minutę wpół do wstaję i przechodzę na drugi koniec korytarza do pokoju konferencyjnego. Nie rozglądam się, nie zerkam ani na lewo, w stronę tak zwanej sali fabrycznej, ani na prawo, gdzie znajdują się dwa inne pomieszczenia biurowe.

Siadam u szczytu stołu. Nadchodzą pracownicy, wybierają miejsca nieco dalej niż zwykle. Nikt nie chce usiąść obok mnie.

Taina kieruje się na drugi koniec stołu; patrząc z mojej perspektywy, siada po lewej, prawie pod przeciwległą ścianą pomieszczenia. Czegoś szuka w telefonie, otwiera i zamyka segregator, który trzyma w rękach, i znów skupia się na swoim smartfonie. Nie patrzy na mnie nawet przez przypadek.

Jest jak na wszystkich lekcjach świata: krzesła zaczynają się zapełniać, poczynając od tych najdalszych.

Prosto przede mną lądują w końcu ci, którzy nadeszli jako ostatni: Petri i Suvi. Puszczam do Petriego oczko. Momentalnie ucieka spojrzeniem. Zatrzymuję wzrok po kolei na każdym z obecnych, uśmiecham się, witam paroma słowami.

Z blisko dwudziestoletniego doświadczenia zawodowego wiem, jak nieprzyjemne, wręcz przerażające są tego rodzaju nagle zwołane zebrania w miejscu pracy. Z zasady oznaczają jakieś przykrości: intensyfikację działalności (czyli zwolnienia), fuzje (czyli zwolnienia), znalezienie sprawcy serii kradzieży artykułów biurowych (czyli zwolnienia) oraz potrzebę ponownej oceny strategii przedsiębiorstwa (czyli totalne bankructwo).

Rozpoczynam.

– Wspaniale, że udało nam się tutaj wszystkim zgromadzić. Zebranie ustaliliśmy nagle, zdaję sobie z tego sprawę. Ale kiedy zachodzi taka potrzeba, działamy błyskawicznie, czyż nie?

To nie było pytanie. Nie oczekuję odpowiedzi.

– Jak już wszyscy wiedzą, mamy aktualnie konkurencję. Rozmawialiśmy na ten temat i zakładam, że omówiliście to też między sobą. Pytanie brzmi: co teraz, co zrobimy?

Patrzę na każdego z obecnych po kolei. Nie jest to łatwe: muszę jednocześnie mieć ich pod kontrolą i z drugiej strony sprawić, by mi uwierzyli i zaczęli działać.

– Czy mam spisywać protokół zebrania? – odzywa się Suvi.

Jej pytanie jest uzasadnione. Kiwam głową i Suvi przekręca w swych długich palcach długopis, pstryka nim i natychmiast zaczyna robić pierwsze notatki.

– W odpowiedzi na moje pytanie: będziemy robić to samo co wcześniej, tylko że lepiej. W dalszym ciągu mamy najlepszych pracowników, najlepszych zbieraczy, najlepszy produkt. Mamy ponadto coś, czego brakuje naszym konkurentom: doświadczenie. Zdaję sobie sprawę, że niektórym z was, a być może każdemu, zaoferowano tam pracę. To naturalne. Dlatego też w obecności was wszystkich złożę teraz pewną obietnicę. Cokolwiek zostanie wam obiecane, ja przyrzekam więcej i lepiej, w taki czy inny sposób. Jeśli będą się z wami kontaktować, dajcie mi znać.

Robię krótką, znaczącą pauzę. Chcę, by to, co za chwilę wygłoszę, zostało wysłuchane ze stuprocentową uwagą.

– Druga sprawa – ciągnę. – Zwiększymy produkcję, ale wydatki i liczbę pracowników pozostawimy bez zmian.

Zerkam na Tainę. Jej twarz jest purpurowa. Wygląda, jakby wykonywała trójbój: cała postać bucha wysiłkiem, plecy utrzymują w powietrzu sto kilogramów. Siedzący naprzeciwko niej Raimo wygląda wąsy; w żaden sposób nie udaje mu się ich zadowolająco uformować.

Nie mógłbym być bardziej w centrum uwagi. Nawet Petri, który wyraźnie się boi, że nasze spojrzenia się skrzyżują, odwraca się twarzą w moją stronę. Oczy utkwił na wysokości mojej klatki piersiowej. Nie wciągam brzucha. Jestem, jaki jestem.

– W pierwszej kolejności zrobimy to tak – mówię dalej – że wszyscy wezmą udział w grzybobraniu. Przynajmniej w początkowych tygodniach zbiorów.

Taina patrzy na mnie identycznie jak poprzedniego wieczoru przy kuchennym stole. Raimo odchrząkuje, opiera się łokciami o stół.

– W grzybobraniu? – pyta.

– Tak – odpowiadam. – Ja także będę zbierał.

– W lesie?

– Gdziekolwiek zabierze nas Sanni.

Pozostali natychmiast na nią spoglądają. Jej koński ogon nawet nie drgnie.

– Pierwszy raz o tym słyszę – rzuca Sanni.

Głowy ponownie odwracają się w moją stronę. To jak tenis, myślę. Z tą tylko różnicą, że w tym meczu jeden z graczy umrze.

– A cała reszta? To, czym normalnie zajmuje się każdy z nas? – pyta Raimo.

– To też będziemy robić – odpowiadam.

– Dni się trochę przedłużą – odzywa się Olli. – Nie wiem, jak to się ma do umowy o pracę...

Nie chce mi się pytać Ollego, co by zrobił z wolnym czasem: może spotkałby się ze swoją kolejną ekszoną. Nie wspominam nawet, że moja propozycja oprócz tego, że zwiększy jego dochody, zaoszczędzi mu także pieniądze

dzięki przesunięciu choćby odrobinę kolejnego rozvodu, a tym samym podziału majątku.

– Żyjemy w wyjątkowych czasach – mówię. Opieram łokcie o stół, zbliżając się przez to do nich wszystkich. Zauważam, jak Petri odskakuje na swoim krześle w przeciwnym kierunku. On się naprawdę boi mojej przyjaźni. – Wiem, że to, o co teraz proszę, jest dość niezwykle, ale powiększenie produkcji wymaga od każdego odrobiny elastyczności...

– Nie mogę iść do lasu – przerywa mi Raimo.

Patrzę na niego. Jestem szczerze zaskoczony.

– Dlaczego nie?

Raimo się waha.

– Ja... nie lubię lasu – odzywa się w końcu.

– Nie rozumiem – mówię. – Pracujesz w firmie, która wszystkie swoje produkty handlowe uzyskuje z lasu...

– Czy to ma dotyczyć także pracowników zatrudnionych na pół etatu? – pyta Suvi.

O tym nie pomyślałem. Podejmuję błyskawiczną decyzję.

– Tak.

– Dobrze – odpowiada Suvi i zaznacza coś w swoich papierach.

Gdyby tak wszyscy byli równie bezproblemowi jak ona.

– Nikt nie musi lubić lasu – zwracam się do Raima. – Nikt nie wymaga miłości do lasu ani przytulania drzew. Praca wystarczy. Grzyby, będziemy zbierać grzyby. Tylko tyle.

– Trochę nagle to wszystko – rzuca Taina.

To jej pierwsze słowa. Wszystkie głowy odwracają się w stronę mojej żony. Przez chwilę jestem w cieniu i cieszy mnie to. Przed oczami znowu migają mi błyskawice. Mam skurcz w okolicach żołądka.

– Według prognozy pogody najpóźniej w weekend ma zacząć padać – dodaje Taina. – To by oznaczało pierwsze grzyby od razu na początku tygodnia, być może już w poniedziałek. Dziś mamy środę. Zostaje nam jutro i piątek, by zająć się swoimi obowiązkami. Dwa dni to niezbyt wiele.

Taina milknie. Podczas swojej przemowy patrzyła na wszystkich oprócz mnie.

– Zapomnij o sobocie i niedzieli – mówię. – Proponuję, byśmy pracowali również w weekendy.

Na twarzy Raima pojawia się błyskawicznie ognisty rumień. Petri chciałby spojrzeć na mnie, ale nie daje sobie na to zgody. Olli zaś kompletnie przestał nadążać; wygląda, jakby próbował wyprostować palcami w powietrzu wszystkie poskręcane znaki zapytania. Sanni zachowuje spokój; patrzy na mnie, a jej wzrok wyraża całkowitą neutralność. Suvi robi notatki. Taina spogląda na mnie w taki sam sposób jak rano, kiedy Tikkanen przyszedł w sprawie miecza.

– No nie wiem... – odzywa się Raimo. – W następny weekend mogę nie dać rady, bo mamy z żoną bilety do opery na festiwal w Savonlinnie...

– I zostanie przekroczony tygodniowy czas pracy określony w umowie... – sekunduje mu Olli.

– Ja w to wchodzę – mówi Sanni. – Zakładając, że ustalimy warunki i dostaniemy wynagrodzenie za nadgodziny.

Sanni zaskakuje wszystkich, łącznie ze mną. Wczoraj obiecałem jej pięćdziesięcioprocentową podwyżkę. Teraz chce jeszcze więcej. Mówi, że kocha grzyby bardziej niż cokolwiek innego, ale zaczynam mieć wątpliwości. Wszyscy ponownie kierują wzrok na mnie.

– Nie zakładam, oczywiście, że ktokolwiek będzie pracował za darmo – odpowiadam. – Miałem właśnie przejść do właściwego tematu, do tego, dlaczego i w jaki sposób zostaniemy zwycięzcami w tych grzybowych zawodach. Przed każdym z nas stoją większe wymagania, mamy więcej do stracenia, dlatego też moim zdaniem każdy powinien mieć możliwość, żeby także więcej wygrać.

Widzę, że rozbudziłem ich zainteresowanie. Nic nie ekscytuje ludzi równie mocno jak wizja natychmiastowych zysków.

– To będzie jeszcze wymagało doszlifowania szczegółów i dokładniejszej rozmowy z każdym z was, ale główna zasada jest jasna. Jeśli odniesiemy sukces, wygramy z przeciwnikami, rozwiniemy produkcję i w ogóle wszystko pójdzie, jak należy, każdy otrzyma możliwość zostania współwłaścicielem firmy, każdy z was będzie mógł dostać udziały. A udziały w odnoszącym sukcesy przedsiębiorstwie to jak wygrana w lotka.

Totalna cisza. Taina błyskawicznie kieruje wzrok na Petriego, Petri na nią. Oboje czerwienieją, wystarczy rzut oka, by to dostrzec – choć przed oczami nadal migają mi błyskawice. Potem Petri i Taina zdają sobie sprawę, że się w siebie wpatrują, i purpurowieją jeszcze bardziej. Taina nie oddycha. Petri przesuwa pospiesznie wzrok na okno, tam gdzie nie widzi ani mnie, ani Tainy. Raimo podszczypuje wąsy.

– No, mogą sobie w tej Sawonii śpiewać bez mojej pomocy – stwierdza. – Jest, jak jest, biznes to biznes.

Przekabaciłem Raima na swoją stronę. Inni chyba się jeszcze zastanawiają. Moja propozycja jest niewątpliwie

radykalna. To również najlepsze, co zdołałem w tym czasie wymyślić. I nie jest to wcale niemożliwa opcja. W tej chwili mam siedemdziesiąt pięć procent udziałów firmy i sprawuję nad nią kontrolę. Niedługo będę posiadał co najwyżej... Czy oni mnie skremują, czy pogrzebią w całości? Najważniejsze jednak jest to, co, jak widzę, moja propozycja wywołuje u Tainy i Petriego. Nie udaje im się ukryć zaskoczenia ani wściekłości, a przynajmniej nie Tainie.

– Podoba mi się taka opcja – mówi Sanni i patrzy mi prosto w oczy. – Zakładam, że wszystko, co ustaliliśmy poprzednio, jest nadal aktualne.

– Oczywiście, że jest.

Taina patrzy na nią. Nie mogę nie zauważyć wydzwiku tego spojrzenia. Mieści w sobie nagle zrodzoną zazdrość, ciekawość i coś jeszcze, co nie od razu udaje mi się wychwycić.

– A ty, Olli? – pytam.

Olli chwyta się stołu, jakby się obawiał, że ześlizgnie się na podłogę.

– Skoro inni...

– Dziękuję – rzucam. – Petri?

Petri wciąż nie odrywa wzroku od okna. Nie wie za bardzo, co zrobić z rękami. Przed sobą ma własne kolana albo nagą powierzchnię stołu, ani jednego narzędzia czy nakrętki, nie wspominając nawet o żonie jakiegoś faceta. Taina wpatruje się w niego, jakby oboje byli na przesłuchaniu i podejrzewali się nawzajem o to, że któreś sypnie. Niewykluczone, że to całkiem bliskie prawdy.

– Nie wiem...

– Masz do zrobienia coś ważniejszego? – pyta Raimo, odwracając się całym ciałem do Petriego. – Ważniejszego niż otrzymywanie udziałów?

– Nie o to mi... – Petri jest tak czerwony i tak zdesperowany, jak to tylko możliwe bez utraty przytomności.

– Petri – pochylam się ku niemu – wszyscy jesteśmy teraz u progu czegoś całkowicie nowego. Z pewnością się ze mną zgadzasz.

Kiwa głową. Nie jestem pewien, czy w ogóle oddycha.

– My wszyscy – ciągnę – każdy z nas czuje może odrobinę strachu. Mimo to chcemy podjąć ten krok. Raimo to zrobił, Sanni zrobiła, Olli...

– Ja też – przypomina mi Suvi takim tonem, jakby informowała, że weźmie jeszcze jedną filiżankę kawy.

Petriemu udaje się oderwać wzrok od okna. Wygląda, jakby wszystkie swe siły koncentrował na tym, by nie zerkać w kierunku Tainy. Ogląda powierzchnię blatu przed sobą. Przybliżam głowę o jeszcze parę centymetrów.

– Petri – zwracam się do niego – czasami trzeba podjąć ryzyko, prawda? Czasami trzeba wyjść poza własną sferę komfortu, sprawdzić, jak wygląda trawa po drugiej stronie płotu.

Unika mojego wzroku, porusza wargami. Nie sędzę, by ktokolwiek z obecnych w pokoju konferencyjnym dosłyszał, co mówi. On sam też się na tym łąpie. Pokasłuje, chrząka.

– Samochód dostawczy – mówi.

– Właśnie – potakuję. Równocześnie zauważam, jak Taina robi wszystko, by nie wznieść głowy do nieba i nie przewrócić oczami w geście totalnej rezygnacji, nie wykrzyknąć czegoś, ile tylko sił w płucach. Czegoś bardzo niecenzuralnego. Jej

palce ściskają róg stołu, jakby był to ktoś, kogo pragnie udusić.

– Nowy – dodaje Petri. – Samochód.

– Proponuję – zdaję się na improwizację – żeby udziałowcy zdecydowali o tym wspólnie. Jeśli uda nam się powiększyć produkcję, tylko niebo może być dla nas granicą w nabywaniu czegokolwiek.

Robię parosekundową przerwę, spoglądam po kolei na każdego z zebranych.

– Biodegradowalne pudełka, kilku nowych zbieraczy, odnowienie pakowalni i pomieszczeń chłodniczych i samochód dostawczy. Wszystko jest możliwe.

Wracam do Petriego. Jego spojrzenie zawiesza się na moich oczach. Nigdy w życiu nie widziałem równie ambiwalentnego wzroku.

– Jesteś z nami? – pytam możliwie jak najbardziej miękko i jak najserdeczniejszym głosem.

Mijają trzy sekundy wewnętrznego konfliktu i wreszcie Petri wyrzuca z siebie:

– Tak.

Przenoszę wzrok na Tainę, pozostali również. Nie twierdzę, że znam swoją żonę, ale mam sporą pewność co do tego, że robi teraz wszystko, by utrzymać się na krześle. Jeśli się nie mylę, Taina ma ochotę chwycić za najbliższą patelnię, walnąć nią o stół i wykrzyknąć wszelkie kurwy jebane. Zamiast tego uśmiecha się i przytakuje.

– Większość na pewno ma rację. Co tu dużo myśleć. Wchodzę w to.

Ten sposób, w jaki to mówi, sposób, w jaki ucieka od swoich jawnych odczuć... Przebiegają przeze mnie zimne

dreszcze. Muszę odwrócić wzrok.

– Wspaniale – mówię. – Posuwamy się naprzód w błyskawicznym tempie. Rozpoczynamy jutro rano. Z każdym z was przeprowadzę krótką dyskusję na temat udziałów, a na koniec zorganizujemy zebranie dla całego zespołu. Doceniam to. Jesteście dla mnie jak rodzina.

Nie słyszę, by ktokolwiek coś na to odpowiedział. Wracam do swojego gabinetu, zamykam za sobą drzwi i opieram ręce na kolanach. Czuję się, jakbym przebiegł maraton i po przekroczeniu linii mety dostał jeszcze w twarz.

Łatwo wywnioskować, że czasu zostało niezbyt wiele.

Absolutnie nie żartuję w kwestii podzielenia udziałów. Nie zabiorę ich ze sobą. To co jest na ziemi, pozostanie tutaj, inni się będą dzielić, inni będą trwonić. Ale to wszystko sprawa drugorzędna. Chcę zobaczyć, jak zareagują Taina i Petri.

Spędzam w swoim gabinecie tylko tyle czasu, ile mi trzeba, by dojść do siebie. Kiedy znów oddycham, kiedy po przedziwnych burzach elektrycznych i atakach pomroki widzę znów tylko to, co istnieje, podnoszę się z podłogi, na której leżałem w jakiejś karkołomnej pozycji na plecach, częściowo pod stołem konferencyjnym. Koncentruję się na tym, by otworzyć drzwi i wyjść z firmy tak jak w każdy inny zwykły dzień. Przynajmniej Raimo i Taina są wciąż tutaj. Rzucam im „Cześć” na pożegnanie, słyszę stłumione odpowiedzi i wychodzę.

Powietrze zaczęło gęstnieć. Nie widzę chmur, ale to jeszcze nic nie oznacza. Czuć już wilgoć, upał stał się bardziej zawieszony niż rano. Weekend będzie deszczowy.

Idę do samochodu, uruchamiam silnik, opuszczam szybę i wrzucam wsteczny. Naciskam pedał gazu, mimochodem zerkam w lusterko wsteczne i w ostatniej chwili udaje mi się uniknąć zderzenia. Zapominając o innych pedałach, miażdżę

hamulec z takim skutkiem, że silnik gaśnie. Znow patrzę we wsteczne.

Maska furgonetki jest w nim tak wielka, że wydaje się sięgać mi karku. Słyszę, jak otwierają się drzwi samochodu. Próbuję kluczyków, chcę ponownie uruchomić silnik, ale słyszę już głos Aska i widzę w otwartym oknie jego umięśnione ręce o barwie miedzianego brązu. Pochyla się bliżej. Jego oczy są zimne, a uśmiech ciepły, kiedy mówi:

– Napijmy się piwa.

Tervasaari to jedno z moich ulubionych miejsc w mieście. Ogólnie rzecz biorąc. To rejon dawnego portu. Kiedyś był tu tartak, dok, drobny przemysł. Tory kolejowe sięgały praktycznie linii brzegowej. Od wyjazdu ostatniego pociągu minęło jakieś sześćdziesiąt lat. Dziś Tervasaari to miejsce wypoczynku, park; w budynku portowym otworzyli restaurację. Na molo jest też statek restauracyjny.

Siadamy na górnym pokładzie, przed nami stoją plastikowe kufle piwa. Słońce, którego promienie są już łagodniejsze, nie przestaje płonąć. Od plastikowego krzeselka poci mi się tyłek, przez szczelki siedzenia przenika powiew powietrza.

Przyjechałem tu za Askiem, przerabiając sobie w głowie wszystkie możliwe opcje. Poprzedniego dnia próbowałem uciec jednemu z nich i uratowało mnie tylko skrajnie dziwne samobójstwo czy też nieszczęśliwy wypadek. Doszedłem także do wniosku, że jeśli ciało Juhaniego zostałoby znalezione, Asko nie proponowałby mi teraz piwa, tylko zafundował mniej więcej to samo, co zamierzał Juhani,

z mieczem lub bez. Więc w tej chwili najbezpieczniej chyba będzie zachowywać się uprzejmie, choćby miało to oznaczać wspólne picie piwa z konkurentem.

Piwo jest gorzkie i mdłe, słońce w okamgnieniu pozbawiło je bąbelków i nieznośnie nagrzało. Nigdy nie mogę zrozumieć, dlaczego w Finlandii latem alkohol zawsze trzeba pić na zewnątrz, choćby się waliło i paliło. Najczęściej jest na to zbyt zimno: palce trzymające plastikowe naczynie drętwieją, zęby szcękają o jego brzeg, człowiek się czuje, jakby łowił w przerębli jakąś nędzną rybę i na dodatek miał na sobie o jedną warstwę ciuchów za mało. Druga opcja jest taka, że słońce praży ci prosto w kufel i czaszkę, piwo zamienia się w szczyny, zanim zdążysz je wypić, a głowa wkrótce idzie w jego ślady.

Mój konkurent unosi kufel. Przede mną otwiera się morze. Asko siedzi twarzą do miasta i starego mostu, ja patrzę na wodę, którą można popłynąć, gdzie oczy poniosą.

– Kiedy byłem chłopcem, skakanie z tamtego mostu uchodziło za wyczyn, który dawał pewien prestiż – mówi Asko. – A jak się jeszcze skoczyło na główkę, to już nikt z tobą nie zadzierał. Mieli cię za twardziela. Takie skoki to było oczywiście ryzyko, bo w wodzie może się kryć wszystko, co ludzie wyrzucili z pokładu statku czy z brzegu, i nie zobaczysz tego z pomostu. W końcu to jakieś dziesięć, może i dwanaście metrów do wody. Nic stamtąd nie widać. Tym bardziej nocą, a wtedy właśnie skakało się najczęściej. Ja też. Najpierw było jakieś wino na rynku albo na domówce, a potem żeśmy wsiadali na rowery, dziewczynom kazaliśmy jechać z nami i skakaliśmy. Ze względu na dziewczyny oczywiście. A raz

przyszedliśmy tam na łuk, na sam szczyt, i noc była gorąca, a laski...

Macha do jakiejś pary przejeżdżającej przez molo. Pomiedzy ich rowerami galopuje golden retriever. Widok ma w sobie coś absurdalnego. Asko patrzy na mnie pytająco.

– Na czym to ja stanąłem?

– Na moście – odpowiadam. – Nocą.

– Byliśmy wtedy na tyle pijani, że sam most już nam nie wystarczył. Wspięliśmy się na ten łuk, tam na samą górę. To nam dało dodatkowe cztery metry. Piętnaście metrów to już jest tyle, że choćby była nie wiadomo jak gorąca noc i choćby się miało nie wiadomo jak w czubie, to jest cholernie wysoko. No, ale w takiej chwili jest już oczywiście za późno na odwrót, kiedy stoisz tam na górze w samych gaciach i dziewczyny patrzą. A my tam staliśmy.

Spogląda na most.

– Bracia Similä i ja. Po tych wszystkich przechwałkach nie było nam do śmiechu. Tylko żeśmy na siebie patrzyli i już żaden nie krzyczał, że trzeba, kurwa, na główkę. Ale słowo się rzekło. A jak tak, to słowa trzeba dotrzymać. Patrzyłem z góry na most, gdzie stały dziewczyny. One były takie malutkie. A woda jak powierzchnia Księżyca, na drugim końcu świata. I nagle Ville skoczył. Głową naprzód. Ten lot trwał całą wieczność. I wtedy usłyszeliśmy ten odgłos.

Asko popija piwo.

– Jakby ktoś wrzucił obcęgi do blaszanej beczki, w której woda ledwo przykrywa dno. Albo jakby się przerąbało siekierą na pół wielkie polano stojące w kałuży. W tym miejscu jest zaraz pod powierzchnią podtopione drzewo, taka

kłoda wielka. Ville skoczył prosto na nią. W nocnej ciszy zabrzmiało to jak wybuch, kiedy mu pękła czaszka.

Patrzy na mnie.

– Nie wiedzieliśmy o tym wtedy... że pękła. Zobaczyliśmy tylko postać, która przez chwilę unosiła się na wodzie, a potem zaczęła tonąć. Mózg widocznie rozprysnął się na powierzchni i zniosło go na otwarte morze. Dziewczyny nie piszczały. Wskoczyły na rowery i odjechały. Kalle i ja zeszliśmy na dół, w samych gaciach pojechaliśmy na brzeg. Oglądaliśmy czarne morze, bez słowa, a potem zadzwoniliśmy po karetkę i policję.

Robi przerwę.

– Jednego z nas już nie ma – mówi po chwili.

Pod pachami mam tak mokro, że czuję się, jakbym sam właśnie wyszedł z morza. Muszę zmrużyć oczy. To wina albo słońca, albo upartych przebłysków, które pojawiają się z okolic skroni. Wypiłem może ze dwa łyżki piwa.

Nigdy nie wiem, co w takich sytuacjach należy powiedzieć. W filmach bohaterom jest przykro, wyrażają empatię. W prawdziwym życiu tego typu sytuacje zdarzają się tak rzadko, że trudno wypracować rutynę. Poza tym Asko jest dobrze po pięćdziesiątce i jeśli w czasach owego epizodu ze skokiem był nastolatkiem, to od tamtego czasu minęło ze czterdzieści lat. Na jednym oddechu mógłbym wyrazić radość z powodu pierwszego spaceru po Księżycu albo swoich własnych narodzin.

– Smutna historia. – Zmuszam się do wypowiedzenia tych słów.

Asko budzi się ze swych myśli.

– Co?

– Twoja historia. Smutna jest. To znaczy nie sama historia, tylko jej zakończenie. Zakończenie było smutne.

Odchyła się na oparcie krzesła. Jest zręcznym drapieżnikiem.

– To nie koniec – mówi. – Zgubiliśmy Juhaniego. Juhani to ten większy koleś. Wiesz, o kim mówię.

– Chyba pamiętam – przytakuje. – W jaki sposób go zgubiliście?

Patrzy na mnie.

– Nie możemy z nim nawiązać kontaktu, nie wiemy, gdzie jest. Nie ma go w domu, nie odbiera telefonów.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Asko wyraźnie mnie bada błękitnymi szpikulcami oczu. – Pomyślałem, że skoro Juhani ostro się na ciebie zdenerwował, bo włamałeś się do naszej firmy i zachowywał się wobec niego arogancko...

– Nie włamałem się – zaprzeczam stanowczo. – Ani nie uważam, żebym zachowywał się arogancko. A przynajmniej nie świadomie.

Asko kosztuje piwa, odstawia powoli kufel na stół. Opróżnił go do połowy.

– I jeszcze zostaje ta sprawa z mieczem.

– Nawet go nie dotknąłem.

Wtedy dociera do mnie, że to niekoniecznie prawda.

– A może dotknąłem – poprawiam się. – Wtedy gdy... gościłem w waszej siedzibie. Widzicie na swoim nagraniu, że odłożyłem miecz na ścianę i już nie wróciłem.

– Nie widzimy. Kiedy badaliśmy to twoje włamanie, cały system jakoś się zablokował.

– Zablokował?

Zerka w kierunku morza.

– Wyłączył się – mówi wreszcie.

– To może jednak nie moja wina. A jeżeli miecz zniknął po tym, jak odszedłem, to chyba jasne, że nie ja go zabrałem.

– Może zawróciłeś. Może tak cię zachwyił, że musiałeś zawrócić i wziąć go na własność.

Kręcę głową.

– Nie zachwyił mnie. W żadnym momencie.

Asko nad czymś się zastanawia.

– No a Juhani zniknął – odzywa się po chwili. – Mówił o tobie. Był na ciebie zły. Bardzo zły.

– Nie rozumiem dlaczego – rzucam całkowicie szczerze.

– Nie polubił cię.

Dało się zauważyć, myślę.

Chcę stąd odejść. Sytuacja jest aż nazbyt oczywista: jestem przesłuchiwany, podejrzany. Pociesza mnie tylko to, że Asko ustosunkował się do zaginięcia Juhaniego bardzo serio.

A poza tym cała ta gęstwina wydaje się coraz bardziej splątana: ci faceci, poszukujący swego kumpla, zgłosili mnie na policję jako podejrzanego o kradzież miecza; miecz przecina głowę ich zaginionego – i z jakiegoś powodu nienawidzącego mnie – kolegi; para, którą podejrzewam o zamordowanie mnie, rozmawia z policjantem badającym wyżej wspomnianą kradzież miecza. W normalnych warunkach wypiłbym z pewnością piwo i zamówił drugie, nawet ciepłe.

– Wszystko się na pewno wyjaśni – mówi i jego głos brzmi dobronudownie albo Asko tylko usilnie o to zabiega. – Jak już Juhani się znajdzie, z mieczem albo bez.

– No właśnie – potwierdzam z uczuciem ulgi. Sam słyszę, z jaką gorliwością pragnę zakończyć tę dyskusję.

Asko uśmiecha się aż za ciepło.

– To typ, który łatwo wybucha... Juhani. Kto wie, może postanowił wpaść na przykład do Sankt Petersburga. Czasami mu się zdarzały takie wypadki i potem wracał, kiedy chciał. Może po prostu poczekamy. Jak czas nadejdzie, Juhani się pojawi.

– Właśnie – potwierdzam znów, głosem bardziej stosownym, i zaczynam coś rozumieć.

Będę musiał wracać do domu drogą ciut okrężną.

8

Petri pracuje, wielkie drzwi do stodoły są otwarte. Wygląda na to, że tym razem zajmuje się jakimś motorem. Przednie zawieszenie, podwozie, siodełko. Z głośników wylewa się hip-hop, w tekście piosenki ktoś stawia się policji, władzy. Taka muzyka fatalnie kontrastuje z roztaczającym się wokół sielskim krajobrazem: pola, na ich brzegach wystrzelają w niebo rzędy świerków, na podwórzu na tle zachodzącego słońca stoi obok dawnej studni autentyczny staroświecki traktor. Nie mam wątpliwości, że również traktor Petri wyremontował tak, by można było nim jeździć.

Mieszka z matką. Znam oficjalną przyczynę. Dopiero co się rozwiódł, rozwód był skomplikowany i dla niego niekorzystny. Była żona zgarnęła dla siebie dom i łódź. Wiedza o tym nie stoi na przeszkodzie, bym stworzył sobie w głowie taki, a nie inny obraz: kochanek mojej żony zajada się bułeczkami mamusi i popija je pełnotłustym mlekiem, by mieć potem siły na odgrywanie roli ujeżdżanego konia.

Do centrum Haminy jest stąd zaledwie sześć kilometrów. Moglibyśmy się znajdować w jakiegokolwiek części Finlandii. Oto wiejski dom i duża stodoła, którą zawładnął Petri wraz ze swymi silnikami. Stoję w wejściu i przyglądam się, jak

pracuje. Jest jak w transie. Ręce majstrują we wnętrzu motoru, lewa noga żyje własnym życiem w hiphopowym rytmie.

Przez całą drogę tutaj zbierałem w sobie siły. Zjadłem oba zakupione w kiosku batony czekoladowe, wypilem prawie litr coca-coli, zwyczajnej, nie dietetycznej. Czuję się zdecydowanie lepiej niż godzinę temu na pokładzie restauracyjnej łodzi, czuję cukier buzujący w żyłach. Mam go we krwi w ilości zapewne jakichś stu kostek.

Kiedy poruszam się w wejściu, mój cień trafia w pole widzenia Petriego. Odwraca się natychmiast, jakby poraził go prąd. Tak też wygląda.

– Jaakko – mówi.

– Przykro mi, jeśli cię przestraszyłem. Świetnie się tu urządziłeś.

Wchodzę do środka, rozglądam się. Wnętrze jest równocześnie schludne i zawalone najróżniejszymi motocyklami oraz ich częściami. Narzędzia wiszą na ścianach we wzorowym porządku. Zatrzymuję się przed Petrim.

– Dzięki – odpowiada. – Samochody i opony....

Jego stan mógłbym określić jako głęboki szok.

– Potrzebuję twojej pomocy – wyjawiam oszołomionemu Petriemu. – I kilku narzędzi. Sprawa jest delikatna. Potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać.

Kiedy jedziemy z powrotem w kierunku Haminy, Petri milczy. Letni wieczór bucha przez otwarte okna, jest delikatny i miękki. Na początku mijamy niewiele domów. Poruszamy się po pejzażach jak ze sztuki ludowej – lasy, pola,

przebłyki wody – nie widzimy ludzi, nie napotykamy nikogo jadącego z naprzeciwka. Nie włączam muzyki, prowadzę spokojnie.

Petri patrzy prosto przed siebie i bezskutecznie szuka odpowiedniego miejsca dla swych rąk. Sekret i wstyd to wyraziste połączenie. Nie zapytał nawet, dokąd się wybieramy.

– Chodzi o mojego przyjaciela – odzywam się. – Musimy mu pomóc i wyświadczyć pewną przysługę. Przytrafił mu się pewien wypadek. Może coli?

Kręci głową, kiedy wyciągam do niego rękę z butelką. Piję sam. Ciemna słodka ciecz jest jak eliksir.

– Wypadek jest takiej natury, że mój przyjaciel nie chciałby o tym komukolwiek mówić. Zrozumiesz, jak zobaczysz. Z pewnością tak czy inaczej zrozumiesz. Czasem zdarzają się rzeczy, o których nie możemy powiedzieć nikomu poza kręgiem naszych najbliższych i najbardziej zaufanych przyjaciół.

Petri wciąż milczy. Piaszczysta droga dobiega końca, wjeżdżam na krajówkę. Asfalt pod nami jest jak poduszka.

– Gdy tylko dowiedziałem się o tym wypadku, pomyślałem o tobie – dodaję.

Jego głowa obraca się w moją stronę o centymetr, może dwa.

– Jesteś młody i silny – ciągnę. – I potrafisz zachować ten wypadek dla siebie.

Zerkam na niego. Widzę, jak jego jabłko Adama unosi się i opada. Opróżniam do końca butelkę.

– Masz przyjaciela? – pytam.

– Co?

– Czy masz dobrego przyjaciela, kogoś, komu ufasz?

Jabłko Adama nadal wędruje w górę i w dół.

– Ja... nie wiem za bardzo.

– Spójrzmy na to z innego punktu widzenia. Masz jakieś sekrety? Albo sekret, jeden wystarczy, oczywiście.

– Nie wiem... Może.

– Kto o nim wie?

– Nie bardzo...

Macham lekceważąco ręką, odganiam cały temat w stronę wieczoru. Wkrótce będziemy na miejscu. Chciałbym, żeby Petri był gotowy do pracy.

– Znasz zasady – rzucam. – Mojego przyjaciela i mnie łączyła tajemnica. Chodziło właśnie o to: o naszą przyjaźń. Nie sądzę, że ktokolwiek o niej wiedział. Może i ty masz albo miałaś kiedyś bliską osobę, o której nie wie nikt inny.

Petri milczy.

– Mówię o tym dlatego, żebyś się nie zdziwił, kiedy się z nim spotkamy. Znasz go z widzenia. Nawet jeśli po wypadku wygląda nieco... inaczej.

– Po jakim wypadku? – pyta.

Odpowiadam zgodnie z prawdą:

– Japońskim.

Przyjeżdżamy do Hovinmäki, zbliżam się do końca Simonkatu. Zgadza się, dobrze to zapamiętałem: asfalt się kończy. Przed nami wyrasta wąska piaszczysta droga, która powinna poprowadzić nas we właściwe miejsce. Chwilę się zastanawiam, potem skręcam i wycofuję samochód możliwie jak najdalej w cień drzew. Wyłączam silnik. Wyjmuję kluczyk

ze stacyjki, ze schowka między siedzeniami biorę dwie pary roboczych rękawic i mówię, że resztę drogi przejdziemy pieszo. Wsiadamy i gestem wskazuję, by Petri szedł przodem. Zerkam jeszcze za siebie. Samochód jest bezpiecznie ukryty przed ciekawskimi spojrzeniami.

Piaszczysta dróżka prowadzi nas w środek zielonego, ciemnego wieczoru. Spomiędzy gęstego listowia przebłyskuje łąka i nierówne zarośla, które nawet w otoczeniu najgłębszej zieleni są niejako dowodem na to, że życia nic nie może powstrzymać – mimo wszelkiego piękna pozostaje nieodgadnione, silne, obszarpane i absolutnie nieokiełznane, żaden porządek tak naprawdę nie istnieje.

Co parędziesiąt metrów Petri zerka za siebie. Idziemy naprzód, aż po prawej stronie widzę, że drzewa przerzedzają się, grunt opada, a dalej znów się wznosi. To tam płynie strumień. Schodzimy prawie na sam dół. Potem skręcamy, by podążać wzdłuż strumienia. Najważniejsze, żebyśmy nie byli widoczni z jezdni przebiegającej powyżej.

Letni wieczór roi się od owadów. Atakują nam nawet usta. Czuję ich ukąszenia na karku i ramionach. Po raz pierwszy w życiu nie boję się kleszczy. Poruszamy się powoli, bo trawa jest wysoka, a podłoże miękkie. Nasze buty nadają się już oczywiście do wyrzucenia. Zatrzymuję się i nasłuchuję. Zbliżamy się do celu. Upewniam się, że jesteśmy jedynymi ludźmi w okolicy. Dobiega mnie tylko brzęczenie komarów i ruchy Petriego.

– Petri – mówię tuż przed ostatnim zakrętem strumienia.

Przystaje i odwraca się.

– Nie chcę, żebyś się przestraszył – uprzedzam go. – Wypadek, któremu uległ mój przyjaciel, jest równocześnie

bardzo oryginalny i bardzo poważny. Ufam, że zachowasz siły.

Pokonujemy ostatni zakręt i widzimy Juhaniego.

Petri wymiotuje.

A potem tarzamy się w mule.

Można rzec, że Petri nie jest w pełni swych sił – został zaskoczony. Na moją korzyść przemawia waga i to, że uderzam na niego z lepszej pozycji, znajduję się trochę wyżej. Po chwili jestem już na czworakach na jego klatce piersiowej i udaje mi się przycisnąć mu rękę do ściany nasypu. Szamocze się i wyrywa, wychrzakuje z siebie przedziwne dźwięki. Na szczęście nie krzyczy, najwyraźniej panika na jawie działa tak samo jak w snach: na nogi nie ma co liczyć, głos nie wydobywa się z gardła. Szukam jakichś uspokajających słów.

– Petri, sam widzisz, że Juhaniemu nic już nie jest. Siedzi tu sobie w całkowitym spokoju. Wypuszczę cię teraz. Umawiamy się, że będziesz się zachowywać porządnie, bez żadnych głupot, zgoda?

Patrzy prosto w niebo, oczy ma jak spodki. Już się nie wyrywa. Schodzę z niego. Biorę oddech, jestem na skraju wyczerpania. Oczy Petriego w dalszym ciągu skierowane są w wyższe sfery.

– Dlaczego? – pyta i przełyka ślinę. – Dlaczego?

– Hm. Juhani jest... a właściwie był bardzo porywczy. Nawet mnie zaskoczyło, jak bardzo. Wszystko wydarzyło się niezwykle szybko.

Petri kręci głową zanurzoną w mule.

– Dlaczego? Ja? Dlaczego ja?

Teraz rozumiem, o co mu chodzi.

– To duży mężczyzna. Waży na pewno ze sto kilo. Nijak nie dam rady sam go przenieść. Ty mi pomożesz.

Otwiera i zamyka oczy. Unosi się do pozycji siedzącej i ostrożnie spogląda w kierunku Juhaniego. Robi to milimetr po milimetrze, jakby każdy ruch miał go przygotowywać na nowe spotkanie. W pewnym sensie słusznie robi. Oglądanie Juhaniego jest trudne nawet dla mnie, choć wcale nie byłem zaskoczony.

Zamyślony kulturysta w krótkich żółtych szortach i z anteną z samurajskiego miecza to widok wstrząsający. Jego skóra jest biała jak marmur wszędzie, z wyjątkiem dłoni zaciskającej miecz oraz ramienia i kolana pod nim. Te pokryła krew, która po zaschnięciu przybrała kolor smoły. Juhani siedzi solidnie, naprężony jak struna; odkąd ostatnio go widziałem, nie poruszył się ani o milimetr. Ziemia wokół, gałęzie pod pachami i pod łokciami, pnie drzew za plecami, muł, w którym utonęły stopy – to wszystko trzyma go w objęciach. Juhani wygląda jak makabryczne dzieło sztuki.

Odnoszę wrażenie, że w powietrzu unosi się smród czegoś zepsutego.

– Wypadek?

Pytanie Petriego wcale mnie nie dziwi.

– Z pewnością nie o coś takiego mu chodziło – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Przydarzyło mu się nieszczęście.

– Jesteście przyjaciółmi?

– Byliśmy. – Muszę podkreślić przeszły charakter tej zażyłości. – Przez bardzo krótki czas, lecz jednak byliśmy.

Petri nie odpowiada. Wygląda, jakby myślał. A może nie myśli wiele więcej niż zazwyczaj. Zwłaszcza ostatnimi czasy nie mogę się pozbyć wrażenia, że woli odnajdywać się w działaniach innych osób niż robić cokolwiek samodzielnie. Daję mu tyle czasu, ile mogę. Musimy zabrać się do pracy. Wreszcie biorę go pod ramię i prowadzę do Juhaniego.

Tak, fetor rozkładu dochodzi od ciała. Patrzę na Juhaniego, próbuję wymyślić, jak zrobić to najlepiej.

Najpierw musimy go przenieść z zagłębienia na pobocze. Potem trzeba będzie zmienić mu pozycję – przenoszenie kucających trupów może sprawiać pewne trudności.

– Co robimy? – pyta Petri, wykazując się po raz kolejny wielką rezolucją. Głos ma schrypnięty, przygaszony.

– Z pewnością rozumiesz, że Juhani nie może zostać odnaleziony w tym stanie. Był bardzo czuły na punkcie swego image'u. Nie chciałby, żeby go znaleziono w takiej wersji.

– Ale czy to nie jest przestępstwo, jeśli się...

– Petri, on nie żyje.

– Ale czy dobieranie się do umarłych...

– My nie zamierzamy nic robić ciału. Jesteśmy tutaj, żeby pomóc.

Stoimy naprzeciw siebie, jest piękny fiński letni wieczór, koło nas siedzi Juhani. Biorąc pod uwagę wszystko, co się tu zdarzyło, scena wydaje się zaskakująco naturalna. Petri jest brudny od mułu aż po czubek głowy. Ja, jak przypuszczam, prezentuję się niewiele lepiej. Wiem, z jakiego powodu Petri tu jest: z powodu sumienia. Człowiek już tak ma, jeśli nie jest totalnym psychopata.

Petri zachował się niewłaściwie wobec mnie i nie może mi tego powiedzieć, dlatego próbuje załagodzić swój czyn w inny

sposób. W jego wnętrzu toczy się dialog, z którego on sam zapewne nie do końca zdaje sobie sprawę. Na szalkach wagi stoją jego wcześniejsze czyny (Taina i to, że mnie zamordował) oraz ten dzisiejszy (Juhani i to, że mi pomaga). Sam nie jest w stanie podjąć decyzji, więc muszę go wyręczyć.

– Chwyć pod pachy – mówię, podając mu rękawice. – Uważaj na miecz, jest ostry.

Patrzy na mnie.

– Gdzie my to... gdzie go zaniesiemy?

– Do samochodu.

– Chryste.

– Sam by mógł pójść. Ale to jest Juhani.

Petri kręci głową.

– To... dość daleko.

– Dlatego tu jesteś – odpowiadam, nie tracąc cierpliwości. – Pod pachy.

Jeszcze kilkakrotnie kręci głową, a potem zakłada rękawice. Robi wokół kulturysty kilka ostrożnych kroków i wreszcie przyjmuje dogodną pozycję. Wsuwa dłonie pod rękę Juhaniego, ja chwytam za kostki. Petri patrzy na mnie.

– Na trzy – mówię. – Raz, dwa, trzy!

Kucający Juhani odrywa się od mułu. Jest sztywny. Petri musi uważać na wyrastający z głowy miecz, jakby z każdej strony próbował go atakować uparty jednorożec. Na niego spada też największa praca związana z podnoszeniem. Wreszcie udaje nam się zrzucić Juhaniego na pobocze. Leży na plecach z ugiętymi kolanami, w tej pozycji przywodzi na myśl olbrzymiego żuka wywróconego do góry nogami i ozdobionego samurajskim mieczem. Przez chwilę odpoczywamy.

– Co teraz? – pyta Petri.

Muszę pomyśleć. Zdejmuję koszulę. Jest solidna: porządny materiał, długie i wytrzymałe rękawy.

– Podnieś go trochę.

Robię z koszuli coś w rodzaju sanek: jej ramiona wsuwam pod tyłek Juhaniego, tylną część pod jego plecy, rękawami przewiążuję solidnie uda.

– Za to. – Wskazuję lewą kostkę.

Sam chwytam Juhaniego za prawą nogę. Ciągniemy go jak psy zaprzęgowe. Juhani sunie po wysokich trawach. Nie odzywamy się, bo ciągnięcie trupa to ciężka praca. Komary pożerają moje nagie ciało. Posuwamy się powoli, ale wreszcie docieramy do ścieżki. Przystajemy, obaj jesteśmy mokrzy od potu.

– A teraz? – pyta Petri.

– Udawajmy, że bierzemy udział w zawodach w biegach narciarskich – odpowiadam.

Zginam gałęzie świerku, żeby stworzyć z nich dodatkową wyściółkę pod Juhaniego. Petri domyśla się, o co mi chodzi, i pomaga, sam zaczyna odłamywać gałęzie. Chce odkupić swój czyn, widzę to. Nie może wiedzieć, że to, co robimy, dzieje się zarówno w związku z nim, jak i Juhanim. Jestem tu po to, żeby zdobyć więcej czasu, ale też dla dobra swojego śledztwa. Dopóki Juhani i jego miecz pozostaną w ukryciu, nie muszę niczego się obawiać ani ze strony Aska, ani też policji i będę mógł wykorzystać swój czas na ważniejsze sprawy.

Udaje nam się uzbierać pod Juhanim grubą rozkołysaną warstwę, umacniamy ją rękawami koszuli i znów ciągniemy. Po twardej piaszczystej powierzchni Juhani ślizga się zdecydowanie płynniej niż po pełnej wyrw łące. Petri

kontroluje kierunek, z którego nadeszliśmy, ja pilnuję przodów.

Docieramy do samochodu. Otwieram bagażnik i jakoś udaje nam się wrzucić Juhaniego do środka. Prawie w całości. Jest tak wielki, a jego miecz tak długi, że bagażnika nie udaje się zamknąć. Proszę Petriego, by dał mi swój T-shirt. Wykręca się, że to jego ulubiony. Mówię mu – tym samym po raz pierwszy wprost go okłamując – że smrodu trupa nie da się usunąć w praniu. Petri obwąchuje swoją koszulkę, chwilę się waha. Tłumaczę, że fetor najpierw się wchłania i na dobre zaczyna śmierdzieć dopiero następnego dnia.

Petri wlepia we mnie wzrok i zdejmuje T-shirt. Obwiązuje nim lewą nogę Juhaniego. Udaje mi się stworzyć coś w rodzaju tobołka, by wyglądało to tak, jakbyśmy przewozili mebel lub coś w tym stylu. Jeszcze tylko kłapa bagażnika, jakoś ją trzeba przymocować. Znajduję krótką gumę ściągającą. Efekt końcowy nie zwała z nóg, ale ujdzie.

Rozglądam się. Przynajmniej nikt nas nie widział.

I oto my, dwaj półnaczy faceci, jedziemy w letni wieczór samochodem. Jeśli bliżej się przyjrzeć, jesteśmy brudni jak świnie w chlewie i mniej więcej tak samo śmierdzimy. Petri sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie oddychał. Ja prowadzę spokojnie, okrążam centrum, gdzie wieczorny rynek przyciąga klientów: zapracowane rodziny i dzieci z buziami brudnymi od lodów.

Okna są otwarte, pot, muł i brud zasychają na skórze. Gdzieniedzie tworzą warstwę grubą jak koszula. Kiedy oblizuję suche wargi, smak przywodzi mi na myśl nadpsuty

pasztecik z mięsem. W gardle czuję gorycz, chce mi się kaszleć. Atak jest silny, do oczu napływają łzy, widzę jak przez mgłę. Nagle nastaje noc, ciemna choć oko wykol. Przeszywa mnie jakiś szum.

– Uważaj! – wrzeszczy Petri.

W ostatniej chwili omijam maskę ciężarówki. Udaje mi się wrócić na swój pas. Strach mnie rozbudza: rozjaśnia wzrok, zaciska palce mocniej na kierownicy. Zerkam na boki. Petri oddycha teraz wyraźnie: usta ma otwarte, a klatka piersiowa wznosi się i opada.

– Wszystko dobrze – mówię. – Mały zawrót głowy.

Nie odzywa się. Skręcam na drogę krajową, która prowadzi nas do Neuvoton. To mała wioska oddalona jakieś dziesięć kilometrów od Haminy. Wybrałem to miejsce, sugerując się nazwą¹ oraz linią brzegową. Pamiętam małą przystań. Mijamy Summę, jadę prawie dziewięćdziesiątką. Słońce przed nami zaczyna zachodzić, przybierając miękkie czerwone odcienie.

Jest letni wieczór.

Udaje mi się odnaleźć przystań od razu. Parkuję samochód możliwie jak najbliżej morza. Wsiadamy. Jest nas dwóch. A właściwie trzech, jeśli liczyć Juhaniego. A należy go liczyć: waży nie mniej niż wcześniej. Pożyczamy jedną z wiosłowych łodzi przycumowanych na brzegu, Petri przecina zamknięty łańcuch nożycami do metalu. Z dwóch sąsiednich łodzi bierzemy parę kotwic, na ławkach zostawiam dla właścicieli banknoty pięćdziesięcioeurowe – po jednym dla każdego – i zabezpieczam je kamieniami. Nie jestem złodziejem.

Potem wiosłujemy na otwarte morze. A właściwie to Petri wiosłuje, ja przywiązuję do Juhaniego kotwice.

Wygląda na to, że cały świat chyli się ku wieczorowi. Na morzu czuć tylko delikatny powiew wiatru, powierzchnia wody odrobinę się marszczy, a czerwień słońca odbita na tafli mąci wszystkie zmysły; woda jest jednocześnie błyszcząca jak metal i aksamitnie miękka. Plask wiosła w wodzie, bryzgi, kiedy się z niej unoszą, chlupot wody uderzającej o burty łodzi. Brzeg oddala się coraz bardziej.

Przez jakiś czas po prostu siedzę, pozwalając Petriemu wiosłować.

Wreszcie wyrzucamy Juhaniego do wody.

Znika jak kamień.

Zawożę Petriego do domu. Próbuję wyczytać coś z jego twarzy. On wie coś, czego ja nie wiem, ale ja wiem wiele takich rzeczy, o których on nie ma pojęcia. Tajemnice łączą nas obu, a teraz wiąże nas także wspólna tajemnica. Potrzebuję jednego i drugiego.

Gdy przejeżdżamy mostem Tervasalmi, spoglądam z góry na statek restauracyjny. Zaledwie kilka godzin temu siedziałem z Askiem na górnym pokładzie i razem piliśmy piwo. Odnoszę wrażenie, że funkcjonuję i poruszam się w tempie i z efektywnością właściwą dla umierającego człowieka. Jeden dzień mieści teraz w sobie tyle co kiedyś okrągły rok.

Docieramy do stodoły Petriego. Zaczynam zawracać, zanim jeszcze zdąży wysiąść z samochodu.

– Petri – rozpoczynam – to z pewnością zrozumiało samo przez siebie. Ale powiem i tak. Nie mówimy o tym nikomu.

Unika mojego wzroku. Jest zwrócony twarzą w kierunku lasu, gdzie granica między polem i drzewami zniknęła w całkowitej ciemności; w pejzażu wyrosła czarna dziura.

– Petri?

Wzdryga się.

– Nikomu – powtarzam.

Przytakuje.

– Powiedz to.

– Nikomu nie powiemy.

– Dobrze.

Nie rusza się z miejsca.

– Możesz teraz wysiąść. – Poklepuję go po kolanie.

Otwiera drzwi, wysiada i obchodzi samochód. Wrzucam bieg i puszczam sprzęgło. Przez lusterko wsteczne widzę, że Petri idzie do stodoły. Zastanawiam się, jak długo zdoła zachować milczenie. Zakładam, że dzień lub parę, i próbuję odgadnąć, komu najpierw się zdradzi. Liczę na to, że intuicja mnie nie myli.

Samochód Tainy stoi pod domem, parkuję za nim. Wysiadam i zaciągam się świeżym powietrzem. Buty i skarpetki wciskam od razu do śmietnika i przygotowuję się do wejścia do środka. Wiem mniej więcej, jak wyglądam, jak to wszystko wytłumaczę. Wchodzę na bosaka po schodach, pod stopami czuję chłód betonu. Otwieram drzwi.

Zapach jest odurzający: czerwone curry z kurczakiem, chleb naan, ryż basmati. Moje ulubione danie. Słyszę kroki, Taina pojawia się w drzwiach. Po raz pierwszy, odkąd jesteśmy razem, kompletnie nie potrafię odczytać wyrazu jej

twarży. Taina patrzy na mnie, nie wzdryga się, nawet nie mruga.

Zbliża się jeszcze bardziej i mówi z uśmiechem:

– Masz pijawkę na szyi.

9

Gorący prysznic nigdy wcześniej nie sprawił mi równie wielkiej radości – woda pieści całe ciało, odciąża je, sprawia, że skóra znów wydaje się należeć do mnie. Pijawka odpadła, oderwałem ją. Zastanawiam się, z jakiego powodu Taina nie zapytała, dlaczego przed chwilą wyglądałem tak, jakbym wytarzał się w rowie. Co jest zresztą zgodne z prawdą. Nie sądzę, żeby Petri zdążył już się wyczołgać spod swoich tajemnic, serdeczność mojej żony musi mieć inne wytłumaczenie.

Pozwalam gorącej wodzie łagodzić mi twarz. Kiedy po prysznicu patrzę w lustro, dziób płonie mi czerwienią, a na szyi mam ślad w postaci malinki. Poza tym mniej więcej przypominam samego siebie. Ubieram się, schodzę na dół i dopiero wtedy mnie olśniewa: temat wieczoru.

Tajlandia. No przecież!

Sam się o to prosiłem, proponując podróż i powrót do naszego bungalowu. Czy raczej „naszego” bungalowu. Ileż to spraw z naszego życia mieści się w cudzysłowie: wszystkie wyobrażenia, założenia, to co wymyślane, pięknie odmalowane przez nas wspomnienia niemające nic wspólnego z rzeczywistością. Łapię się na tym, że znów myślę

o złych rzeczach w złym czasie. Muszę zachować przytomność, w przenośni, jak i dosłownie. To drugie może nastroczać trudności. Dzień był jak długi i nierówny mecz judo.

Taina czaruje w kuchni, nie odrywając bioder od blatu. Jej palce posypują coś to tu, to tam. Jakbym odtwarzał powtórkę z zeszłego wieczoru, idę na swoje miejsce i siadam do stołu. Moja żona najwyraźniej nieźle się narobiła dla dobra naszego wspólnego posiłku. Stół został pieczołowicie nakryty, nie brakuje nawet serwetek z orientalnymi akcentami. Przede mną pachną smakołyki z Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej i wygląda na to, że zaraz pojawią się następne. Taina ze skupieniem przekłada coś łyżką kuchenną z patelni do czarnej miski, z której bucha gęsta, gorąca para. Jedzenia starczy dla całej armii.

– Myślałem, że zaczniemy trochę ograniczać kuchnię – mówię.

Taina zerka na mnie, jakby mój widok sprawiał jej radość. To także jest całkiem nowe.

– Otóż to. Tylko odrobina gotowanych warzyw. Kurczak pieczony w marynacie z samych przypraw. Sos jogurtowy bez tłuszczu. Oprócz basmati ryż pełnoziarnisty. Zielona sałata z pestkami słonecznika. W porównaniu z tym co kiedyś nie zmieniło się tylko tyle, że to nadal twoje ulubione danie. Ale wszystko w wersji light.

Uśmiecha się i teraz potrafię już odczytać jej minę lepiej. Taina patrzy na mnie jak na swoje dziecko. To niezbyt schlebia. Nie zdradzam, że widzę, że traktuje mnie jak ośmiolatka. Jestem facetem w średnim wieku, mam na sobie różową koszulę od Tommy'ego Hilfigera, a pod nią złośliwie

wystający ciężowy brzuch, którego najwyraźniej nie pozbędę się nawet za pomocą śmierci.

– A jak już zjemy, będziemy mogli przejrzeć oferty z biur podróży i o nich porozmawiać – dodaje Taina, podając mi miskę z warzywami.

– Wspaniale – odpowiadam. – Porozmawiamy.

Tak naprawdę nie marzę teraz o dyskusjach. Moje ciało krzyczy o odpoczynek. Dopiero co wrzuciłem jednego bysiora do morza i tarzałem się w mule z kochankiem żony. Ale niewykluczone, że teraz właśnie odbywa się najważniejsze spotkanie dnia, ważniejsze niż te z innymi ludźmi, żywymi lub umarłymi.

Taina wciąż na mnie patrzy, jej spojrzenie jest ciepłe.

– Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłeś – mówi.

– Czym? – pytam wprost. Myślę, że dowolne z wydarzeń, które zdarzyły się ostatnio, każdego by zdziwiło.

– Ta przemowa, którą wygłosiłeś dziś w firmie. Udziały i... cała reszta.

Niewykluczone, że zaczynam dostrzegać, co kryje się za tą azjatycką gościnnością.

– Mamy konkurencję, której nie można lekceważyć – stwierdzam. – Chcę, żebyśmy to my wygrali zawody.

– Wydajesz się dość stanowczy. – Taina mówi to niejako mimochodem, ale jej słowa mają ciężar. I wciąż się uśmiecha. Nie nakłada sobie jedzenia. Już samo to zwraca moją uwagę.

– Być może jakoś się... jak by to powiedzieć... przebudziłem. Co o tym myślisz? O podzieleniu udziałów i reszcie, o tym, żebyśmy wszyscy uczestniczyli w zbiorach i oczywiście o podwojeniu produkcji?

Nie zmienia wyrazu twarzy, ale widzę, że wcale nie przychodzi jej to łatwo.

– Tak – rzuca. – Może fajnie by było, gdybyś powiedział najpierw mnie.

– To wydarzyło się tak nagle – wyjaśniam. – Ostatnio w ogóle wszystko dzieje się bardzo szybko.

Żadne z nas nic sobie jeszcze nie nałożyło, chociaż stół ugina się od jedzenia. Co dziś miałem w ustach? Batony czekoladowe, colę, pół kufła piwa... może coś tam jeszcze.

– Życie jest niewątpliwie pełne niespodzianek – mówi Taina. Widzę, jak zmusza się do patrzenia na stół. – Zjedzmy, zanim ostygnie.

Działam tak samo jak poprzedniego wieczoru. Nakładam na talerz to wszystko, o czym wiem, że normalnie mi smakuje. Z sosu chili rezygnuję bez żalu. Jeśli Taina o cokolwiek zapyta, powiem, że to przez pasztecik mięsny, który mi zaszkodził. Nie wspomnę, że pasztecik mięsny ma na imię Juhani.

– Jak ci to wszystko wpadło do głowy? – wraca do tematu moja żona. – Te innowacje, zmiany?

Wzruszam ramionami. Zupełnie jakbym co drugi dzień robił podobne rzeczy.

– Jesteśmy w takim punkcie działalności, że musimy albo zadbać o wzrost, albo zaczniemy się kurczyć. Nie możemy zostać w miejscu, to niewykonalne.

– Wypowiadasz się jak prawdziwy biznesmen.

I znów ten jej pośpiech. Teraz już wiem, jak to wytłumaczyć: ona wcale mnie nie zna i to ją gryzie.

– A ciebie to zaskakuje.

Nakładam ostrożnie kurczaka i ryż na widelec i unoszę go do ust. Taina nie patrzy na mnie; wyraźnie się nad czymś zastanawia. Za oknem jest już ciemno, miękki zmierzch wpływa do środka. Przytłumione światło lampy wiszącej nad stołem tworzy coś w rodzaju kryjówki, pozostajemy w jej wnętrzu.

– Trochę się już zaczęło robić zbyt rutynowe... to nasze prowadzenie firmy – odzywa się Taina.

– Zawsze lubiłem rutynę.

Wciąż unikając mnie wzrokiem, umiejętnie pomaga sobie nożem, gdy nabiera na widelec odpowiednią ilość każdego składnika. Udaje mi się przełknąć mały gryz i czuję, jak jedzenie spływa na dół.

– To dobrze – mówi Taina. – Rutyna jest dobra, ja też tak uważam. Ale czasami trzeba po prostu się wyrwać, zaszaleć, uderzyć... – Przerywa. Już się rozpędzała, przyspieszała. Poza tym zaraz zacznie się czerwienić, widzę to. – Podjąć ryzyko – kończy już powoli. – Dziś dałeś przykład.

Jestem głęboko wstrząśnięty: moja żona ze mną flirtuje! Myślę o swojej gorącej, czerwonej, okrągłej gębie, o opasłym różowym brzuchu, o krwawym pocałunku złożonym na mojej szyi przez oślizgłego robala. Nie jestem Bradem Pittem. Przyczyna flirtu nie może kryć się w moim wyglądzie zewnętrznym. Taina czegoś ode mnie chce, ale czego? Wkrótce umrę – czy to nie wystarczy?

– Dziękuję. – Daję się wciągnąć w spijanie sobie z dzióbków. – Dziękuję ci za to, że odebrałaś te wszystkie zmiany tak pozytywnie. Choć szczerze mówiąc, sądziłem, że będziesz mieć coś przeciwko.

Taina znów daje z siebie wszystko, by zachować na twarzy serdeczność, a w głosie spokój.

– Dlaczego?

Przypomina mi się komentarz Raima, kiedy rzuciłem się za Petrim: *Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś planował jakieś większe zmiany w tym zakładzie.*

– Pomyślałem po prostu... a właściwie wciąż tak myślę... że może masz własne refleksje na temat rozwoju firmy i że mogą być nieco odmienne od moich.

W moich słowach brzmi ciepła nuta, patrzę Tainie prosto w oczy, jestem mężem i przyjacielem.

– No... – rozpoczyna, ale jej przerywam.

– To samo w sobie jest całkowicie zrozumiałe. Byłem głuchy, oporny, niefrasobliwy. Tkwiłem po uszy w utartych schematach, jak to się mówi. Robiłem tylko to, co konieczne, właściwie nigdy nie próbowałem swych granic...

Sam słucham tego, co mówię. Brzmi to wszystko mniej więcej właściwie.

– Właśnie tak – ciągnę. – Nie miałem dość odwagi, nie sprawdzałem, na co można sobie pozwolić. Wciąż jakby szczeniłem... żyłem... wszystko było na obniżonych obrotach. Chyba sama to zauważyłaś. – Celowo kładę nacisk na ostatnie zdanie.

Taina wpatruje się we mnie.

– Nie – odzywa się wreszcie. – Ja... Pewnie, że nie.

Kłamie, moja żona mnie okłamuje!

– Wspaniale to słyszeć – mówię. – Obustronne zaufanie i szacunek to fundament wszystkiego.

Wlepia wzrok w swój talerz. Całkiem możliwe, że trzymająca widelec dłoń zaczęła nieznacznie drżeć.

Milczymy.

– To absolutnie konieczne – kontynuuję. – Kiedy decydujemy się na duże zmiany...

– Udziałów nie można porozdawać – rzuca Taina.

Jej słowa dochodzą jak z pękającej rury wodociągowej, wybuchają pod napięciem. Spoglądamy sobie w oczy.

– Podałabyś mi naan? – proszę.

– Przynajmniej do czasu, aż się dowiemy... więcej.

– I jeszcze masło.

Taina patrzy na mnie, a potem sięga po chleb i masło. Na moich oczach zbiera się w sobie, zmusza do zachowania spokoju.

– Nie można ich rozdawać jak cukierki – mówi. – Na udziały należy sobie zasłużyć. A to wymaga czasu. Trzeba przyjrzeć się temu na spokojnie. Pozwolić ludziom pokazać, na co ich stać.

Odchylam się na oparcie krzesła.

– Jaki przedział czasowy masz na myśli? Kiedy ocenimy sytuację na nowo?

Twarz Tainy jaśnieje.

– Jesienią będziemy mądrzejsi.

Z pewnością, myślę. Jak już razem z Petrim będziecie stać nad moim grobem – jeśli zdążycie tam dotrzeć z leżaka na tarasie – to na pewno będziecie o niebo mądrzejsi.

– Dlaczego jesienią?

– Czas zbiorów. Grzyby. Będziemy znać wyniki.

Zerkam na swój talerz, znowu jem. Teraz mogę to robić.

– I jeszcze Tajlandia – mówię z oczami utkwionymi w mleku kokosowym, kurczaku i ryżu. – Prawda?

– Jeśli chcesz. – Słyszę, że próbuje doprawić swój głos ekscytacją, ale wynik końcowy znajduje się raczej gdzieś na granicy podenerwowania. Wyraźnie widać, że Taina ma dużo do stracenia. Nie wiem, jak daleko jest gotowa zajść, ale bardzo mnie to ciekawi.

– Przez cały dzień bolał mnie kark, ramiona mi całkiem zdrętwiały – skarżę się, próbując nawiązać z żoną kontakt wzrokowy.

– Po deserze mogę ci zrobić masaż pleców – obiecuje z czułym uśmiechem.

Jestem pewien, że to żona mnie zamordowała.

10

Co ostatecznie sprawiło, że Hamina mnie w sobie rozkochała? Letnie poranki. Ich spokój i niespieszny rytm, zapach morza niesiony niezbyt silnym wiatrem i pyszności z porannego rynku – wszystkie te pączki w kształcie prosiaczków, których zjadłem przez ostatnie trzy i pół roku wystarczająco dużo, by doczekać się podejrzenia o cukrzycę. Okno jest otwarte, powietrze zastygło i gęstnieje, choć naciskam pedał gazu. Jakby ktoś na wyżynach przygotowywał się do eksplozji, gromadząc ciśnienie pod pokrywą. Niebo jest w dalszym ciągu bezchmurne i jak świeżo pomalowane: błyszczący i lśni silnym, głębokim błękitem. To musi być jakaś zmyłka, dalej kryją się czarne chmury, porywisty wiatr, łomot deszczu. Czyli będzie burza. Czyli będą grzyby.

Musimy pogadać. Wpadnij do mnie przed pracą.

SMS od Sanni czekał na mnie, kiedy około wpół do siódmej zbudziłem się na kanapie.

Niewiele pamiętam z wczorajszego wieczoru. Obejrzeliliśmy końcówkę programu *Jutta i superdieta rozwodowa*, wymieniliśmy komentarze na jego temat; ja zajadałem się

chipsami i owocowymi żelkami, podczas gdy Taina masowała mi kark i ramiona. Najwidoczniej po prostu zasnąłem.

Pamiętam za to kolację, swoje zaskoczenie tym, że odczuwam głód, pamiętam, jak apetyt dosłownie rósł mi w trakcie jedzenia, jak pyszny był kurczak z ryżem i jakże słodkie, wręcz idealne truskawki w bitej śmietanie, po które sięgałem do miski raz za razem, myśląc o tym, że teraz to już na pewno ostatnia, teraz już ostatnia, teraz już...

Pamiętam dłonie Tainy na moich gołych ramionach, tak dobrze mi znane, a teraz jakoś... nie żeby obce, ale jakby z rąk i palców zniknął ten najcieplejszy, najbliższy dotyk, ta trwająca milisekundę chwila, kiedy palce równocześnie rozluźniają uścisk i już rozpoczynają kolejny.

Trzeba przyznać, że zrobiłem się bardziej wrażliwy. Wyczuwam rzeczy, których wcześniej nie rejestrowałem. Albo upiera się przy tym mój uszkodzony mózg.

Śmierć wydaje się najmniej prawdopodobna w poranki. Moje doświadczenie na temat umierania liczy zaledwie dwie doby, ale jestem już w stanie powiedzieć, że im bardziej dzień chyli się ku wieczorowi, tym bliższy wydaje się koniec. To pewnie zupełnie naturalne.

Dzień: to świt, to zmrok. Życie jest jednym dniem.

Rano sprawia wrażenie czegoś niemalże pewnego, ale im bliżej wieczoru, tym bardziej ta pewność kruszeje. Wydarzenia dnia nawet w zwyczajny poniedziałek są z natury tak przemijające, w jednej chwili gasną i zatracają się w mroku niepamięci. To wręcz cud, że wcześniej w ogóle nie myślałem co wieczór, że umieram.

Oto znajoma krzątanina na rynku, samochody dostawcze z piekarni, kawiarniany namiot, starzy mężczyźni i ich

rowery.

Robię zupełnie niepotrzebne okrążenie, by zobaczyć to wszystko. Przez chwilę wydaje mi się, że gdybym mógł żyć po życiu, zatrzymałbym się, żeby wypić kawę i zjeść świeżego pączka, cudownie tłustego, z cukrem trzszczęcym między zębami. Potem przyznaję sam przed sobą, że niekoniecznie. Jeśli życie jest nieodgadnione i nie do przewidzenia, śmierci tym bardziej nie można zaufać.

Saviniami jednak trwa na swoim miejscu. Podwórze przy Kalastajankatu, na którym widziałem Keitha Richardsa wraz z jego maszyną do cięcia drewna, świeci pustkami. Stos polan osiągnął wysokość budynku. Z jakiegoś powodu mam całkowitą pewność, że mężczyzna właśnie poszedł do lasu. Po więcej drewna.

Kiedy zatrzymuję samochód przy Kipparinkuja, sprawdzam lusterko wsteczne. Uprzytamniam sobie, że robię to ze względu na Juhaniego. Ale on mnie nie śledzi, śledzi co najwyżej – od dołu – przypadkowego szczupaka albo opadające sieci.

Za drugim razem podwórze wydaje się jeszcze zieleńsze, niż pamiętam: paprocie są jak wybuchy wulkanów, kwiaty ciągną się w rzędach niczym owoce na straganie. Zapachy, ziemia, jaskinie zieleni prowadzące w cień drzew i na koniec podwórza, zadaszenia.

Drzwi nie są zamknięte na klucz. Otwieram je, przez chwilę nasłuchuję. Wchodzę, w przedpokoju zostawiam buty i kieruję się do kuchni.

Nie licząc majtek, Sanni jest naga, miksuje coś w blenderze, stojąc plecami do mnie, z pewnością przygotowuje jakiś wysokoproteinowy koktajl dla biegaczy.

Jej rozpuszczone rude włosy sięgają połowy pleców. Jasnoniebieskie satynowe majtki odsłaniają jeden pośladek, biały i krągły – tak wygląda jędrna połówka pupy wysportowanej kobiety. Sanni już się obraca, gdy uprzytamniam sobie, że mój wzrok utknął w miejscu, w którym przed chwilą był pośladek.

– Dzień dobry – mówi Sanni. – Również dla ciebie.

Robię równocześnie całe mnóstwo rzeczy: odrywam wzrok od jej pośladków, przeproszam, wciągam brzuch, naprężam pierś i unoszę ramiona, jakbym chciał zaprezentować swoje mięśnie. Nie wiem, co z tego wszystkiego jest największą siarą. Sanni zakrywa rękami piersi.

– Napisałaś esemesa, żebym przyszedł – wyjaśniam. – Pomyślałem, że to zaproszenie...

– Bo to było zaproszenie – odpowiada. – Weź sobie kawę, pójdę coś włożyć.

Wzdrygam się, potrząsam głową, nalewam kawę i siadam przy stole. Rozglądam się. Kuchnia jest ładna, przytulna. To przeróbka kuchni wiejskiej, prawdopodobnie z oferty szwedzkiego potentata. Wszystkie widoczne produkty spożywcze niemal bez wyjątku znajdują się w słojach opatrzonych napisami organiczny/dietetyczny/light/natural/protein. Myślę, że w dzisiejszych czasach wszyscy jedzą tak niesamowicie zdrowo, nawet ja, choć przecież mógłbym się karmić wyłącznie masłem. Czuję się całkiem nieźle, jeśli nie liczyć niewielkich zawrotów głowy, lekkiego szumu w uszach (nowość) i promieniującego bólu w okolicach nerek. To

niepozorne dolegliwości. Zwłaszcza że wciąż mam w sobie wczorajszy posiłek.

– Rozmawiałam wczoraj z Askiem i Juhaną – mówi Sanni, teraz już w luźnym czerwonym T-shircie i dziurawych dżinsach. – Usłyszałam kilka ciekawych rzeczy. Rozmawialiśmy o planach na lato i jesień, o pracy i o tym, jak zamierzają przejść rynek.

– Powiedzieli ci? – pytam zaskoczony.

– Oczywiście. – Sanni sięga po pokrywkę blendera. – Obiecałam, że będę u nich pracować. Zaczynam od razu.

Omam nie wypluwam kawy, którą właśnie piję. Sanni przelewa do wysokiej szklanki płyn o kolorze buraka.

– O dżizas! – Odstawiam ostrożnie kubek na stół.

– Muzyczkę?

Nie czeka na moją odpowiedź, muska palcami komórkę i po chwili z głośników nad stołem zaczyna płynąć *Is This Love*. Bob Marley.

– Powiedziałaś, że zaczniesz u nich pracować? – pytam. – A wczoraj podpisałaś ze mną nową umowę.

– Niby jak inaczej miałabym się czegoś dowiedzieć? – odpowiada. – Sprawdziłam to. Wszystko jest zgodne z prawem. Mogę podpisać w tym samym czasie nawet sto umów o pracę. Jeśli w którejś z nich nie ma zastrzeżenia, że nie wolno mi tego zrobić. Czasami jest. Na przykład w przypadkach zakazu konkurencji...

– Wiem – przerywam jej. – Najwyraźniej nie mają klauzuli zakazu konkurencji. Najwyraźniej my nie mamy klauzuli zakazu konkurencji. I nie o to mi chodziło, interesuje mnie praktyka. Pewnie, że każdy może w ciągu jednego dnia

przyjąć nawet pięćdziesiąt ofert pracy, ale wywiązanie się z nich może nastreczyć pewnych trudności.

– Okres próbny – mówi Sanni i popija koktajl. Na chwilę wyrastają jej po obu stronach krwistoczerwone wąsy, ale wystarczy jedno liźnięcie języka, by bezpowrotnie zniknęły. – Mogę w każdej chwili ich poinformować, że rezygnuję.

– Właśnie – potwierdzam. – Ale my ciebie potrzebujemy teraz i w najbliższych dniach bardziej niż kiedykolwiek. Nie możesz być w dwóch miejscach naraz.

Sanni nie odpowiada. Miękki rytm basów, nad nimi brzęk gitary i łagodne poranne słońce odsuwają pachnącą kuchnię tego drewnianego domu gdzieś dalej i dalej – bez problemu mógłbym wyobrazić sobie nas w domku letniskowym, na jakiejś wyspie, ja i Sanni, i jej boskie majteczki, i piękny lewy pośladek...

– Na ile jesteś zadowolony ze swojego życia? – pyta Sanni.

Podnoszę na nią wzrok. Dziwią mnie myśli, które wpadły mi do głowy.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą i przez chwilę zastanawiam się nad ciągiem dalszym. – Nie jestem zbyt daleko... Akurat teraz nie za bardzo potrafię stworzyć sobie całościowy obraz sytuacji.

Sanni wypła już połowę koktajlu.

– Kiedy przyszedłeś tu po raz pierwszy, coś zrozumiałam – mówi. – Właśnie czegoś takiego potrzebowałam. Nowej możliwości. Tyle czasu tkwiłam w jednym miejscu! Utknęłam, chyba tak to się mówi. Że się ma blokadę. Nie żeby było mi jakoś bardzo źle, ale jednak. Można chyba powiedzieć, że miałam objawienie, bez żadnych podtekstów religijnych, ale coś podobnego. Otwierają ci się nagle oczy i widzisz coś, co

zawsze było na wyciągnięcie ręki. Ale teraz widzisz... i to, co widzisz, okazuje się nagle całym światem i całym życiem, twoim własnym życiem i prawdą na jego temat. Opadają ci z oczu łuski i widzisz prawdę. Tak właśnie teraz mam.

– Wiem, o czym mówisz – przyznaję, bo zgadzam się z Sanni, ale również dlatego, że podoba mi się jej głos, lubię jej słuchać.

– Wiesz, co bym chciała robić? – Patrzy na mnie ponad szklanką. Po koktajlu nie zostało ani śladu.

Kręcę głową, piję łyk kawy.

– Chcę zdobyć świat – mówi.

Wypicie kawy w towarzystwie tej kobiety graniczy z cudem. Najpierw kołatanie serca spowodowane nagością, potem informacje o pracy, a teraz jeszcze zdobywanie świata. Przelotny błysk zieleni w oczach Sanni ginie w błękicie; jej spojrzenie się jarzy.

– Mówię oczywiście o grzybach – precyzuje.

– Właśnie – odpowiadam.

– Wszystko jest w naszych rękach – ciągnie Sanni. – Mamy najlepszy produkt, najlepszych zbieraczy, najlepsze kompetencje w kwestii pakowania i konserwacji, mamy rewelacyjne kontakty. A teraz... teraz mamy też kierownictwo, które jest zainteresowane rozwojem działalności.

Spoglądam na nią.

– Naprawdę?

Wstaje od stołu. Dżinsy są tak dziurawe, że widzę jej pachwiny i uprzytamniam sobie, że mój wzrok znów zawędrował w absolutnie niewłaściwe rejony. Sanni opiera

się o umywalkę, kładzie ręce na jej brzegu. Nie ma na sobie stanika, czerwony T-shirt przepuszcza promienie słońca.

– Dlaczego tylko Japonia? Dlaczego tylko jeden klient w Japonii? Dlaczego nie reszta Azji? Dlaczego nie Europa Środkowa? Dlaczego nie Londyn, Nowy Jork?

Zamierzam coś powiedzieć, ale Sanni unosi dłoń.

– To nie twoja wina, Jaakko. To wina nas wszystkich. Ja też byłam jak we śnie. Patrzyłam w las, kiedy należało spojrzeć także w drugim kierunku. Nie zrozum mnie źle, kocham las, uwielbiam grzyby i wszystko, co się z nimi wiąże, ale... te grzyby muszą czemuś służyć.

Wszystko, co właśnie powiedziała, to prawda, racjonalna, a mówiąc wprost – wręcz ekscytująca i fascynująca. Mimo to z wielu powodów nie potrafię myśleć teraz o Nowym Jorku. Nie mam pewności, czy kiedykolwiek zobaczę jeszcze choćby Tervasaari. Nie mówiąc już o tym, co robię z czasem, który mi pozostał: śledztwo w sprawie mojego zabójstwa, ratowanie firmy. Potrzebuję Sanni, jej pomocy w uzyskiwaniu informacji, jej roli w tej układance. Liczę w myślach frędzle radośnie żółtego dywanika, światło słoneczne rozkłada się na nim jak równomiernie rozłożone żółtko.

– Jaakko – rzuca Sanni.

Podnoszę wzrok.

– Posunęłam się za daleko? – pyta.

– Tu nie chodzi o...

– Chodzi o Tainę?

Wygląda na to, że ilość zieleni w jej błękitnych oczach nagle wzrosła. Postawa Sanni, sposób, w jaki opiera się o umywalkę... ta kobieta jest czujna, poważna, uczciwa. Ja też

jestem w stosunku do niej uczciwy – nie licząc kwestii śmierci.

– Tak myślę – odpowiadam.

– Myślisz?

– Nie jestem pewien.

– To kto wie, jeśli nie ty?

– Właśnie to usiłuję wybadać.

Sanni patrzy na mnie tak, jakbym był nieco ociężały umysłowo. I znów Bob Marley:

Don't worry about a thing,

'Cause every little thing gonna be alright.

Singin' don't worry about a thing,

'Cause every little thing gonna be alright.

– Kto ci to ma rozjaśnić? – pyta.

Przesuwam swój kubek na sam środek stołu, ale nie odrywam od niej wzroku.

– Masz rację – przyznaję wreszcie. – Co do grzybów. I, niestety, również w kwestii Tainy. Wydaje mi się, że akurat teraz ona i ja widzimy sprawy z różnych perspektyw.

– Jak bardzo różnych?

– W mniej więcej stu procentach.

– A ty? – Głos Sanni łagodnieje. – Jak Taina widzi ciebie?

– Gdybym powiedział, że w ogóle mnie nie widzi, a przynajmniej nie w dalszej perspektywie, to zbliżyłbym się być może do prawdy.

Sanni przez chwilę milczy. Odzywa się dopiero po chwili.

– Może patrzy w złym kierunku.

11

Nawet nie patrzę w lusterko wsteczne, macham beztrąsko łąpskiem wyciągniętym w otwartą przestrzeń poza samochodem, tak jak ostatnio robiłem to w dzieciństwie. Poranek jest ciepły, moja ręka jak skrzydło, które chce poczuć pod sobą powietrze. Prawą swobodnie manewruję kierownicą, zakręty na mój rozkaz łagodnieją, dodaję gazu delikatnie, ale stanowczo.

Żyję.

Warto umrzeć przynajmniej raz, żeby zobaczyć, jak piękny może być jeden poranek.

Wszystko łąni, błyszczący.

Na błękitnych morskich przestworzach unoszą się tylko pojedyncze białe łódki, a pod kopułą nieba cała ziemia przeobraża się w zielony koc.

To, że jadę „na zimną rękę”, powoduje coś jeszcze: ci, których mijam, interpretują to jak gest powitania i, chyba mile zaskoczeni, odpowiadają machnięciem. Uśmiecham się, układam usta w bezgłośnie „Hej”. Wszyscy jesteśmy tym samym porankiem.

Wysyłam dłonią całusa pewnej kobiecie, która przestraszona tym, omal nie wjeżdża w ogrodzenie na

Mannerheimintie.

Ciepło słońca, roztańczona dłoń, mój umysł...

Na skrzyżowaniu wyprzedza mnie samochód Petriego, z Petrim za kierownicą; przejeżdża skrzyżowanie przede mną, zmierzając w kierunku centrum. Przyjechał od strony firmy, ale to oczywiście nie musi niczego oznaczać. Hamina to małe miasto, liczba ulic jest ograniczona; kiedy dużo się jeździ, w ciągu jednego dnia większość z nich objeżdża się wielokrotnie tam i z powrotem. Ale nie ma nawet ósmej. Petri chyba nie patrzy, czy z którejś z bocznych ulic nie nadjeżdża samochód; ja jadę z podporządkowanej, więc nie musi zwracać na mnie uwagi. I nie robi tego, a przynajmniej tak mi się wydaje. W momencie, kiedy sam skręciłem już na lewo i wyjechałem na prostą, nie widzę go we wstecznym.

Moja ręka już nie frunie. Zaciska się na kierownicy.

W środku panują mrok i cisza. Jestem pewien, że przyszedłem tu pierwszy, ale nagle dobiega mnie niskie brzęczenie maszyny do suszenia i dostrzegam, że tylne drzwi są uchylone. Przechodzę przez halę i gdy zbliżam się do tylnego wyjścia, rozpoznaję nogi rozwalone na krześle. Wchodzę na taras i widzę całą resztę ciała.

Olli pije kawę i zajada się podłużną drożdżówką.

– Ranny z ciebie ptaszek – wita mnie.

Naprawdę z tymi swoimi brązowymi oczami, mocno zarysowaną szczęką i szpakowatymi skroniami mógłby przypominać George'a Clooneya, pod warunkiem że powstrzymałby się od mówienia z ustami pełnymi drożdżówki. I gdyby nie miał w kąciku ust dużej porcji dżemu

malinowego i gdyby w ogóle nie sprawiał wrażenia osoby, która lubi dzemy, nie tylko malinowe. Mimo to Olli nie ma takiego brzucha jak ja. Nie mam pojęcia, dlaczego nagle tak mi zaczęło przeszkadzać moje koło ratunkowe w miejscu talii. Przypuszczam, że odpowiedź na to pytanie nie należałaby do przyjemnych.

– Maszyny są włączone – mówię.

– Wiem – rzuca z pełnymi ustami.

– Tak. W to nie wątpię. Zastanawiam się tylko, dlaczego są włączone. O ile mi wiadomo, nie mamy teraz grzybów. Czekamy na deszcz i miejmy nadzieję, że na weekend, po deszczu, będziemy mieć grzyby. To niejako cykl natury, za którym podążamy albo przynajmniej staramy się podążać.

– Wiem.

Nie odpowiadam ani słowem, patrzę na Ollego. Zauważa moje spojrzenie, sięga do stolika ogrodowego po kawałek papierowego ręcznika i wyciera sobie kąciki ust. Przełyka drożdżówkę tak głośno, że to słyszę.

– Wypróbuję nową metodę – wyjaśnia. – Szybsze suszenie. Nie wiem, czy to możliwe, ale wydaje mi się, że coś wymyśliłem.

– Nowa metoda – powtarzam i słyszę, jak bardzo jestem zaskoczony.

– Tak. Chcesz, żebyśmy podwoili zbiory, co oczywiście oznacza, że będzie więcej do suszenia, a to znowu...

Mówi tak, jakby było mu przykro, słowa wydostają się z ust z wahaniem, ostrożnie.

– Olli – przerywam mu. – To brzmi dobrze. Wręcz wspaniale!

Dostrzegam ulgę w jego oczach, lewa ręka, trzymająca połówkę drożdżówki, opada do normalnej pozycji.

– Pomyślałem, że... Wyglądałeś tak...

Robię dwa kroki naprzód, z cienia do słońca, stoję pośrodku tarasu, czuję, jak słońce ogrzewa mi czubek głowy. Olli może mieć mnóstwo irytujących cech, ale wiele udaje mu się uratować dzięki temu, że potrafi pozytywnie zaskoczyć. Chcę, żeby o tym wiedział.

– Przykro mi. Chyba jestem trochę podenerwowany. Cieszę się, że się angażujesz. Potrzebujemy tutaj takiego entuzjastycznego ducha, jaki prezentujesz. Sam tu byłeś przez całe rano?

Olli patrzy na mnie tak, jakby nie do końca pamiętał, jak w rzeczywistości było.

– Oczywiście – odpowiada. – Dlatego przyszedłem wcześniej. Żebym mógł w spokoju...

Potakuję pospiesznie, podchodzę o krok bliżej.

– Pamiętasz, o czym ci mówiłem? O swojej żonie. I że masz tego typu doświadczenia... z kobietami ogólnie, jeśli dobrze zrozumiałem.

Drożdżówka z dżemem malinowym w ręce Ollego jest niczym przedmiot, który właśnie udało mu się odnaleźć i który chce mi teraz zaprezentować. Zastygła w bezruchu, Olli przestał jeść.

– Dobrze pamiętam – mówi i teraz w jego głosie słyszę coś pewniejszego, coś bardziej zdecydowanego. – I co nieco o tym myślałem.

– Naprawdę? – Patrzę na niego ze zdziwieniem.

Potakuje.

– Mądry nie kładzie się w ogniu – rzuca.

– O tym właśnie chciałem mówić. – Spoglądam pospiesznie na niebo. Słońce wspina się w szalonym tempie na firmament. Jest już bardziej białe niż żółte jak rano. – Mówiłem o mojej żonie. Teraz wydaje mi się, że się zakochałem.

– W żonie? – Olli jest wyraźnie zaskoczony.

– Nie, nie. – Kręcę głową. – Nie w żonie.

Teraz Olli potakuje, bardziej rozwlekłe, jego skinienie oznacza więcej niż zwykle „Tak”, raczej coś w stylu „Aha, zaczynam rozumieć, a więc tak się sprawy mają”.

– Świetnie – odzywa się wreszcie. – Umarł król, niech żyje król.

Spoglądam na niego. Pamiętam z naszej poprzedniej dyskusji porównania o sadzawce i działce i tak dalej.

To najnowsze, o królu, jest dość...

– Moja żona nie umiera – prostuję. Nie dodaję, że zamiast tego zadbała, żebym to ja umarł.

– Pewnie, że nie.

– Olli, czy kiedykolwiek miałeś inną?

– Ty już masz?

Jego pytanie kompletnie mnie zaskakuje. Zastanawiam się. Na to może paść tylko jedna odpowiedź.

– Nie.

– Nie rozumiem.

– Nie mam żadnej. Mówię czysto teoretycznie. W tym wypadku może wchodzić w grę co najwyżej zauroczenie.

– W takim razie... – Olli przypomniał sobie chyba o drożdżówce, którą wciąż trzyma. Odgryza wielki kawałek, zalewa go kawą. Mogę sobie tylko wyobrazić, co to za uczucie, gdy ma się w ustach słodką masę zmieszaną z połową kubka

kawy. Czekam, aż dokończy zdanie, ale on tego nie robi. Dostrzega, że mu się przyglądam.

– Co?

– Powiedziałeś, że w takim razie... Zazwyczaj po tych słowach pada jakieś wyjaśnienie.

– Właśnie – zgadza się ze mną. – Zauroczenie. To właściwy kierunek. Ale w gruncie rzeczy nie zwracałbym na to uwagi.

– Dlaczego nie?

Odstawia na stół kubek, na którego brzegach są różowe i jasnobrązowe plamy.

– Kiedy idę do sklepu, zakochuję się – mówi. – Kiedy prowadzę samochód, zakochuję się. Kiedy oglądam telewizję, zakochuję się. Kiedy spaceruję po rynku, zakochuję się. Zakochuję się tysiąc razy dziennie. A wieczorem nie pamiętam już ani jednego obiektu moich zauroczeń.

– Ludzie są różni – zauważam.

– Możliwe, ale w tym przypadku najważniejsze, że udaje ci się jakoś przeboleć to, że jakiś facet wierci twoją żonę.

– Wolałbym nie myśleć o tym w kategoriach wiercenia.

– Ale to właśnie tyle. Drażnienie, świdrowanie...

– Już dobrze – zgadzam się dla świętego spokoju. Chyba wolę nie słyszeć nic więcej.

Stoję na tarasie, słońce pali mi skórę. Coś chcę powiedzieć, nagle przypomina mi się co, myśl umiejscawia się w głowie, pytanie – moim zdaniem bardzo ważne – formułuje się, ale nie zdążę wypowiedzieć niczego na głos, bo nagle pojawia się Suvi. Jest tak wysoka, że okulary słoneczne, które założyła na głowę, muskają górną framugę i musi się pochylić.

W jednej ręce trzyma stertę papierów i unosi je w moim kierunku. Skinienie głowy, ruch wyciągniętej dłoni, giętkość

szczupłej sylwetki: wszystko to jak performance trwający moment.

– Możesz na to spojrzeć teraz? – pyta.

Proszę, by usiadła po drugiej stronie biurka, zamykam drzwi od gabinetu i zastanawiam się równocześnie, na ile to normalne, że wszyscy przychodzą do pracy tak wcześnie. To wcale nie jest normalne, absolutnie. Suvi poprawia się w fotelu, zakłada nogę na nogę. Lewe udo lśni, pośrodku czerni się siniak, niebieskofioletowy na brzegach, w środku prawie smolisty.

Papiery trzyma w ręce.

Ciemne włosy upięła w kok, twarz ma jak zwykle poważną, wąską, oczy niebieskie, a spojrzenie właśnie tak uważne i neutralne, do jakiego przywykłem. Suvi ma na sobie niebieskozielonkawą letnią sukienkę i białe sandały i właściwie po raz pierwszy wygląda bardzo młodo, na dokładnie tyle lat, ile ma: dwadzieścia siedem. Biorąc pod uwagę stosunek ceny do jakości, Suvi jest moim najlepszym nabytkiem w całej karierze firmy: w zeszłym roku dzięki jej inicjatywie i innowacyjności zaoszczędziliśmy sumę opiewającą na jej roczne wynagrodzenie, kiedy wzięła na siebie wyliczenie płac dla pracowników zwołanych naprędce na nadprogramowe zbiory smardzów.

Jeżeli ktokolwiek zasłużył na podwyżkę, to właśnie ona, myślę. A nawet więcej – jeśli prawdą jest to, co wiem o jej przeszłości, to Suvi może mieć nam do zaoferowania więcej niż tylko dokładność. Już teraz ma doświadczenie, które nie każdy może zebrać przez całe życie – albo i całe umieranie...

jakkolwiek na to patrzeć. W moim umyśle te dwie sfery coraz częściej przenikają się i przeplatają: zamieszkuje dwa światy i przychodzi mi to wyjątkowo naturalnie.

Suvi przywraca mnie na ziemię – wręcza mi papiery. Gestem nakazuje jej, by się wstrzymała. Chowa kartki w objęciach i patrzy na mnie z taką samą koncentracją jak zawsze.

– Jedna chwila – mówię. – Zanim do tego przejdziemy. Chciałbym pomówić z tobą o pewnej sprawie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Nie odpowiada.

– Przyjmuję milczenie za znak zgody. Mów od razu, jeśli tylko posunę się za daleko. To sprawa natury osobistej. I chciałbym podkreślić dobrowolność. Możesz odejść, kiedy tylko zechcesz.

– Wersja długa czy krótka? – Suvi zmienia pozycję, prawa noga wędruje na lewą, na tym udzie nie ma siniaka.

– Przepraszam – rzucam. – Jeśli jakoś...

– Moja przeszłość – przerywa mi. – Zawsze wychodzi na jaw, prędzej czy później.

– Chcesz o tym porozmawiać? – pytam i od razu zdaję sobie sprawę, jak nienaturalnie i głupio to zabrzmiało.

– Nie... Ale mogę. – Odkłada papiery pomiędzy udo a podłokietnik fotela i krzyżuje ręce na piersi. – Esa był obiecującym rajdowcem, w klasie juniorów trafił nawet do krajowej czołówki. Był energiczny i fajny. Jak zaczęliśmy się spotykać, ja miałam piętnaście lat, a on szesnaście. Jeździł szybko, codziennie wieczorem urządzaliśmy sobie rundki na zwirowych drogach. Takie tempo robiło wrażenie, zwłaszcza że żadne z nas nie osiągnęło jeszcze wieku, w którym ma się

prawo jazdy. W tamtym czasie Esa ścigał się coraz częściej. I nauczył się pić. Właściwie już wtedy zrozumiałam, że ma większą miłość ode mnie: piwo. Piwo i rajdy samochodowe to trudne połączenie. Na początku oczywiście nikt niczego nie zauważał. Esa jeździł na kacu, rzygał pomiędzy kolejnymi etapami, a potem wskakiwał za kierownicę i pędził jak diabeł wcielony. I pił jak szewc, a właściwie jak cała zgraja szewców, co wieczór. Kochał ten swój browar. Duża zgrzewka dziennie to było tyle co nic, gasił nią pragnienie. Zaszłam w ciążę. Czasami się śmialiśmy, że brzuchy nam rosną w równym tempie. Ale tak naprawdę niezbyt mi było do śmiechu. Esa z nalaną twarzą wywijał tą swoją kierownicą, a potem urodziło się nam pierwsze dziecko. Esa to uczył, wjeżdżając po raz pierwszy w życiu w drzewo. Wzięliśmy ślub, kiedy przez trzy dni był trzeźwy. Wtedy mi się wydawało, że to cała wieczność. Poza tym przez cały czas jeździł. Jak wpadał do domu, gębę miał coraz bardziej nalaną i coraz bardziej czerwoną, kombinezon rajdowy tak go uciskał na brzuchu, że musiałam mu go zapinać, kiedy on przytrzymywał go z obu stron. A potem zaczął pić także podczas jazdy. Jego pilotem rajdowym był taki jeden lekoman, który oczywiście nikomu nie mógł niczego powiedzieć, bo przecież sam wcinał diazepam jak dropsy. Bóg jeden wie, jak im się udawało wygrywać zawody. Żartowali sobie, że mają śniadanie mistrzów: browarek plus diazepamek. Byłam wtedy w drugiej ciąży. A oni zbudowali w samochodzie dla Esy sekretny kontener na dziesięć litrów piwa i zainstalowali do tego chłodnicę. Żeby mieć zimny browar podczas jazdy po górskich drogach południowej Francji. Dla pilota wywiercili w drzwiach dziurkę wielkości tabletki ze sprężyną na dnie

i z tej dziury wyskakiwał nowy diazepam, kiedy pilot skończył ssać poprzedni. Pokazywali mi to na rysunkach. W upalny dzień podczas zawodów Esa był w stanie opróżnić cały zbiornik. Potem trzeba go było wyciągać z samochodu, bo nie mógł ustać na nogach. Przenosili go do hotelu, a rano wracał za kierownicę. Twarz miał tak spuchniętą i czerwoną, że wyglądał jak sygnalizacja świetlna. Nie mam pojęcia, jak cokolwiek widział, skoro ja ledwo widziałam, gdzie ma oczy. A potem brał udział w jakichś mistrzostwach Europy niższej klasy. Zwycięstwo oznaczałoby awans do klasy prawdziwych mistrzostw świata, wielką umowę, a dla naszej rodziny wreszcie własny dom. Ostatnie zawody. Esa i pilot postanowili pójść na pewniaka: podwoili objętość i kontenera na piwo, i skrytki na diazepam. Przez pierwsze cztery etapy wszystko szło fantastycznie, byli na prowadzeniu. I wtedy uderzyło im do głowy, postanowili wypróbować nawzajem zawartość swoich schowków. Na piątym etapie Esa zajadał się psychotropami, aż opróżnił skrytkę, a pilot dopił resztki piwa, których Esa nie zdążył. Efekt był taki, że na szóstym etapie samochód im siadł na prostej pośrodku puszczy. Znaleźli ich ludzie z furgonetki towarzyszącej rajdowi. Esa chrapał jak dobrze najebany mors, a obok siedział w mokrych gaciach jego pilot. Umowy oczywiście nie dostali i Esę odesłano do domu. Rajdy się skończyły. I frajda. Esa próbował potem wszystkiego, w końcu zajął się malowaniem samochodów. Do tego się używa rozpuszczalników w sporych ilościach. Nigdy niczego nie wahał. Ale że był krótkowidzem, do tego przez cały czas był pijany, więc jak malował, to niemal z nosem przyklejonym do karoserii. Pewnego dnia po prostu się

przewrócił i umarł. Ludzie gadają, że wachał, ale co oni wiedzą. Po prostu umarł.

Opowieść dobiegła końca, rozumiem, ale czegoś tu brakuje, jestem tego pewien. Nie wiem czego. I nie mogę okazać współczucia lub zainteresowania w takiej mierze, jak bym chciał; z siłą morskiej fali zalewa mnie osłabienie.

Tym razem nie widzę znajomych błyskawic, ale odczuwam specyficzne przerwy w transmisji: odbiornik ciemnieje, pocharkuje przy starcie, przez moment jest niezbyt sprawny, kolory rozbryzgują się, każdy kolejny pochłania poprzednie, pozostawiając tylko jaskrawe smugi. Skręca mnie w żołądku, tłucze w piersi, zginam się w pół i uderzam czołem o stół. Serce na chwilę przestaje bić, a potem boleśnie eksploduje kaskadą uderzeń, jakby było wypełnione po brzegi i przelała się ostatnia kropla. Nie mam pojęcia, jak długo trwa to wszystko. Kiedy znów powraca mi wzrok, rozprostowuję plecy i patrzę przed siebie – Suvi wciąż przede mną siedzi.

– Spokojnie – zapewniam ją. – To nie ma nic wspólnego z tobą ani z twoją historią.

– Jesteś chory? – pyta.

– Nie – odpowiadam, bo czuję się zdrowy.

Jakkolwiek paradoksalnie to brzmi, ani na moment nie przeszło mi przez myśl, że jestem chory. Ja tylko umieram.

– To takie... Spójrzmy na te dokumenty. – Suvi wręcza mi papiery. Pokwitowania, rachunki, zamówienia.

Przełądam je pospiesznie, stawiam parafkę za parafką. Nagle widzę coś dziwnego.

Wiążąca rezerwacja, opłacona z góry. Sześć pokoi. Miejsce: Seurahuone w Haminie.

Kieruję wzrok na dni rezerwacji. Podnoszę głowę, sprawdzam w prawym górnym rogu ekranu komputera, jaka jest dzisiejsza data, potem pytam o nią dodatkowo Suvi. Ona i komputer mówią to samo. Pytam jeszcze o dzień tygodnia, na wszelki wypadek.

– Czwartek – mówi. – Rok dwa tysiące szesnasty.

– Dzięki, Suvi.

Na dwustronicowym pokwitowaniu nie widać, kto zrobił rezerwację, znajduję tylko nazwę naszej firmy i jej numer telefonu, który jest moim numerem komórkowym. To niejedyna rzecz, która mnie mrozi. Rezerwacja została zrobiona na najbliższy weekend. Jutro jest piątek. Sześć pokoi, począwszy od jutra. Na dokumencie nie ma nazwisk gości, dla których zamówiono noclegi.

– To ty zrobiłaś tę rezerwację? – pytam, wskazując kartkę.

Suvi kręci głową.

– Znalazłam ją dziś rano.

– Jak to?

Patrzy na mnie.

– No, pracuję od samego rana.

– Rozumiem. Interesuje mnie, skąd się wzięła na twoim biurku.

– Nie wzięła się, to właśnie chciałam powiedzieć. Znalazłam ją w naszej skrzynce mailowej, tej, której już nikt nie sprawdza... wiesz, nazwafirmy-mała-nazwafirmy. Ktoś go podał jako adres kontaktowy, zobacz zresztą w rezerwacji na drugiej stronie. Chcesz, żebym sprawdziła...

Powstrzymuję ją ponownie ruchem ręki, patrzę na drugą stronę rezerwacji.

Kolejne zagadki.

Rezerwacja nie dotyczy wyłącznie pokoi hotelowych, również stołów w restauracji, w sumie osiem osób na dwie kolacje, w sobotę i niedzielę. Równocześnie dostrzegam w głowie powiązania, których szukałem. Teraz, gdy wygląda na to, że je odnajduję, ogarnia mnie poczucie rozczarowania i strach. W okamgnieniu łączą się i miksują, by stworzyć mieszaninę czystej miłości.

– Nie trzeba. Możesz o tym zapomnieć. Sam się tym zajmę.

Pozostałe dokumenty to czysta rutyna. Przeglądam całą resztę, oddaję Suvi stertę. Dziękuję. Suvi wstaje. Jest poważną młodą osobą i nic w tym dziwnego. Jej opowieść to przedziwna historia o przetrwaniu. Twierdzę, że dziś rozumiem ją lepiej niż jakiś, powiedzmy, tydzień temu. Twierdzę nawet, że odrobinę rozumiem, przez co musiała przejść.

– Suvi – mówię jeszcze.

– Tak? – Odwraca się od drzwi.

– To co powiedziałaś...

– To była krótka wersja.

– Nie o to mi chodzi – mówię. – Dziękuję ci za zaufanie. I w związku z tym... nie mów nikomu o tej rezerwacji.

Jej twarz jest szczerą, podobnie jak niebieskie oczy.

– Jesteś pierwszą osobą, która po wysłuchaniu mojej historii nie pyta, co czułam albo co czuję teraz. Dziękuję. Co do rezerwacji, nigdy jej nie widziałam.

Hotel był dopiero co remontowany. Można by powiedzieć, że dłużej nie dało się tego odkładać. Imponująca kamienica pochodzi z końca dziewiętnastego wieku. Recepcja, do której

wchodzi się po stylowych szerokich schodach, znajduje się na piętrze. Na tym samym piętrze jest też restauracja. Światło wlewa się przez wysokie okna niczym w kościele. Kościół mogą przywodzić na myśl również panująca wewnątrz cisza i kamienna podłoga, która sprawia na mnie wrażenie, że liczy wszystkie moje kroki.

Na schodach dostaję zadyszki. Jeszcze rano byłem jak młody bóg albo przynajmniej bóg niezbyt stary. Mam nadzieję, że sytuacja pogorszyła się chwilowo, jak było to do tej pory.

W recepcji nie ma nikogo. Czas śniadania minął; wewnątrz restauracji też jest puste i uprzątnięte. Szukam na biurku dzwonnka albo innego gadżetu, którym mógłbym zwrócić na siebie uwagę. Niczego takiego nie dostrzegam. Nie przychodzi mi na myśl nic innego niż zawołanie w przestrzeń „Dzień dobry!”. Moje słowa budzą nieoczekiwaną reakcję. Spod stołu wyskakuje mężczyzna z ciemnoczerwoną twarzą przepełnioną rozpaczą.

– Dzień dobry – mówi. – Drukarka. Szwankuje. Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

Przygotowuję papiery i kładę je przed nim na blacie. Ogląda obie po kolei, kładzie jedną na drugiej, wyrównuje i przesuwa w moją stronę.

Ma tyle lat co ja i podobną posturę, patrzymy na siebie z tego samego poziomu z dokładnością niemal do milimetra. Na jego czole pojawiają głębokie zmarszczki zestresowanego mężczyzny, a w szarych oczach maluje się zgnębienie. Najwyższy guzik różowej koszuli jest zapięty, a sama koszula wydaje się tak naprężona, jakby kwestią czasu pozostawało to, co pęknie pierwsze: on czy jego ubranie. Identyfikator

z imieniem jest solidnie przyczepiony do koszuli na wysokości klatki piersiowej; wydaje mi się całkiem prawdopodobne, że agrafka przekłuwa go pod skórą. Mężczyzna o imieniu Ilari nie sprawia wrażenia przesadnie beztróskiego.

– Wygląda na to, że rezerwacja jest bez zarzutu – odzywa się ostrożnie.

– Nie mam podstaw, by przypuszczać, że jest inaczej – odpowiadam.

Drukarka zaczyna szumieć, skrzypieć i grzechotać. Ilari patrzy na coś przed sobą, poza ladą. Ma spuszczonego wzrok. Jego mina świadczy o rozpacz i z trudem powstrzymanej wściekłości. Słyszę, jak urządzenie wypluwa kolejne kartki, a te z szelestem sfruwają na podłogę.

– Nie przestaje – rzuca recepcjonista. – Po prostu nie przestaje.

– Drukarki już takie są – mówię. – To ich natura. Działają, kiedy nie trzeba. A kiedy potrzebny ci wydruk, kończy się tusz, papier się zacina, drukarka twierdzi, że połączenie zostało przerwane albo że nie rozpoznaje twojego komputera. Wydaje mi się, że cała idea technologii cyfrowej i odchodzenie od papieru wzięły się stąd, że drukarki tylu ludzi doprowadziły do szaleństwa i samozniszczenia. Papier jest wygodny i ładny, w papierze jako takim nie ma nic złego, przyjemnie się go trzyma w ręce i najlepiej czyta się z papieru, ale problem w tym, by te małe czarne znaczki przenieść na białą powierzchnię. Za pomocą współczesnych technologii jest to prawie niewykonalne. W gruncie rzeczy wydaje mi się... więcej, jestem o tym przekonany... że

światowi producenci drukarek są w spisku z producentami leków antydepresyjnych i przeciwłękowych.

– Od samego rana – Ilari ma już prawie łzy w oczach – ona po prostu nie...

– Wiem. – Pozwalam nam na wspólną chwilę ciszy. Patrzymy sobie w oczy.

Kiedy jestem już pewien, że zdobyłem nowego przyjaciela, wracam do swojej sprawy.

– Chciałbym tylko sprawdzić parę szczegółów dotyczących tej rezerwacji.

– Oczywiście. – Ilari wyciera kąciaki oczu.

– Widzę tu tylko nazwę naszej firmy, ale nie pada nazwisko człowieka, który robił rezerwację, ani osób, które mają tu nocować.

– Rezerwacja została zrobiona u nas, na miejscu. Dobrze to pamiętam.

– Jestem prezesem firmy. – Otwieram portfel i wręczam mu wizytówkę. – Muszę zaakceptować tę rezerwację.

Ilari z wilgotnymi oczami wystukuje coś na klawiaturze. Drukarka wyrzuca kartki. Po tym, jak mógł podzielić się z kimś swym ciężarem, przestała nim rządzić.

– Tu zostały wypisane nazwiska gości, chociaż na samej rezerwacji nie są widoczne.

Opieram się o ladę, przesuвам odrobinę głowę naprzód. Białe drukowane litery na niebieskim tle.

NORIYUKI KAKUTAMA, MR

KUSUO YUHARA, MR

DAISUKE OKIMASA, MR

MORIAKI TAKETOMO, MR

SHIGEYUKI TSUKEHARA, MR
AKIHIRO HASHIMOTO, MR

Tylko jedno nazwisko nic mi nie mówi, przedostatniego gościa. Pozostałych znam osobiście albo kojarzę.

– I na dwie noce? – pytam.

– Na cztery – prostuje Ilari.

Szybko przeliczam. Przyjazd w piątek, wyjazd we wtorek.

– Dlaczego w rezerwacji są tylko dwie noce?

– To jest pierwsza. Drugą rezerwację zrobiono później, niejako ją uzupełniono.

– I też na miejscu?

Ilari potakuje ze wzrokiem utkwionym we mnie.

– To też pamiętam – mówi. – Mam całą scenę przed oczami. Osoba, która przyszła, powiedziała, że sytuacja uległa diametralnej zmianie, na diametralną korzyść. Używając tych słów, z takim właśnie naciskiem. I ładnie się uśmiechała, bardzo ładnie.

On też się uśmiecha. Oczy ma wciąż wilgotne od łez. Sytuacja jest trochę szalona.

– Chyba muszę teraz zrobić coś niezwykłego i niezbyt formalnego... odrobinę niezwykłego i nieformalnego – uprzedzam go. – Ale jako że łączy nas duch porozumienia...

Wyjmuję z portfela zdjęcia i pokazuję je Ilariemu.

– Mowa o tej pani?

Jego twarz rozjaśnia się w uśmiechu. Po naprężonym policzku spływa pojedyncza łza. Mężczyzna potakuje.

– Powiedziała, że dostarczy do kuchni własne grzyby.

12

Na rynku nastał gnuśny etap pośredni: poranna wrzawa ustała, do wieczornego rozgardiaszu jest jeszcze czas. Słońce, białe i wielkie, nie daje za wygraną. Promienie są odczuwalne na skórze prawie jak szczypanie. Na skraju rynku termometr na ocienionej ścianie marketu pokazuje dwadzieścia osiem stopni.

Siadam w ogródku kawiarnianym, wybieram stolik z brzegu. Na drugim końcu dwóch emerytów w reklamowych czapkach z daszkiem – jaskrawoczerwona ma logo Pirkka, a spłowiła niebieska Evinrude – dyskutuje w miejscowym dialekcie.

Dzia, tty, un, mych, wych, uni. (Ja, ty, on, my, wy, oni).

Un przyszudł tum z wózkim. (On przyszedł tam z wózkim).

Una nicu ni wi. (Ona nic nie wie).

Dzia nigdzi ni idu. (Nigdzie nie pójde).

I tak dalej.

Nie opanowałem tego dialektu. Staje mi kołkiem, wydaje się trudniejszy i powolniejszy niż zwykły język mówiony. Co może budzić wątpliwości. Bo czy dialekty i slangi nie istnieją po to, aby ułatwić komunikację? Żeby przebiegała sprawniej?

Nie mam pojęcia, dlaczego rozmyślałam o czymś takim. Może dlatego, że zastanawianie się nad całą resztą nieuchronnie wywołuje u mnie nerwowość. Albo coś gorszego, co na razie usiłuję powstrzymać.

Kawa niespecjalnie mi smakuje, jakbym raczył się w saunie gorącym sokiem. Cukier na pączku błyszczący, prosiaczek z ciasta sprawia wrażenie, jakby się pocił.

Zostanę zamordowany. Jutro przyjadą Japończycy. Taina zarezerwowała dla nich pokoje hotelowe. Z wszelkim prawdopodobieństwem można założyć, że zadbała także o zaproszenia. I niewątpliwie to ona będzie gospodarzem całej wizyty. Sam się dziwię, co z tego wszystkiego obraża mnie najbardziej, boli najdotkliwiej, uderza w najczulszy punkt.

Zostałem całkowicie pominięty, odstawiony na boczny tor. Nikt mnie o nic nie pytał.

Co z tego, że ktoś zatruwa moje jedzenie, próbuje mnie przebić samurajskim mieczem albo moczy swe pióro w mojej żonie? To tutaj jest czymś poważniejszym, a przede wszystkim – czymś bardziej osobistym. Jednocześnie rozumiem oczywiście, że przejawiam teraz tę samą próżność, która każe mi w towarzystwie kobiet wciągać brzuch. Można by pomyśleć, że umierający mężczyzna ma inne problemy. A jednak moje słabości umrą w tej samej chwili co i ja. Do tego czasu mogę się nimi napawać. Aż do ostatka, jak to mówią.

Z najwyższym trudem udaje mi się skierować myśli na nieco rozleglejszą perspektywę. Musi być jakiś ważny powód wizyty Japończyków. Cel numer jeden to oczywiście grzyby. Ale oprócz nich?

Mógłbym sobie wyobrazić, że chodzi o te wszystkie napomknienia i aluzje, których treść można zawrzeć w uwagach, że nie jestem wystarczająco dynamiczny, wystarczająco śmiały i nowoczesny, wystarczająco odważny. Ostatnimi czasy słyszałem to wprost i między wierszami od niemal wszystkich ludzi, z którymi miałem do czynienia. Przez chwilę dziwi mnie termin. Dlaczego Japończycy przylatują właśnie teraz? I nagle mnie olśniewa.

Żyję.

Według czyichś obliczeń powinienem już być martwy.

Tyle wystarczy – cofnąć swoją śmierć w czasie choćby do zeszłego tygodnia – i sytuacja zaczyna mi się rysować w nowym świetle. Umarłem i firma stała się własnością mojej żony. Przybywają Japończycy. Taina negocjuje z nimi nowe warunki umowy – to oczywiste – ale trudno uwierzyć, że sześciuosobowa świta podróżuje z Tokio do Haminy tylko w pogoni za czymś takim. Przylatują, bo spodziewają się zobaczyć coś naprawdę nowego.

Analizuję wszystkie dyskusje, które w ostatnim czasie odbyłem, pod kątem: kto czego chce, kto co planuje. Co nowego mogą zaoferować... i to Japończykom?

Nie widzę tu żadnych przełomów. Jakieś drobnostki typu biodegradowalne pudełka Raima albo samochód dostawczy Petriego, ale żadnej rewolucji. Ale może to nie musi być nic większego?

Firma i młody kochanek. Tu już jest coś... chyba.

Dwadzieścia cztery tysiące pudełek z odnawialnego materiału w dowolnie wybranych kolorach lub odcieniach?

Samochód dostawczy z porządnym systemem nagłośnienia?

Nie.

Nie.

Nie.

To nic takiego, dla czego Noriyuki Kakutama albo Kusuo Yuhara mieliby przylatywać aż tutaj, żeby to ujrzeć na własne oczy lub usłyszeć albo poczuć, albo...

...posmakować.

Patrzę na prosiaka; sprawia wrażenie, jakby się do mnie uśmiechał. Jakby właśnie wyszeptał mi tajemnicę i cieszył się z tego, że i ja teraz rozumiem. Śmieję się w głos i zerkam na bok. Emeryci zawiesili na mnie wzrok.

– Pączek swoje wie! – mówię do nich z uśmiechem.

Mężczyźni po chwili wahania przytakują mi uprzejmie i wracają do rozmowy. Jeden z nich jeszcze na mnie zerka, może chce się upewnić, że nie jestem niebezpieczny. Odgryzam kęs. Pączek jest gorący i chrupiący, prosto z pieca.

Wtedy dostrzegam Raima.

Bardzo mi trudno zrozumieć jego sposób ubierania się. Nie mam na myśli stylu, lecz piętrowość, długie rękawy, upodobanie do grubych materiałów. W słońcu temperatura dochodzi z pewnością do czterdziestu stopni, ale Raimo jest ubrany tak samo jak w listopadzie. Moja koszula z kołnierzykiem i krótkimi rękawami jest mokra na plecach i pod pachami, pod kieszonką na piersi, w której ukryłem kartkę z rezerwacją, przykleiła się do ciała. Ale Raimo pozostaje wierny swojej marynarce, czarnym spodniom i wąsom; zmierza do mnie zdecydowanie, aż telepią się klapy marynarki, wygląda jak trener hokeja, który wparował na

boisko. Na otwartej przestrzeni Raimo nie jest w stanie trzaskać drzwiami ani testować trwałości framug, ale jego sposób poruszania się podlega na poziomie ogólnym tym samym podstawowym zasadom. Gdyby brukowana powierzchnia miała głos, stękałaby pod jego krokami.

– Rozmawiałem z Suvi – mówi. – Powiedziała, że pojechałeś do miasta. Jakoś odgadłem, że wpadłeś na pączka. Pomyślałem, że zatrzymam się po drodze... Można się przysiąc?

Metalowy taborecik wydaje z siebie pisk, nogi stołka z bólem uderzają o kamień podłoża.

– Chcesz coś? – Wskazuję ręką witrynę kawiarni.

– Oni tu mają wszystko z Reitkalli.

– No i?

– Ja jem hamińskie.

– Do Reitkalli są trzy kilometry.

– Osiem i pół.

– I Reitkalli należy teraz do Haminy – dodaję.

– Nigdy nie zaakceptuję anektowania gmin.

– A gdybym ja ci kupił?

Raimo wzdycha. Naprawdę wygląda tak, jakby szedł dla mnie na potężne ustępstwo.

– Żółtą jaffę.

Kupuję napój i wracam. Zanim udaje mi się usiąść, Raimo wlewa w siebie połowę butelki.

– Ale, cholera, gorąco – narzeka.

Spoglądam na jego ubranie. Nic nie mówię. Nie zamieszam ugrząść w dyskusji na temat letnich ciuchów. Znając Raima, pograżylibyśmy się w debacie, którą on musiałby koniecznie wygrać. A ja powinienem na wszelkie sposoby oszczędzać

siły. Muszę dokładnie wybrać swą walkę, teraz rozumiem to bardziej niż wcześniej.

– Już lepiej. – Raimo kiwa głową, beka, nadymając policzki i wypuszczając spod wąsów powietrze o feterze starej pomarańczy, i wyciera pot z czoła. – Musimy porozmawiać. Chciałem o tym pogadać teraz, ale po drodze dostałem telefon i powinienem ruszyć... Muszę jechać... Ta moja sprawa jest na tyle długa, że teraz nijak nie zdążę ci tego wyjaśnić. Ale mam propozycję: wpadnij do nas wieczorem na Pitäjänsaari. Powiedzmy, o siódmej. Zrobimy zebranie w saunie.

– Zebranie w saunie?

Patrzy na mnie zdumiony.

– A gdzie indziej rozmawia się na ważne tematy?

Nie mogę teraz powiedzieć, że nie wytrzymam w saunie ani chwili. I bez tego wciąż omal nie tracę przytomności; brakuje tylko, żebym siedział w zamkniętym pomieszczeniu w temperaturze dziewięćdziesięciu stopni i jeszcze chłostał się witką. Ale tu może się kryć możliwość dla czegoś innego, ważniejszego.

– O siódmej?

– Nikt nam nie będzie przeszkadzać. Hanna-Mari wyjeżdża z córkami do Kotki.

Raimo wysiorbuje zawartość butelki do dna. Zastanawiam się, ile nadprogramowego odwodnienia powoduje sama tylko marynarka. W taką pogodę jak dziś gdzieś około wiadra, przypuszczam. Raimo podnosi się.

– Widzimy się w saunie – rzuca na pożegnanie.

Idzie do samochodu z rozmachem godnym lepszej sprawy. Nikt nie ginie pod jego stopami. Przyglądam się, jak cofa samochód i skręca. Ocieram kąciki ust, zauważam, że emerycy

zniknęli. Ruszam do swojego samochodu, który wciąż stoi zaparkowany przed Seurahuone. Idę przez zatłoczony róg rynku od strony południowo-wschodniej.

Tłumnie jest tu głównie za sprawą monopolowego. Podczas letnich urlopów cała Finlandia pije. W jeden lipcowy dzień automatyczne drzwi wykonują tyle samo pracy co w sumie przez cały styczeń.

Przechodzę przez pasy zgodnie z zasadami: patrzę najpierw na lewo, potem na prawo i znów na lewo. To ostatnie zerknięcie sprawia, że serce mi skacze, a nogi się uginają. Na widok Juhany rozumiem natychmiast, że mamy wspólny kierunek i poruszamy się w tym samym tempie.

W jego przypadku nie można się pomylić co do osoby. Jest jak płótno ze znanego powiedzenia; nienaturalnie bladą cerę podkreśla jeszcze błyszcząca czerń półdługich włosów. Ma na sobie białe tenisówki, czarne dżinsowe rurki i biały T-shirt. Przypomina angielskiego muzyka z poprzednich dziesięcioleci, ale zakładam, że na wyglądzie wszelkie podobieństwa się kończą. Pamiętam, co Sanni powiedziała na temat swojego byłego chłopaka.

Jakby każde uderzenie zamiast w piłkę trafiło w głowę.

Nie zapomniałem spotkania z jego partnerem biznesowym wymachującym mieczem. Skręcam za róg i kieruję się w stronę ratusza. Po chwili Juhana pojawia się za mną. Na szczęście porusza się ostrożnie, zachowując odległość, i jego zachowanie – przynajmniej na razie – nie wydaje się groźne. Ale jednak wciąż za mną idzie. Przeliczam ulice, kwartały, odległość dzielącą mnie od samochodu. Biorę do ręki

kluczyki, zastanawiam się, czy mam siły biec, i znam odpowiedź. Już teraz idę tak szybko, na ile pozwalają mi nogi i płuca.

Juhana dogania mnie. Nie można tego traktować jako rzeczy zrozumiałej samej przez się. Bo nie wyglądam na jedyną osobę, która zdaje się cierpieć na jakieś fizjologiczne spowolnienie. Juhana utyka na prawą nogę. Robię, co w mej mocy, by przyspieszyć. Moja koszulka jest przemoczona do suchej nitki, dyszę. Posuwanie się w takim żarze to ciężka praca. Zerkam przez ramię.

Jest już tak blisko, że widzę grymas jego twarzy. Wydaje się bardziej cierpiący niż żaden krwi. Skręcam po raz ostatni, otwieram już samochód przyciskiem na kluczyku, błyskają światła.

Juhana depcze mi po piętach. Jego biała twarz błyszczy. Upał wydaje się dla nas obu równie bolesny. Docieram do samochodu, jest zaparkowany przed hotelową restauracją Kompassiravintola.

W ogródku piwnym ludzie piją piwo, dobrze się bawią; część ukryła się pod parasolami, część siedzi w słońcu.

Oni mają lato. Oni nie umierają.

Otwieram drzwi i wsiadam. W czasie kiedy załatwiałem swe sprawy, najpierw wędząc w Seurahuone, a potem podczas pączkowych medytacji na rynku, po obu stronach mojego auta zaparkowały samochody.

Juhana puka w szybę i pochyla się, by zajrzeć do środka. Nigdzie się stąd nie wydostanę, a przynajmniej niezbyt szybko. Twarz ma bladą i udręczoną. Nagle dociera do mnie, że jest to przede wszystkim twarz pełna wątpliwości. Patrząc w lusterko wsteczne.

Subaru za mną siedzi mi prawie na tyłku. Z kolei tył czerwonej furgonetki dotyka mojego przedniego zderzaka. Nie przypominam sobie podobnej kumulacji w ciągu całego mojego trzyipółletniego życia spędzonego w Haminie. Akrobacje kierownicą zajmą mi pół dnia. Daję za wygraną. Wkładam kluczyki do stacyjki, samochód budzi się do życia. Nie uruchamiam silnika. Opuszczam szybę, modląc się w duchu.

Wzrok Juhany śledzi opadającą szybę. Jego oczy zatrzymują się na chwilę na krawędzi drzwi, w rowku, w którym zniknęła. Juhana podnosi głowę. Oblizuje wargi; oczy są niebieskie, lewe nieco zezuje, patrzy na taras znajdujący się za mną.

– Szukam Juhaniego. – Głos ma cienki, drżący, albo ze zmęczenia, albo po prostu z nerwów. Mam nadzieję, że to pierwsze.

– Nie ma go tutaj – mówię. – Jak widzisz.

Jego spojrzenie błądzi po wnętrzu samochodu. Naprawdę uważa, że byłbym w stanie ukryć w skodzie agresywnego kulturystę? Kładzie rękę na dolnej krawędzi otworu okiennego drzwi. Już samo to, że opuszki jego palców są we wnętrzu mojego auta, jest nieprzyjemne, zakrawa na naruszenie przestrzeni osobistej.

– Powiedział, że idzie się z tobą zobaczyć.

– Ze mną? Ale dlaczego?

– Bo coś powiedziałaś, kiedy do ciebie przyjechaliśmy, i coś z tym mieczem.

– I to wszystko?

Juhana chyba nie usłyszał mojego pytania. W dalszym ciągu opiera się o drzwi; jego białe ramiona są wąskie, ale

bardziej żyłaste, niż wcześniej sądziłem. Pospiesznie układam sobie w głowie wszystko, co wydarzyło się z Juhanim. Wszystko to dlatego, że być może go uraziłem? Potem rozumiem, że miecz był kroplą, która przelała czarę goryczy. Miecz, którego dotknąłem, kiedy byłem w ich firmie. Miecz, którym zamierzał mnie przeciąć jak grzyba. Mam nadzieję, że Juhani jest teraz zadowolony: już nigdy nikt nie przyjdzie, by dotknąć jego miecza, należy tylko i wyłącznie do niego.

– To mój najlepszy przyjaciel – dodaje Juhana.

Nie odpowiadam od razu. Przypomina mi się, nad czym zastanawiał się Asko na pokładzie statku restauracyjnego.

– Asko uważa, że Juhani może być w Sankt Petersburgu – mówię.

– Asko?

Niebieskie oczy kierują się na moje. Spojrzenie jest pewnie tak precyzyjne, jak to tylko możliwe. Mimo to lewe oko co rusz ucieka w stronę tarasu.

– Znam waszego szefa – rzucam. – Zakładam, że to wasz szef. Przyszedł się ze mną spotkać.

Juhana znów oblizuje wargi. Są chyba trochę spierzchnięte.

– Asko nie zna Juhaniego. Juhani powiedziałby mi, gdyby się wybierał do Sankt Petersburga. Mnie mówił, że idzie cię zabić.

Nie chcę, żeby więcej się odzywał. Niebezpiecznie szybko zbliża się do zadawania logicznych pytań uściślających.

– Bardzo się spieszę – mówię. – Jeśli pozwolisz...

– Dlaczego uciekałeś, kiedy mnie przed chwilą zobaczyłeś?

Być może Juhana nie jest aż tak poobijany kijem baseballowym, jak sądziłem. Ale zapewne odrobina miodu

również w tej sytuacji jest najlepszą obroną.

– Twój widok budzi grozę – odpowiadam. – Masz w sobie taką... charyzmę.

Sprawia wrażenie, jakby zastanawiał się nad moimi słowami. Uśmiecha się nieco – po raz pierwszy na moich oczach. Uśmiech ma podobny defekt jak jego spojrzenie. Kąciki ust unoszą się wyłącznie po prawej stronie, co jeszcze bardziej podkreśla grymas jego twarzy.

– Zachowaj to sobie w pamięci – radzi mi z wyraźnym zadowoleniem.

Nie zamierzam pytać, co konkretnie ma na myśli. Tylko kiwam głową.

– Absolutnie.

– Jak się dowiem, że wiesz coś o Juhanim i mi nie mówisz, to ci...

– Nie wątpię. – Naciskam przycisk, by zamknąć okno.

Juhana reaguje na unoszenie się szyby, podnosi ręce z drzwi.

– Jesteś pod obserwacją, pamiętaj.

– W żadnym wypadku o tym nie zapomnę – odpowiadam.

Wciąż się pochyla. Pomiędzy nami jest teraz szyba. Od razu zaczynam oddychać swobodniej. Uruchamiam silnik, zaczynam cofać, obracam kierownicą. Myślę, że to jak szkoła jazdy rodem z piekła: ćwicz teraz, człowieku, parkowanie w kopercie pod okiem żadnego zemsty instruktora. Jakoś udaje mi się wyprowadzić przód auta na ulicę; obawiam się, że opony samochodu zmiażdżą Juhanie palce u nóg – jest tak blisko. Nie dochodzi do tego jednak. Kiedy skręcam w lewo, stoi na środku ulicy.

Nadeszła pora lunchu, ale Hamina nie ma w zwyczaju chadzać na lunch. Tutejsi jeżdżą coś zjeść do domu albo żywią się w miejscu pracy własnym prowiantem. Godzina lunchu w centrum Helsinek, jeśli porównać ją z tym, co teraz oglądam, przypomina oszalały karnawał.

Niespieszący się rowerzysta, kilka samochodów, ktoś przechodzi przez jezdnię, podpierając się balkonikiem. Pizzeria jest czynna, ale w środku nie widać ani jednego klienta. Wielkie parkowe wiązy stoją nieruchome, przypominają ogromne ciemnozielone brokuły. Przy kiosku z lodami nie ma kolejki, sprzedawczyni przed budką od strony parku ma przymknięte oczy i twarz uniesioną ku niebu. Cennik spłowił na słońcu, zdjęcia lodów są wyblakłe, bananowe wyglądają jak waniliowe.

Przypomina mi się piosenka, w której główna bohaterka, pani domu na przedmieściach, w pewien słoneczny poranek uprzytamnia sobie, że nigdy nie będzie jechać sportowym autem przez Paryż, z włosami powiewającymi w ciepłym wietrze. Myślę, że wiem, co czuje ta kobieta. Nie chodzi mi o to, że muszę być w wielkim mieście czy siedzieć za kierownicą sportowego auta. Nie mam też wystarczającej ilości włosów ani w sensie objętości, ani długości, żeby powiewały, choć niewykluczone, że przy wystarczającej prędkości mogłyby zmienić nieco pozycję. Nie sądzę zresztą, że nawet główna bohaterka tego kawałka koniecznie chce konkretnie tego: Europy, szybkiego wozu, bujnej fryzury. To co pojęła, można chyba w głównym zarysie określić jako: życie minęło, marzenia pozostały marzeniami, nie spełnią się, jest to, co tu i teraz, a i tego nie ma nieskończenie wiele.

Przypomina mi się coś jeszcze, refleksja autorstwa jakiegoś filozofa. Chodziło mniej więcej o to, że zamartwianie się własną nadchodzącą śmiercią i perspektywą bycia nieżywym jest równie bezsensowne co zamartwianie się czasem sprzed swoich narodzin. Ta teoria ma oczywiście pewne słabe punkty. Jeden z jej słabych punktów jest taki, że przed moim narodzeniem nie mogłem mieć doświadczenia przeżywania życia, a z kolei w świetle nadchodzącej wieczności już czymś takim dysponuję, i właśnie dlatego rezygnacja z zamartwiania się nie jest taka prosta. Niesamowicie trudno znaleźć dla życia jakikolwiek adekwatny punkt odniesienia.

Drugi słaby punkt ma związek z czasem przed narodzinami: po prostu niczego już nie pamiętam. Podejrzewam, że to samo nadejdzie później: brak przytomności, brak pamięci, w zwielokrotnieniu. *Same old, same old*, jak to mówią. Niespecjalnie mnie to rajcuje. Bardzo możliwe, że to krótkie życie jest jedynym, kiedy mogę iść przed siebie z otwartymi oczami, zaciągać się letnim powietrzem wpadającym przez okno, które znów otworzyłem.

Myśli mi się kłębią i nie próbuję z tym walczyć.

Bo niby jak bardzo rozsądny muszę w ogóle być?

Przede mną miliony lat śpiączki, za mną miliardy. I w żaden sposób nie mogę wiedzieć nawet tego, kiedy mój kolejny okres śpiączki się zakończy: czy wtedy, gdy życie na Ziemi dobiegnie końca, lada chwila, albo dopiero ciut później, czy też gwizdek wieńczący komę wybrzmi dopiero w momencie, gdy nastąpi eksplozja i świat skurczy się do rozmiarów główki szpilki. A kiedy wykopią następny wszechświat na linię startu, to czy moja śpiączka znów się

rozpocznie i czy znów będę czekać miliardy lat, nim mnie obudzą do życia, i tak dalej, i tak dalej, *ad infinitum*.

Jeśli mam być uczciwy wobec siebie, muszę przyznać, że wszechświat bez wieczności albo i wraz z nią, wszystko jedno, zaczyna mi się wydawać ponad siły stresującym i wykańczającym miejscem, jeśli zacznie się o nim myśleć odrobinę dokładniej. Jest jak miejsce pracy, które człowiek ma ochotę rzucić, ale brakuje mu odwagi, bo o nową pracę może być tak bardzo trudno.

Jestem rozchwiany, rozczarowany i rozdygotany. Nie myślałem wcześniej o takich sprawach. Ale kto nie wolałby rozmyślać o wszechświecie i wieczności zamiast o tym, że żona i współpracowniczka zaprosiła partnerów z Japonii na spotkanie biznesowe, nie mówiąc o tym ani słowa mężowi i głównemu właścicielowi firmy... a najpierw go zamordowała?

13

Po stronie hali wszystko wygląda tak, jak powinno.

Olli był skrupulatny: maszyny błyszczą, czyste i gotowe do startu, w chłodniach szumi powietrze o idealnej temperaturze. Wystarczy tylko uruchomić przycisk – brakuje jedynie grzybów. Raimo niepotrzebnie martwi się pojemnikami, bo najróżniejszych opakowań mamy w bród. Przypuszczam, że jego troska ma związek z dbałością o własny wizerunek: o to, jakie budzi odczucia jako kierownik zaopatrzenia, jak postrzegają go sprzedawcy pojemników, jak widzi swoją pozycję w tej firmie.

To ludzkie, jak wszystko.

Sądzę, że większość rzeczy, które robimy, nie ma związku z czymś naprawdę potrzebnym, lecz z tym, co chcemy, by ludzie o nas myśleli. Sam jestem tego najlepszym dowodem. Toczę walkę o śmierć i życie i zastanawiam się, jak wyglądam, kiedy to robię. Przychodzi mi na myśl Sanni i przypominam sobie, że czegoś od niej potrzebuję, i to jak najszybciej.

W myśli o niej zawiera się niejasne odczucie, które sfruwa z czubka głowy na dno brzucha i z powrotem, pozostawiając po sobie puste, bolesne ukłucie. Widzę rude włosy. Uczucie jest porażające... no, trochę przerażające. Albo znów cierpię

na symptomy zatrucia, albo zauroczenie i zatrucie są sobie tak bliskie, że rozdzielenie ich staje się niewykonalne.

Powiedziałem „zauroczenie”? Czy pomyślałem o zauroczeniu w związku z Sanni?

Czas nie mógłby być gorszy, jest po prostu katastrofalny. Aby wyzwolić się od swoich myśli, uciekam się do konkretnych doznań zmysłowych. Przesuwam dłoń wzdłuż stalowego blatu maszyny – jest chłodna; oglądam urządzenia i sprzęty, nazywam je i rejestruję. To odwraca mój umysł od rudego labiryntu włosów do tej hali z podłogą z betonu, do kamienia, cegły i metalu.

Oto moje dzieło stworzenia. Oczywiście nie tylko moje, ale to właśnie coś, co buduję. A skoro rzeczy są, jakie są, to także jest moje życie, jego sens. Nie mam potomków, nie zostało mi wiele czasu. To co mam teraz, jest wszystkim, co po mnie pozostanie.

Grzyby.

Początkowo brzmi to nieco skromnie i bezosobowo, ale to prawda. Tkwi więc w tym siła. Moim zadaniem na tym świecie było znalezienie dobrych grzybów, dostarczenie ich ludziom na stoły i do ust oraz stworzenie tego małego przedsiębiorstwa. Nie uwiecznią mnie na kartach historii, no, ale jednak: miałem jakiś cel, do końca swoich dni.

Myśli o tym, co po śmierci, dodają mi nowych sił. Odnalezienie odpowiedniej skali zawsze pomaga, również teraz. Przepełniony energią, maszeruję do gabinetu, po drodze rzucam słowa powitania Suvi, która siedzi plecami do korytarza i albo odpowiada, albo nie. Zamykam za sobą drzwi, aby wykonać telefon. Udaje mi się tylko wziąć komórkę, gdy słyszę pukanie. Drzwi jednak nie otwierają się,

jak to zwykle się u nas dzieje tuż po grzecznościowym puk, puk. Ktoś puka ponownie.

– Zapraszam – mówię do drzwi i czuję się jak ostatni idiota.

Taina nigdy nie pukała, gdy z czymś do mnie przychodziła. A teraz zrobiła to już dwukrotnie w przeciągu dziesięciu sekund. Ładnie jej w letniej bluzce bez ramiączek, odsłaniającej szerokie barki. Opalone ramiona godne oszczepniczki są bardzo kobiece, jest co pokazywać. Mocne i gęste ciemne włosy związała na karku w koczek, jak przed występem sportowym. Jej wzrok zatrzymuje się na moich oczach, usta rozkwitają w serdecznym uśmiechu.

Wskazuję ręką krzesło. Sytuacja jest co najmniej dziwna: zachowuję się, jakby Taina była moją podwładną. Oczywiście tak właśnie jest, jeśli weźmie się pod uwagę hierarchię panującą w naszej firmie. Ale to nie jest zwyczaj, którego byśmy kiedykolwiek wobec siebie nawzajem przestrzegali.

Taina siada.

– Myślałam o tym, o czym rozmawialiśmy – zaczyna.

– O czym konkretnie?

– O wszystkim – odpowiada. – O wszyściuteńkim, kochanie. Nawet nie wiem, od czego zacząć, w jakiej kolejności powinnam to przedstawić. Ale obserwowałam cię od jakiegoś czasu... i myślałam. O tobie. Dużo. I wierzę, że o wielu sprawach mamy podobne zdanie.

– Jeśli chodzi ci o kwestie firmo...

Kręci głową. Nie tak, jakby chciała zaprzeczyć wszystkiemu, lecz w sposób, który pozwoli uniknąć sytuacji, gdy sprawy zbaczą z tematu. Zaprzeczenie jest stanowcze i łagodne, typowe dla tych, którzy przemawiają z pozycji

dorosłego. Nie wiem, czy mam lepsze wyjście niż czekanie i słuchanie. Czekam więc i słucham.

– Kiedy wczoraj wieczorem masowałam ci ramiona, zrozumiałam, o co chodzi. Pojęłam to, zobaczyłam i właściwie wyczułam w twoim ciele... coś, co podejrzewałam już od dłuższego czasu. Swoją drogą ty po prostu zasnąłeś, końcówkę *Jutty i superdiety rozwodowej* obejrzałam sama. Harri wygrał. Ten wysoki blondyn. Zrzucił w czasie procesu trzydzieści osiem kilogramów. A kiedy Jutta go pocieszała, zgubił jeszcze sześć i pół kilograma, w czasie jak roztrząsali podział majątku. Przykryłam cię i postanowiłam, że porozmawiam z tobą rano.

Jej głos jest ciepły i pełen troski, dużo w nim empatii i chęci pomocy. Więcej niż w ostatnich latach. Być może więcej niż kiedykolwiek.

– Co zrobisz? – pytam.

Taina patrzy na mnie. W jej okrągłych, bystrych oczach dostrzegam uważność, troskliwość i chęć obdarowania bliźniego tym, co dla niego najlepsze.

– Jesteś wykończony, kochanie. Potrzebujesz urlopu. Natychmiast. I zorganizowałam to.

Nawet nie umieram wystarczająco szybko. To moja pierwsza myśl. Żona chce mnie stąd odesłać, ponieważ nie zgodziłem się skonać według jej grafiku. Nie spuszczam wzroku z szaroniebieskich oczu, które wyglądają, jakby należały do najbardziej empatycznej pielęgniarki.

– Tak? – udaje mi się zapytać.

Pytanie nie jest szczególnie błyskotliwe ani nawet bardzo wymagające, ale daje mi czas. Taina przytakuje.

– Od dzisiaj – mówi. – Żądam tego – dodaje po chwili.

– To niemożliwe – odpowiadam. – Ustaliliśmy...

– Jaakko, misiaczku-prosiaczku, posłuchaj mnie.

Patrzę na żonę. Robię to, o co prosi: słucham. Znowu dostaję parę sekund do namysłu.

– W ostatnim czasie zachowywałeś się bardzo dziwnie. Najpierw sądziłam, że to kryzys wieku średniego...

– Mam trzydzieści siedem lat.

– Otóż to. Te przedziwne powroty do domu i podejrzane przemowy, wizyty policjantów w naszym salonie, którzy podejrzewają cię o jakąś kradzież, a potem jeszcze twoje niezrozumiałe działania w firmie. Przez chwilę obawiałam się, że straciłeś rozum. Ale potem przeczytałam artykuł o wypaleniu się i zrozumiałam, co ci dolega. Wczoraj wieczorem usnąłeś w trakcie masażu w pół zdania.

– Co to było za zdanie?

– Słucham?

– Co zacząłem mówić, zanim zasnąłem? – pytam.

– To nie ma znaczenia. Coś o jakimś noszeniu. Że ci zeszywniały plecy.

– I co potem?

– Poszłam na górę do sypialni, ale nie spałam. Bo myślałam o tobie. O tobie, Jaakko.

– Nie spałaś przeze mnie?

– Owszem. Ale potem wymyśliłam rozwiązanie. Dostaniesz trochę wolnego.

– Jak dużo?

– Na początek długi weekend.

Patrzę na nią. Rozumiem moją żonę. Jest w trudnej sytuacji. Wciąż nie godzę się umrzeć. Przylatują Japończycy, a ja powinienem wachać kwiatki od spodu.

– Dokąd miałbym pojechać? – pytam.

– Do spa. Do Parnawy. Zamówiłam ci apartament. Statek odpływa rano z Helsinek. Jeśli chcesz, mogę ci zarezerwować hotel w Helsinkach już na dziś wieczór. Żebyś mógł się trochę nacieszyć nocnym życiem.

– Nocnym życiem?

– Te wszystkie stare puby i restauracje.

– Już ich nie ma.

– Wiesz, o co mi chodzi. Pobawisz się, wyluzujesz, odpoczniesz, wrócisz do formy.

– Nie jestem wypalony.

Taina uśmiecha się ciepło, unosi palec wskazujący.

– W tym artykule pisali właśnie, że osoby z wypaleniem dostrzegają swój stan jako ostatnie. Spełniasz wszystkie kryteria, widzę to. Jaakko, moje serduszko najdroższe.

Jaakko, serduszko najdroższe?

– Począwszy od tego tygodnia, nakazałem wszystkim pracować w weekend. Co oni pomyślą, jeśli sam pojedę sobie na urlop właśnie teraz?

– Nie ma mowy o żadnym urlopie – prostuje. – Wykluczone. Jesteś głównym właścicielem spółki. Masz ważniejsze zadania niż łażenie po lesie. Powiedzmy, że wyjeżdżasz w podróż służbową.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – mówię. – Co z pracą?

Taina wciąż nie spuszcza ze mnie serdecznego wzroku, wysyła do mnie ciepłe fluidy, ale jest też zdenerwowana. Widzę to, bo ją znam. Przynajmniej częściowo.

– Czyli wyjeżdżasz? – upewnia się. – Mogę potwierdzić rezerwację?

– Dlaczego właśnie w ten weekend?

Robi wszystko, by ukryć rosnącą frustrację. Jakiś ułamek napięcia przenika jednak na powierzchnię.

– Bo właśnie w ten weekend jesteś tak wyczerpany, kochany Jaakko. Nie w zeszły. Tylko teraz. Potrzebujesz odpoczynku w ten weekend.

– Wygląda na to, że naprawdę się martwisz.

Taina przytakuje, jakbym wreszcie trafił w sedno i dzięki temu uda nam się wygrać jakąś wielką nagrodę.

– Bo się martwię – akcentuje każde słowo. – Bardzo.

– Może ja...

– Właśnie tak, kochanie.

– Ale kto...?

– My, pozostali. Wszyscy razem. Wiesz, że ja wiem, jak się zarządza tą firmą. Nie musisz się niczym przejmować.

Wstaje z krzesła, okrąża stół, zanim udaje mi się zamknąć swoją pocztę. Staje za mną, kładzie mi ręce na ramionach, lekko masuje, a nawet pieści: głaszcze i uciska. Coś takiego ostatnio zdarzyło się podczas tamtych pierwszych czterech miesięcy, kiedy zaczęliśmy się spotykać. A i wtedy może raz jeden.

– A kiedy wrócisz – słyszę za sobą jej głos – będziemy mogli spojrzeć na sytuację jeszcze raz, w nowym świetle. Dźwigales na sobie tak wielką odpowiedzialność, że związany z tym stres przeniósł się na twoje ciało. Od tych nerwów ramiona masz twarde jak kamień.

Są twarde jak kamień, bo za mną stoisz, ty zdradziecka morderczyni.

– Taki jesteś śmieszny, mój malutki misiaczku-prosiaczku – nie ustaje Taina. – My, pozostali, też coś potrafimy.

– Absolutnie w to nie wątpię.

– Zabiegi też ci zamówić?

– Zabiegi?

– W spa. Masaże, kąpiele, termoterapia, krioterapia, zabiegi na twarz, fryzjer, męski pedicure.

Jakbym słuchał reklamy spa. Powstrzymuję się z odpowiedzią.

– Może masz rację – odzywam się, kiedy uznaję, że kazałem jej wystarczająco długo czekać. – Może jestem trochę przepracowany. Co powiesz na to, żebym przemyślał twoją propozycję?

Ręce Tainy zatrzymują się. Potem znów się poruszają, w dalszym ciągu mnie pieszczą.

– Zawsze wszystkiemu się przeciwstawiałeś, Jaakko. Również temu, co jest dla twojego dobra. Zwłaszcza temu, co jest dla twojego dobra.

– Nie przeciwstawiam się – protestuję. – Myślę jeszcze tylko o tym, że nie chcę cię obciążać tymi sprawami. Jesteś w swoim żywiole, kiedy masz na głowie przepisy i wszelkie kwestie związane ze smakiem. Ale zarządzanie przedsiębiorstwem... Nie wiem, czy chciałabyś wziąć na siebie taką odpowiedzialność, tyle problemów i pracy. W grę wchodzi dużo kwestii, o których być może nawet nie pomyślałaś.

Taina powstrzymała ruch rąk. Czuję ciepło, każdy z palców jest jak gorący patyczek. Potem czuję ciepły oddech, zbliżający się do mojej głowy – do samego czubka, tam gdzie włosy są rzadkie. I wilgotne usta, kiedy dotykają skóry głowy.

– Mój ty głuptasku-brudasku – mówi, niemal do mnie przyklejona. – Biorę pod uwagę wszystko.

To dla twojego dobra. Parodniowy wypoczynek i wszystko będzie wyglądać inaczej. Jedyne sposoby, by pozbyć się Tainy z mojego gabinetu, to obiecać jej, że wkrótce wrócę do tematu.

Wkrótce, czyli kiedy?

Za chwileczkę.

Taina idzie do drzwi, kołysze przy tym biodrami, kręci pupą. Czegoś takiego nigdy wcześniej nie widziałem. Jeszcze przy drzwiach spogląda za siebie z uśmiechem, w jej oczach tli się całkiem czytelna obietnica seksualna. Takie połączenie zbija mnie z tropu. Nie jestem przyzwyczajony do doświadczania podobnych rzeczy ze strony Tainy. Nie otrzymywałem tego typu obietnic także od innych kobiet. Nigdy w życiu.

Nie wiem, co odpowiedzieć, odwracam się więc do komputera i czekam, aż moja żona wyjdzie. Kiedy słyszę szcęk zamka, wypuszczam powietrze, które z nerwów powstrzymywałem, odchylam się na oparcie krzesła i odrywam ręce z podłokietników, jakbym uszedł właśnie z życiem z awaryjnego lądowania.

O seks tu chodzi? Nie sądzę. Chyba nie. Na pewno nie.

Rozumiem oczywiście, że nie należę do najbardziej namiętnych ani najbardziej wprawnych kochanków stulecia. Ale z pewnością nie jestem też najgorszy. Przypuszczam, że mieszcę się gdzieś pośrodku skali. Precyzyjnych pomiarów nie przeprowadziłem, ale spędziłem trochę czasu w męskich szatniach i saunach i zwróciłem uwagę, że choć sam nie mogę się specjalnie chwalić, to też nie ma się czego wstydzić. Moja wytrzymałość odpowiada takiej, jaka jest osiągalna w warunkach naturalnych: nie mógłbym wziąć udziału w całonocnych krajowych biegach narciarskich, ale nie

jestem też gościem, któremu wystarcza przerwa na reklamy. Nie mam sylwetki modela, ale mam poczucie rytmu. Albo tak słyszałem. Wprawdzie nie od Tainy, z którą ostatnio kochałem się... hm... kiedy? Być może w zeszły weekend. Tak. Moim zdaniem wszystko od gry wstępnej do ostatniej fazy przebiegło bez zarzutu, moim zdaniem każde z nas coś otrzymało, własną porcję. Nie, chyba nie chodzi tu wyłącznie o seks. W takim przypadku udział Petriego jest nieco bardziej interesujący, niż wcześniej sądziłem. A jeśli nie jest on wyłącznie bezmózgim chujomiotaczem, który daje radę na jednym proteinowym koktajlu od nocy świętojańskiej do Bożego Narodzenia?

Nie udaje mi się dość w swych rozmyślaniach dalej, bo rozbrzmiewa komórka.

Głos podkomisarza Mikka Tikkanena brzmi przez telefon równie przyjemnie jak w naturze: policjant jest sympatyczny również wtedy, gdy zadaje pytania. Mówię, że nie jestem jakoś nadludzko zajęty. Nie wierzę wprawdzie, że moja wypowiedź albo potencjalny pośpiech mogą mieć jakiegokolwiek znaczenie w związku z tym, co Tikkanen proponuje.

– Mam prośbę, żeby wpadł pan do nas na komendę – mówi. – Na przykład teraz. Od razu.

– A o co chodzi? Nie możemy omówić tego przez telefon?

– Wolalbym porozmawiać twarzą w twarz.

Nie ma chyba większego znaczenia, co z kolei ja wolę, myślę. I znów chodzi o zachowanie równowagi: nie chcę sprawiać wrażenia człowieka, który unika policji, ale też nie zamierzam wyglądać na zbyt łatwego.

– Jak się dowiem, o co chodzi, zdążę wszystko przemyśleć już po drodze.

– Jestem pewien, że to sprawa czysto rutynowa. Wspaniale, że może pan przyjść tak szybko.

Kończy rozmowę. Spoglądam na zegarek. Zastanawiam się nad własnym samopoczuciem. Lekarz może być teraz na urlopie, ale odbiera niemal natychmiast. W tle słychać hałasy małych dzieci, piskliwe okrzyki, wybuchy radości, być może także odgłosy znad wody, szum wiatru na otwartej przestrzeni, może fale, uderzanie ich o brzeg; trudno mi zdecydować, czy w grę wchodzi wnuki, czy dzieci lekarza. Ze względu na wiek sytuuje się gdzieś pośrodku. No, ale nie o to oczywiście chcę pytać.

Przedstawiam się, on informuje mnie, że rozpoznał mój numer.

– Dobrze, że pan dzwoni – mówi od razu. – Otrzymałem właśnie nowe informacje. Jak samopoczucie?

Odpowiadam, że, o dziwo, czuję się lepiej. Przynajmniej fizycznie, dodaję, ale psychicznie... To już go wyraźnie zupełnie nie interesuje, bo niemal wpada mi w słowo.

– To by się pokrywało z informacjami, które zdobyliśmy. Próbkę, którą pan ostatnio przekazał, zostały przebadane na wszystkie strony i, co dość niewiarygodne, można dostrzec, że nastąpiło swoiste zatrzymanie. Nie wiadomo, czy w grę wchodzi niezależna reakcja organizmu, czy zmniejszenie dawki toksyn, czyli składników powodujących zatrucie, ale koniec końców, nie ma to większego znaczenia. Znaczenie ma to, że zatrucie osiągnęło pewien stan stabilności, co pana słowa potwierdzają.

Nie udaje mi się zadać pytania, bo słyhać pisk dziecka i huk fal i lekarz powraca do swego wywodu:

– Wygląda na to, że mamy przynajmniej częściowo do czynienia z takim samym fenomenem jak czasami w przypadku raka. Komórki rakowe, czasem dzięki leczeniu, a czasem samoistnie, osiągają stan, w którym po prostu trwają. – Na sekundę milknie, po czym dodaje: – Nie oznacza to jednak, że nie będą się rozwijać, ani tym bardziej, że znikną. W grę wchodzi ostatecznie tylko czas, tempo, w jakim sprawy się potoczą.

To była odpowiedź na moje pytanie.

– Ale właśnie teraz... – zaczynam.

– Można stwierdzić, że właśnie teraz czuje się pan dobrze. Do czasu, aż pan przestanie się tak czuć.

Komenda policji jest dzieckiem swoich czasów: lata dziewięćdziesiąte ubiegłego stulecia, w których powstawały gmachy publiczne, nie zapiszą się w historii architektury jako szczególnie udany okres. Poszczególne elementy są do tego stopnia nietrafione, że wpływa to na oglądającego. Wewnątrz komenda jest ciemna i ciasna, a fatalną jakość budownictwa wyczuwa się na każdym kroku. Na chwilę przystaję w holu, wdycham niebezpieczne dla organizmu mikroby i nasłuchuję.

Z prawej strony krótkiego korytarza otwierają się drzwi i wygląda z nich Mikko Tikkanen.

– Szybko pan przyszedł. Zapraszam.

I znika w środku, pozostawiając otwarte drzwi. Kieruję się ku nim, wchodzę do pomieszczenia.

Pokój jest mały i uderzająco podobny do gabinetu lekarskiego. Biurko z jasnym blatem, komputer, z tyłu obrotowe krzesło, na którym siedzi Tikkanen, naprzeciwko

drugie, które wskazuje mi ruchem ręki. Siadam i rozglądam się. Dwa regały z lewej strony zapełniają na przemian czerwone i niebieskie segregatory, w żaden sposób nieoznaczone. Na ścianie po prawej wisi kalendarz fińskiej grupy spółdzielni spożywców, otwarty na niewłaściwym miesiącu. To mogłoby być pomieszczenie biurowe dowolnego przedsiębiorstwa czy stowarzyszenia.

Sam Tikkanen też nie wygląda na nie wiadomo jakiego policjanta. Ma na sobie czarny T-shirt z nadrukiem AC/DC, okulary słoneczne odsunął luzacko nad czoło. Identyfikator wiszący na szyi zdradza jednak, z kim mam do czynienia.

A także spojrzenie.

– Czy zgodzi się pan, żebym od razu robił notatki? – pyta, klikając w klawiaturę komputera.

To jak powtórka z prośby o przybycie: Tikkanen, owszem, sprawia wrażenie, jakby mnie o coś pytał, ale robi dokładnie to, co chce i co już postanowił. Fajnie, że mogę w tym uczestniczyć, mógłbym powiedzieć, jeśli atmosfera i sytuacja byłyby inne. Nie zapomniałem także wczorajszego przedstawienia sprzed komendy: dyskusji Tikkanena i Petriego, którą śledziłem z drugiej strony placu, ukryty za gromadą turystów. Również to dodaje obecnej chwili cokolwiek paranoidalnego posmaku.

– Zapiszę jeszcze pańskie nazwisko i dzisiejszą datę i że zgodził się pan dobrowolnie przyjść na rozmowę – informuje mnie Tikkanen. – Potem przejdziemy do właściwej sprawy.

Nie rozróżniam w całym budynku innych odgłosów niż jego postukiwanie w klawiaturę. Niewykluczone, że jesteśmy tu tylko we dwóch. Tikkanen kończy pisać, przez chwilę patrzy na ekran, naciska myszkę, przechyla głowę, jakby

chciał stworzyć z obrazem widocznym na ekranie jedną prostą, następnie wydyma wargi i jeszcze kilkakrotnie zdecydowanie klika myszką. Kiedy efekt wreszcie go satysfakcjonuje, odwraca się do mnie twarzą.

– Czy znał pan Juhaniego Alatalo? – pyta.

Prosto z mostu, bez żadnych wstępów. Zwracam uwagę na formę czasu przeszłego.

– Nie mam pewności co do nazwiska – mówię. – Nie wiem, czy kiedykolwiek je słyszałem.

– Juhani Alatalo, pracował w Grzybach Hamińskich, duży facet, blondyn, typ atlety.

– Spotkaliśmy się. Nie mogę powiedzieć, żebyśmy się w jakikolwiek sposób znali.

– Czy wie pan, że zaginął?

– Wiem. Jego przełożony mi powiedział.

– Asko Mäkitupa?

– Tak.

Tikkanen uderza w klawiaturę. Widzę teraz, że całkiem sprawnie radzi sobie z systemem dziesięciopalcowym. To tyle, jeśli chodzi o żarty o policjantach. Tikkanen ponownie zwraca się do mnie twarzą.

– Jaka to była rozmowa?

– Co ma pan na myśli?

– Asko Mäkitupa to pański konkurent. Nie wiem nic na temat branży grzybowej, ale podejrzewam, że panuje w niej równie wielka konkurencja jak we wszystkich innych. Jeśli mogę coś przypuszczać i zakładać, to wydaje mi się, że jeśli przeciwnik sam do pana przychodzi i chce rozmawiać na temat jednego ze swoich pracowników, to sprawa jest dość ważna i może jakoś wpłynąć na kierunek dyskusji.

– Asko zaprosił mnie na piwo.

– Dokąd?

– Na statek restauracyjny w Tervasaari. Górny pokład. Ostatni stolik od strony morza. Siedziałem twarzą do portu i otwartej wody.

– Kiedy?

– Wczoraj. Mniej więcej o tej samej porze co teraz.

Wzdrygam się na myśl o tym, jak szybko wszystko się teraz toczy. To nieprawda, że przed śmiercią życie przebiega ci przed oczami w postaci przyspieszonego filmu. Teraz wszystko odbywa się w takim tempie, że nie mam czasu śledzić żadnych filmów.

– I?

– Asko powiedział to samo, co pan. Że Juhani zapadł się pod ziemię. Podejrzewał, że pojechał do Sankt Petersburga. Podobno ma takie zwyczaje. Nagle gdzieś znika, a potem informuje, że jest w Rosji. Albo mówi o tym dopiero po powrocie. Nie pamiętam już dokładnie.

– Czy to pana nie zdziwiło?

– To, że ktoś podróżuje do Sankt Petersburga? Nieszczególnie.

– To, że pański przeciwnik Asko Mäkitupa przychodzi się z panem spotkać, aby zapytać, gdzie się podziewa jeden z jego pracowników.

– Źle zrozumiałem pana pytanie.

– Dlaczego Asko Mäkitupa sądził, że może pan cokolwiek na ten temat wiedzieć? Skąd mogło mu to nagle wpaść do głowy?

Pomimo różnych podejrzeń łapię się na tym, że lubię Mikka Tikkanena. Pracuje, próbuje dać sobie radę z tym, że

większość osób, z którymi ma do czynienia, mówi mu wszystko oprócz prawdy. Łatwo mi wczuć się w jego sytuację. Nie chcę go okłamywać. Wystarczy, że paru rzeczy nie dopowiem. Zastanawiam się, czy to możliwe, że był tutaj, w pracy, być może w tym właśnie pokoju, którego okno, zakryte żaluzją, wychodzi na podwórze, podczas gdy ja krążyłem wokół ratusza wraz ze ścigającym mnie Juhanim.

– Dotknąłem jego miecza – odpowiadam. – Miecza samurajskiego Juhaniego. Jeśli dobrze zrozumiałem, to go zdenerwowało. I zdaje się, że on, to znaczy Juhani, podzielił się tymi uczuciami ze swoim szefem.

Tikkanen obracał się już w stronę komputera. Ale nagle jego ręce zastygają w powietrzu, palce w odległości centymetra czy dwóch od klawiatury.

– Teraz przyznaje się pan do kradzieży miecza. Wczoraj rano pan temu zaprzeczył – mówi.

– Zaprzeczam w dalszym ciągu. Przez całe moje życie niczego nie ukradłem. Zdjąłem miecz ze ściany i trzymałem go chwilę w rękach. Potem go odwiesiłem na miejsce. To wszystko.

Dłonie Tikkanena wciąż wiszą nad klawiaturą.

– Czy jest coś jeszcze, o czym mówił pan wcześniej i co chciałby pan teraz doprecyzować?

Kręcę głową.

– Nie.

– Nic?

Jego palce prawie już dotykają klawiatury, ale wciąż nie spuszcza mnie ze wzroku. Z jakiegoś powodu przychodzi mi na myśl palec przyciskający spust.

– Nic – powtarzam.

Tikkanen jeszcze przez chwilę na mnie patrzy, potem palce rozpoczynają wędrówkę po klawiszach. Są zwinne i nawykłe do pisania. Kończy, czyta, co napisał, i odwraca się.

– Czy kiedy się spotkaliście, Asko opowiedział historię swojego przyjaciela, który skoczył z mostu?

Kiwam głową.

– Niekoniecznie było tak, jak on to przedstawił.

– Czy ten jego przyjaciel nie skoczył i nie umarł?

– Owszem, umarł – przyznaje Tikkanen. – Ale to, czy skoczył sam, to inna sprawa. Bracia Similä nie wchodzili w ogóle na ten łuk. Kalle dopiero się wspinał, kiedy Ville już skoczył... Albo upadł. Albo ogólnie rzecz biorąc, był w drodze na dół. Kalle nie widział, jak doszło do skoku czy upadku, ale powiedział później, że słyszał, jak Ville coś mówił, być może coś w stylu „Daj spokój, do cholery, tam jest drzewo”. Później okazało się, że Ville niewiele wcześniej odbił Askowi dziewczynę. W grę mogło wchodzić sporo nieszczęśliwych przypadków. Możliwe, że Ville sam skoczył. Możliwe, że Kalle źle usłyszał. Równie możliwe, że Kalle słyszał dobrze, a Ville widział drzewo i Asko wypchnął go do wody, żeby się zemścić za kradzież dziewczyny. Kto wie? Koniec końców, nie zostaje nam nic poza opowieścią Aska, więc to by było na tyle. Tak do pańskiej wiadomości.

Ktoś obniżył temperaturę pomieszczenia. Jest mi zimno. Tikkanen obraca się na krześle przodem do mnie. Nie siedzi już wyprostowany, jedną ręką opiera się o lewy łokieć.

– Jak to do mojej wiadomości? – pytam.

– Po prostu do pańskiej wiadomości. Gdyby pan zamierzał mieć z Askim do czynienia.

– Dlaczego miałbym to robić?

Nie spuszcza ze mnie wzroku. Jego oczy najwyraźniej próbują czytać w moich myślach.

– Dziś rano Juhani Alatalo został odnaleziony w morzu w pobliżu miejscowości Neuvoton. W sieciach na sandacze. Paru letników z samego rana wybrało się na ryby. Przez jakiś czas nie wiedzieli, o co chodzi, aż wreszcie udało im się wyciągnąć sieć na tyle, że zobaczyli ludzką postać i coś błyszczącego i nas powiadomili. Dla dobra śledztwa nie mogę zdradzić niczego więcej.

Milczę. Tikkanen porusza lekko palcami, postukuje bezdźwięcznie w oparcie krzesła. Sprawia wrażenie, jakby był przede wszystkim nieco znudzony wynikiem w gruncie rzeczy całkiem sympatycznej rozmowy. Oczywiście wcale tak nie jest. I coś muszę odpowiedzieć. Odejście w milczeniu nie wchodzi w ogóle w grę, wzbudziłoby więcej podejrzeń niż cokolwiek innego.

– Nie zamierzam mieć do czynienia z Askiem – mówię. – Nie mam ku temu żadnych powodów.

Tikkanen na przemian unosi i opuszcza ramiona.

– Miejmy nadzieję, że Asko nie zdecyduje inaczej.

– Dlaczego miałyby tak zdecydować?

– Juhani zniknął, Asko przyszedł do pana, by czegoś się na ten temat dowiedzieć. Jak pan przypuszcza, co robi teraz, gdy Juhani został odnaleziony?

Na korzyść Tikkanena należy stwierdzić również to, że sprawnie zaplótł swe sieci. Nie powiedział, że o cokolwiek mnie podejrzewa, w żaden sposób nie ogłosił, że mnie przesłuchuje albo nawet że przeprowadza ze mną oficjalną rozmowę. Ale oto tu jestem, pomiędzy dżumą a cholera. Nie

odpowiadam od razu, on jednak nie sprawia wrażenia, jakby mu się dokądkolwiek spieszyło.

– Czy jest coś jeszcze? – pytam.

Rozkłada ręce.

– Jeśli pan nie ma nic do powiedzenia...

Spoglądamy na siebie. Kręcę głową.

– Nic mi nie przychodzi na myśl.

– Dobrze.

Podnoszę się.

– Jeszcze jedno – mówi. – Prosiłbym, żeby pozostał pan w okolicy.

Zauważam, że kiedy stoję, patrzę na niego z góry.

– Oczywiście. Gdzież bym miał wyjeżdżać z naszej Haminy w samym środku lata?

Tikkanen opiera się o krzesło.

– No właśnie. Kto by chciał się stąd ruszać?

Koszulę mam na plecach mokrą i zimną, przykleiła mi się prawie aż do karku. Podciągam ją od dołu, odwracam się i dochodzę już do drzwi, kiedy uprzytamniam sobie, co takiego nie dawało mi spokoju.

– Ta opowieść Aska... Odniosłem wrażenie, że to było dla pana ważne, żeby ją skorygować.

Tikkanen patrzy na mnie z drugiego końca pokoju. Pomiędzy żaluzjami za nim przenikają wąskie strumienie światła. Zamierza coś powiedzieć, ale się waha. Chwila jest krótka, ledwo dostrzegalna i jak dotychczas jedyna tego rodzaju, przynajmniej ja to tak postrzegam. Tikkanen szybko dochodzi do siebie.

– Dobrze jest wiedzieć, z kim ma się do czynienia, czyż nie? – mówi tylko.

Pojemnik lodów w mojej ręce jest przez chwilę jak kawałek zimy w środku lata, ale szybko zaczyna się ocieplać. Lody topnieją najpierw z brzegów, w końcu pękają również na środku, miękkie i śmietankowe. Wczytuję się w teksty na pojemniku: szczęśliwe, hasające na wolności krowy, wydojone z radością mleko i śmietana ubita w dzikiej frajdzie, babciny przepis na ciastka, a także banany z rodzinnej uprawy. Wszystko to oczywiście jedna wielka ściema.

Już dawno minęło południe. Im dalej kieruję wzrok na morze, tym bardziej niebiescieje. Próbuję dosięgnąć wzrokiem krańców świata, ale bolą mnie oczy; horyzont najpierw staje się nierówny, potem zamazany. Nie widać końca świata.

Kiedy wyjeżdżałem spod komendy policji, przez chwilę myślałem, że wiem, co czuje człowiek, który popadł w paranoję. Najpierw nie umiałem nawet policzyć, ile konkretnie osób na pewno ściga mnie całkiem jawnie albo w inny sposób oczekuje mojego zniszczenia i śmierci. Przez chwilę siedziałem sfrustrowany w samochodzie w oczekiwaniu na wielki koniec, w postaci albo zatrzymania,

albo uderzenia wynajętego zabójcy. Kiedy nic się nie wydarzyło i żaden koniec nie nastąpił, a samochód rozgrzał się nie do wytrzymania, ruszyłem nad morze. Najpierw musiałem jednak podskoczyć do kiosku R.

Mogę liczyć wszystko, co tylko zechcę, ale nie kalorie. Potrzebuję energii, a tylko myśl o lodach nie wywołuje u mnie napływu mdłości. Może moje organy wewnętrzne są już na tyle kruche, że jedynie słodki produkt mleczny jest dla nich wystarczająco łagodny. Otwieram drugi pojemnik: czekolada z drzew kakaowych rosnących na południowych górskich zboczach, angielskie toffi z sekretnego przepisu. Świat nie jest zbudowany ze stali i betonu, świat płynie potokami słów i strumieniami cukru.

Gdy jestem w połowie pojemnika, moje myśli zaczynają powracać na ląd bardziej stały.

Przerabiam w myślach rozmowę z Tikkanenem, jego intonację, zręczne naprowadzanie i chwilę zawahania pod koniec. Myślę o spotkaniu z Raimem, jego nagłym zaproszeniu do sauny, myślę o tym, jak Taina zamierza przyjąć gości z Japonii i w imię czułości i troski wysłać mnie z dala od miasta. Myślę o opowieści Aska, o tym, że jest być może bezwzględnym mordercą i doświadczonym mścicielem. Tikkanen chyba się domyśla, że wiem coś o losie Juhaniego, ale najwyraźniej postanowił poczekać. Nie wiem na co. I wolę nawet sobie nie wyobrażać, jak Juhana ustosunkuje się do tego, że jego najlepszego przyjaciela znaleziono na dnie morza z mieczem wychodzącym z głowy.

Dobrze rozumiem, że choćbym nie wiem co planował, będę musiał głównie improwizować; czynników losowych jest zwyczajnie zbyt dużo, by ktokolwiek zdołał je ujarzmić.

Z drugiej strony, gdyby tylko chcieć i zdołać odnaleźć siły na jakąś szerszą perspektywę – otwierającego się w błękitnie nieba i rozpościerającego pod nim morza – to moje życie jest też bardziej ekscytujące i bogatsze w wydarzenia niż kiedykolwiek wcześniej. Na tyle zdążyłem przekartkować kobiece czasopisma i prześledzić z boku oglądane przez Tainę programy dyskusyjne, by wiedzieć, że człowiek ma nieustanną potrzebę „doświadczenia” różnych spraw i kolekcjonowania kolejnych „przeżyć”.

A czy chcę się zemścić?

Ta myśl do mnie powraca. Czasem uderza jak krwistoczerwona płachta, targana gwałtownym wiatrem, czasem przysysa się z siłą bagiennego dołu, który wszystko pochłonie. Chcę sprawiedliwości, oczywiście, domagam się wyrównania rachunków. Ale jednak to, czego najbardziej pragnę i co – mam nadzieję – jest w moim przypadku czasowo wykonalne to uratowanie firmy. Nie mogę pozwolić, by trafiła w niewłaściwe ręce. Nie zamierzam nawet po śmierci przyglądać się, jak jest niszczone.

Sanni rozpoczęła dziś pracę w służbie naszej konkurencji. Próbuje się do niej dodzwonić, ale bez rezultatu. Wyjmuję z kieszonki kartkę z hotelową rezerwacją i patrzę na listę gości, którą własnoręcznie dopisałem. Wpada mi do głowy pewna myśl, pospiesznie ją notuję.

Pojemnik jest już pusty. Odkładam go obok poprzedniego i wyciągam się pomiędzy kamieniami. Grunt w pobliżu brzegu to gruboziarnisty piasek z kępami trawy. Dopiero po chwili udaje mi się ułożyć w miarę wygodnie. Nie zamierzam zasypiać, chcę tylko trochę pomyśleć. Ale jak to zwykle w życiu bywa, myślenie musi odejść na bok. We śnie walczę

z mężczyznami bez twarzy, którzy zamiast broni używają pojemników z lodami.

Tajemnica braku twarzy wyjaśnia się, ich głowy to też pojemniki z lodami. Próbuję uciec, ale z biegania nic nie wychodzi. Boli mnie żołądek, nogi nie niosą, buty grzęzną w lodowej mazi. Potem dostaję do rąk miecz, długi i błyszczący. Siekam, przecinam i przekłuwam lodowych facetów i sam nie stoję już w lodach, tylko na pomoście, na moim własnym pomoście, a moich przeciwników nigdzie nie widać. Nad sobą mam piękny, spokojny letni wieczór. Wciąż trzymam w ręce miecz, ale teraz jest nieprawdopodobnie ciężki. Kiedy go unoszę, widzę przekrojoną głowę Tainy.

Budzę się z wrzaskiem, wymachując rękami.

Barwa nieba zmieniła się, teraz jest o odcień czy dwa ciemniejsze. Wieje lekki wiatr, wystarczy tylko unieść głowę spomiędzy kamieni, by go poczuć. W ustach mam słodycz, na podniebieniu wykiełkował mleczny bukiet. Przez chwilę opieram się o kamień. Wyciągam z kieszeni komórkę. Najwyraźniej potrzebowałem odpoczynku: przespałem dobre parę godzin.

Raimo Lavinto, nasz kierownik do spraw zaopatrzenia, mieszka w Pitäjänsaari. To zgodnie z drugim członem nazwy wyspa, do której można się dostać po moście Tervasalmi. Najkrótsza droga na ląd – w najwęższym miejscu cieśniny – wynosi zaledwie dwadzieścia metrów, ale tyle wystarczy, by znaleźć się w zupełnie innym świecie.

Słyszałem, jak ktoś nazwał kiedyś Pitäjänsaari baśniową wyspą, i w pewnym sensie rozumiem dlaczego. Większość

zabudowań może się poszczycić słusznym wiekiem, część z nich ma ponad sto lat, a wiele z oryginalnych domków to urokliwie przekrzywione, niskie chałupinki, do tego stopnia, że współczesny mężczyzna przeciętnego wzrostu, wchodząc do środka, musi się pochylić. Domki o czerwonych i żółtych ścianach, budynki gospodarcze i drewniane pomosty, przez dziesięciolecia na przemian dobudowywane i naprawiane, wzdłuż i w poprzek, wyglądają jak żywcem wzięte z książki z obrazkami.

Raimo jest właścicielem jednej z takich posiadłości w północnej części wyspy, na samym krańcu przylądka. Na gęsto zabudowanej Pitäjänsaari Raimowi spadła jak z nieba możliwość cieszenia się prywatnością: czerwony dom z lśnącymi białymi ramami okien przesłania widok od strony ulicy, z kolei sauna i pomieszczenia gospodarcze, wybudowane na długo, zanim wprowadzono współczesne ograniczenia w prawie budowlanym, zapewniają osłonę od strony zatoki.

Wjeżdżam na zwirową drogę, skręcam na wstecznym przed domem i parkuję pod garażem. Drzwi są zamknięte, domyślam się, że w środku stoi już samochód gospodarza. Wsiadam i czekam na jakieś oznaki życia Raima, na jego szorstki głos, triumfalne nadejście. Ale słyszę tylko stłumione brzęczenie łodzi motorowej od strony zatoki Savilahti.

Z komina sauny unosi się dym. A nawet nie tyle dym, ile smużka ciepła, która rozmiękcza powietrze i pod sobą, na dachu sauny, i wyżej; dokazuje z błękitem nieba tak samo jak tafle krzywych zwierciadeł, harujące z wesołym miasteczkiem, które się w nich odbija. Raimo oczywiście rozpala w piecu – w końcu zaprosił mnie do sauny – a piec

potrzebuje drewna. Zadbany trawnik opada ku brzegowi, na lewo od sauny pomost wchodzi głęboko w morze. Parę kroków na prawo i mam przed sobą niczym nieograniczony widok na zatokę.

Na otwarte morze wypływa drewniana łódź długości jakichś dziesięciu metrów, typ zwany summalajskim; wcześniej służył zapewne do połowów, ale po wydłużeniu górnej kajuty przekształcono go do celów rozrywkowych. Zastanawiam się, jak bym się czuł na pokładzie, w drodze na jakieś wysepki o surowej urodzie; wolny od wszystkich dzisiejszych trosk, z których przynajmniej część ma charakter porażająco stały. Kusząca perspektywa. Niski odgłos diesla oraz plusk wody uderzającej o dziób nęcą mnie z taką siłą, że omal sam nie wchodzę do wody, by podążyć wraz z łodzią na otwarte morze. Mimo wszystko ruszam do sauny i już mam wołać Raima, kiedy słyszę piknięcie SMS-a. Sięgam do kieszeni.

Jaakko, musiałem pojechać po żonę. Rozchorowała się, nie dojedzie autobusem. Sauna już ciepła. Korzystaj. Klucz leży pod dywanem na werandzie. Pogadamy jutro. Raimo

Podwórce jest puste i ciche. Zabudowania i drzewa wokół chronią zarówno od spojrzeń, jak i od wiatru. Wieczne słońce bierze mnie w ramiona. Pachną kwiaty – i morze. Aby usłyszeć odgłosy oddalającego się silnika, potrzeba wielkiej koncentracji albo niezłej wyobraźni. Nie zamierzam iść do sauny, nawet jeśli jest nagrzana.

Schylam się jednak po klucz, otwieram drzwi i wchodzę do środka. Najpierw mam przed sobą przebieralnię, drzwi do

sauny są na wprost po prawej. Otwieram je.

Sauna jest staroświecka: żadnego prysznicza ani odrębnych pomieszczeń łazienkowych. Słodka woda dochodzi tu prosto ze studni wężem ogrodowym, wiadra już są napełnione. Pośrodku przeciwległej ściany widzę duży piec z masywnymi drzwiczkami. Podejrzewam, że temperatura osiągnęła idealną wysokość, a termometr na ścianie utwierdza mnie w tym przypuszczeniu: jakieś osiemdziesiąt cztery stopnie. Raimo pewnie dopiero co odjechał. Podchodzę do pieca, kucam i za pomocą chochli otwieram drzwiczki – gołą ręką nie odważyłbym się ich tknąć.

Buchająca fala gorąca niemal zwała mnie na plecy. Żar bije po oczach ognistą czerwienią. Widać, że Raimo potraktował kwestię nagrzewania sauny bardzo serio. Poprawiam nogi, przesuwam ciężar ciała na przód stopy i podnoszę się, odwracając się jednocześnie do wyjścia – i wtedy dostaję zawrotów głowy. Gorąco plus wysiłek to dla mnie jednak zbyt wiele. Tracę równowagę i aby nie upaść, robię krok w lewo, ku oknu. Wciąż trzymam w ręce chochlę, która zakleszczyła się w uchwycie drzwiczek pieca i otwiera je na oścież.

To co dzieje się później, następuje z porażającą prędkością i niewytłumaczalną siłą, jakby każdy kolejny ruch z całej tej serii zdarzeń był jakoś zoptymalizowany i naciągnięty do granic możliwości.

To najdroższy i najcięższy model z całej produkcji seryjnej. Waży cztery i pół kilograma, ma ostrze cięte jak żyłeta i rozszerzony obuch. Oto królowa siekier, bentley wszystkich

drwali świata. Wiem, bo sam kiedyś nosiłem się z zamiarem jej kupna. Trzymałem taką w rękach w specjalistycznym sklepie Kärenkulma i nawet trochę się nią zamachiwałem, by sprawdzić, co to za uczucie. Od zwykłej siekiery z marketu różni się mniej więcej tak samo jak lotniskowiec od łódki. I poruszanie nią jest równie ostateczne: kiedy prędkość i ruch osiągają określony poziom, powstrzymanie go lub przeniesienie nie wchodzi w ogóle w grę. Siekiera zatrzyma się dopiero, kiedy osiągnie swój cel, a gdy tak się stanie, cel zostaje zniszczony.

Na swoje szczęście utraciłem równowagę, próbuję ją jakoś odzyskać.

Siekiera uderza w drewnianą kratkę podłogową tuż obok moich stóp. Drewno rozbija się na drzazgi, siekiera dociera do betonu poniżej, który pod wpływem uderzenia także pęka. Kiedy upadam na bok, ostrze miażdży podłogę, a ja wciąż mam w prawej ręce chochlę.

Ostrze zbliża się teraz z drugiej strony.

Nie doceniłem Juhany.

Mimo wątlej postury i bladości muzyka potrafi nadać narzędziu tempa. Nagle rozumiem dlaczego: były baseballista używa siekiery tak samo jak kija baseballowego. Zna prawa fizyki, nie mając najprawdopodobniej pojęcia o teorii. Ostrze przelatuje ze świstem obok, podczas gdy ja w dalszym ciągu usiłuję złapać równowagę. Moje poszukiwania to równocześnie najlepsze możliwe uniki: z punktu widzenia uderzającego poruszam się w sposób kapryśny i nie skuteczniam żadnej możliwej do przewidzenia trajektorii, jak dzieje się to z piłką wyrzuconą przez gracza albo polanem drewna czekającym na przecięcie.

Siekiera ścina mi teraz włosy z czubka głowy, czuję muśnięcie siekiery w miejscu, w którym włosów jest najmniej. Zostaje po nim bolesne ciepło. To oczywiście lepsza opcja niż życie bez czoła.

Ostrze zatrzymuje się w ścianie.

Drewniane panele – ładne deski z ciemnej patyny – rozbryzgują się jak słoik dżemu. Ponownie udaje mi się stanąć na palcach, w dalszym ciągu jestem schylony wpool, bo po pierwsze, wciąż nie minęły mi zawroty głowy, a po drugie, zakładam, że ta pozycja jest bezpieczniejsza, niż gdybym się całkiem wyprostował.

Juhana porusza się w sposób kompletnie nieprzewidywalny. Najwyraźniej cierpi nie tylko z powodu kuśtykania i zezującego oka, ale też rozpaczliwej, totalnej wściekłości. Ale za to umie uderzać. Posługuje się siekierą, jakby przygotowywał się do kolejnego etapu meczu, i z taką wprawą wywija narzędziem, że na sam ten widok kto żyw rzuciłby się do ucieczki. Ale ja nie mogę. Juhana zablokował mi sobą drzwi.

I znów uderzenie, tym razem rzut atakującego baseballisty, tak sędzę.

Wyraźnie ma zamiar wyrzucić mnie prosto w głowę: ostrze nadchodzi z wysoka i na wysokościach zakończy swój bieg, z kolei punkt styczności z piłką, a więc moją głową, musi być jak najniżej. Chodzi o to, by piłka, rażona uderzeniem, odbiła się od ziemi możliwie jak najwyżej i poleciała jak najdalej, dzięki czemu gracz z trzeciego gniazda zdąży przed jej powrotem dobiec do gniazda domowego.

Nie wierzę, że moja głowa w ogóle zdoła się odbić od podłoża, a przynajmniej nie w całości, o ile uderzenie mnie

trafi. Ściskając wciąż chochlę, wyrywam się naprzód, trochę na ukos. Sił pozostało mi na zaledwie jedną próbę, przed oczami mam wirujące mroczki, powróciło złudzenie wstrząsów elektrycznych, brak mi tchu.

Juhana włożył w kolejny ruch tyle sił, że ten go porywa, tak jak siekierę. Ostrze przecina powietrze, Juhana porusza się wraz z nim. Siekiera mnie omija, wstaję, widzę Juhana, który jest coraz bliżej. Podnoszę chochlę, muszę jakoś wytrącić mu siekierę z rąk. Uderzam z całej siły i oczywiście chybiam – nie trafiam ani w siekierę, ani w trzymające je dłonie baseballisty. Trafiam za to gdzieś w okolice głowy Juhany, a ten wykonuje skok naprzód. Przed sobą dostrzegam wreszcie zbawienne drzwi.

Więc naprzód.

Koncentruję się na tym, by moje nogi słuchały mózgu, by ciało wykonywało ruchy.

Juhana przeleciał gdzieś obok, chochla musiała dodać jego upadkowi niezłej mocy. Słyszę stukot, rumor i huk. Nic nie widzę. Obijam się o coś, chyba o ściany. Wreszcie spadam i mam tylko nadzieję, że znalazłem się na zewnątrz.

Żdźbła niedawno skoszonej trawy drapią mnie w policzek. Na szyi czuję marsz mrówek. Światło wieczornego słońca przeziiera przez gęstą brzezinę, sięga podłużnymi, tęsknymi promieniami ziemi i czerwonych ścian. W powietrzu unosi się zapach kiełbasy z grilla. Usta mam tak wysuszone, że zdają się należeć do kogoś innego. Zmysły budzą się we mnie jeden po drugim, podobnie jak części ciała. Poruszam rękami, nogami. Wciąż je mam.

Pierwsza próba podniesienia się jest zbyt nagła, zbyt gwałtowna. Przy drugiej jestem ostrożniejszy. Udaje się, ale wolę nie wstawać z klęczek. Prostuję plecy. Jestem właściwie w połowie drogi – odległość dzieląca mnie z jednej strony od domu, a z drugiej od sauny jest jednakowa, prawdopodobnie znajduję się mniej więcej pośrodku podwórza. Przez chwilę się przysłuchuję, próbuję dostrzec ruch na podwórzu lub w saunie. Nic nie widzę, niczego nie słyszę. Ani wiatru w drzewach, ani łodzi od morza czy samochodów od strony drogi – cisza.

Słońce chyli się ku ziemi, morze jest o ton ciemniejsze. Drzwi do sauny są otwarte na oścież. Najpierw myślę, by rzucić się do samochodu i uciec, ale potem rozumiem, że gdyby Juhana nadal mnie ścigał, byłbym od dawna poćwiartowany. Poruszam się ostrożnie, wciąż trudno mi utrzymać równowagę. Gdy docieram na werandę sauny, spoglądam jeszcze za siebie: nic się nie zmieniło.

Temperatura w saunie spadła. Drzwi były otwarte, nie wiem od jak dawna. Siekiera, jak widzę, wylądowała na górnej ławie. Juhana natomiast leży wyprostowany na podłodze, nie licząc głowy. Ta, aż po ramiona, spoczywa w piecu sauny.

Na podwórze, ponownie. Najpierw myślę, by zadzwonić po karetkę, ale nie robię tego. Głowa Juhany to czarna bryła: tępa bryła węgla, która wygląda, jakby ktoś metodą na Frankensteiną doczepił ją do nieskazitelnie białego mężczyzny. Juhana nie ocknie się, choćby podłączono jego ciało prosto do źródła prądu, mam podstawy sądzić, że sztuczne oddychanie też nie da zbyt wiele. Potem chcę dzwonić do Raima, ale to jeszcze gorszy pomysł: albo

współuczestniczył w tej akcji, albo o niczym nie ma pojęcia. W ani jednym, ani drugim wypadku nie mam mu nic do powiedzenia, a przynajmniej nie w tej chwili. Zastanawiam się także, czy nie skontaktować się z Tikkanenem, lecz wciąganie w to policji oznaczałoby konieczność wciągnięcia ich także w całą resztę, na co nie mam teraz ani ochoty, ani czasu.

A więc Juhana.

Grzebię go za budynkiem sauny.

Leży obok, kiedy wbijam w miękką ziemię łopate, którą znalazłem w garażu. Jesteśmy gdzieś pomiędzy sauną a morzem. Od strony zatoki zakrywają mnie gęste krzewy, wysokie szuwary i wznoszące się tuż przy brzegu pojedyncze brzozy. Od strony podwórza nikt nie może mnie dojrzeć, bo stoję za budynkiem. Cały odcinek liczy jakieś pięć metrów długości. Miejsce spoczynku Juhany znajdzie się na pewno bliżej sauny niż wody, trzeba było zminimalizować ryzyko. Nie mogę sobie pozwolić na taki nieszczęśliwy zbieg wypadków, jaki stał się udziałem Juhaniego. Daję radę z tym wszystkim tylko dzięki złotemu napojowi, który znalazłem w saunie.

Wykopywanie grobu jest żmudne i wyczerpujące. Każdą łopate ziemi – najpierw warstwa czarnej gleby, niżej coraz bardziej zbity i wilgotny ciemnozielony piasek oraz żwir – muszę wyrywać osobno i przenosić na bok. Górną warstwę – płaty z trawą na wierzchu – ułożyłem na osobnej kupie. Zamierzam wtopić grób w resztę otoczenia najlepiej, jak zdołam. Nie wierzę, że Juhana zostanie w swoim grobie do końca świata, ale mam zamiar zrobić wszystko, by uchował

się poza zasięgiem czyjegokolwiek wzroku możliwie jak najdłużej.

Spływam potem, bolą mnie dłonie, ćmią mięśnie ramion, plecy sztywnieją. Co jakiś czas opieram się o ścianę sauny. Mam nadzieję, że nie stracę przytomności. Najpierw chcę dla oszczędzenia sił pochować Juhaną zgiętego wpool, w pozycji kogoś, kto skacze na główkę, ale dość szybko dochodzę do wniosku, że to jednak niestosowne. Kopię więc dół w standardowym kształcie, choć zabiera to więcej czasu.

Wreszcie ma jakiś metr głębokości i jest długości mniej więcej Juhany. Stoję po pas w cudzym grobie, kiedy przychodzi SMS. Wycieram rękę w koszulę i wygrzebuję komórkę z kieszeni.

Najlepsza sauna świata co? Założę się, że nigdzie ci nie było lepiej. Wygrzej się także w moim imieniu. Raimo

Jakoś udaje mi się wyjść z dołu. Ciągnę Juhaną za kostki, tak jak robiłem to wcześniej, od samej sauny. Na podłodze sauny i na werandzie, a częściowo też na podwórzu zostawił za sobą smugę z sadzy, jakby ktoś rysował po całej przestrzeni grubą, czarną kredą. Gdy uporam się z grzebaniem, czeka mnie jeszcze generalne sprzątnięcie. Zatrzymuję się nad grobem, zbieram siły. Liczę do trzech. Zrzucam i równocześnie ciągnę. Juhana wpada do dołu, ląduje na plecach. Idealnie to wyliczyłem, i pod względem szerokości, i długości.

Wypełnianie grobu przebiega już sprawniej niż kopanie. Patrząc w dół, dopiero gdy Juhaną przykrywa półmetrowa warstwa ziemi. Kiedy sprawdzam, widzę tylko zagłębienie,

które może przywodzić na myśl niedokończone prace ogrodowe. Wypełniam resztę dołu. Muszę porządnie ubić ziemię stopami.

Nie wziąłem pod uwagę tego, że Juhana, tak jak i wszyscy inni, ma pewną objętość – niezależnie od tego, czy jest na ziemi, czy też pod nią – i okazuje się ona zaskakująco duża. Wykopanej ziemi zostało jeszcze tyle, że muszę ją wielokrotnie ugniatać. Wreszcie układam na wierzchu dywan z traw.

W zmroku wczesnego wieczoru wszystko wygląda względnie dobrze. Mam nadzieję, że Raimo nie będzie w najbliższych dniach miał niczego do załatwienia za budynkiem sauny. Jeśli zgodnie z prognozą pogody i moimi przeczuciami wkrótce nadejdą deszcze, grób powinien niedługo wyglądać równie zwyczajnie jak wszystkie inne nieużytki. A takie znajdują się niemal w każdej posiadłości naszego miasta.

Do sprzątania sauny używam węża ogrodowego. Sięga na werandę i podwórze. Puszczam maksymalnie silny strumień i wszystkie Juhanowe szkice węglem znikają za jego przykładem w głębi ziemi. Ogarniam też wnętrze sauny, odkładam na miejsce butle z szamponami i żelami, gąbki, podkładki i inne rzeczy, które walają się gdzie popadnie, chochlę umieszczam w cebrzyku, zamykam drzwiczki pieca, usuwam odłamki drewna z podłogi i spryskuję wężem podziurawioną ścianę. Mimo generalnych porządków ściana wygląda tak, jakby trafiła w nią siekiera, nic na to nie poradzę. Co do siekiery – muszę się zastanowić, czy to własność gospodarzy, czy towar przywieziony. Decyduję wreszcie, że zabiorę ją ze sobą tak czy inaczej.

Nie jest idealnie, myślę, rozglądając się. Ale ujdzie.

Zamykam drzwi, odkładam klucz pod dywanik i idę do samochodu. Nogi drżą mi z wyczerpania. Siekiere wrzucam do bagażnika. W świetle lampki bagażnika widzę własną rękę i uprzytamniam sobie, że przypominam górnika. Cały jestem czarny, zlany potem, brudny. Zerkam w lusterko boczne – wyglądam tak, jakbym zamiast kopać, tarzał się w ziemi. Myję twarz, ręce i ramiona w beczce z deszczówką pod domem Raima. Zdejmuję ubranie. Buty, skarpety, koszula i spodnie są tak ubłocone, jakby należały do trzylatka, który przez ostatnie parę godzin taplał się w kałuży. Stosik ubrań zajmuje miejsce obok siekiery. Mam w ręce telefon, a na sobie majtki.

Sytuacja nie jest najlepsza z możliwych, ale kiedy ostatnio taka była?

Ponownie jadę przez most Tervasalmi; kiedy docieram na drugą stronę, znów skręcam na Tervasaari i opatulony zmrokiem, jadę na kraniec przylądka. Obszar rekreacyjny jest opustoszały. Przenoszę brudne ubrania i siekiere z bagażnika do wielkiego kontenera na śmieci, którego używają właściciele łodzi i wycieczkowicze. Moje rzeczy znikają w otchłani odpadów. Siekiera uderza z łoskotem o samo dno kontenera. Wracam do samochodu, odjeżdżam i dzwonię do Tainy. Nigdy wcześniej nie zareagowała na telefon ode mnie równie rozanielona. Mówię, że chciałbym skorzystać z jej propozycji.

– Masz rację – mówię. – Jestem wykończony. Potrzebuję odpoczynku.

– Och, Jaakko, bardzo potrzebujesz! – Jej głos jest przepełniony ulgą. – To właśnie próbowałam ci powiedzieć.

– Wyjadę dziś wieczorem. Nie wrócę do domu.

Chwila ciszy.

– Jesteś już w drodze? – pyta Taina. – Gdzie jesteś?

Chciałbym powiedzieć, że jak następnym razem będzie uśmiercać męża, ale nie uda jej się przeprowadzić morderstwa zgodnie z grafiką i będzie musiała wyrzucać umierającego małżonka z miasta, żeby wykraść dla siebie jego współników, próbując równocześnie odgrywać rolę troskliwej i kochającej żony, to powinna zadbać przynajmniej o to, by jej występ zabrzmiał choćby jako tako wiarygodnie. Teraz powstrzymywana radość przebija z każdej wymawianej przez nią sylaby.

– Dopiero na początku podróży – mówię. – Ale kierunek jest chyba prawidłowy. Chciałbym się upewnić co do kilku spraw związanych z pracą w weekend, bo zanoszą się chyba na deszcz.

– Jesteś teraz na urlopie, kochanie.

– Jakoś mi dziwnie z tym, że nie zbieram razem z całą resztą. Zwłaszcza że tak się upierałem, żeby wszyscy ruszyli do lasu.

Pasy przesywają mi skórę piersi i barków, plecy przyklejają się do siedzenia, pedały, które naciskam gołymi stopami, są twarde i niewzruszone. Prowadzenie samochodu w samych gaciach jest zdecydowanie bardziej niekomfortowe, niż można by w pierwszej chwili pomyśleć.

– Mój najdroższy głuptasek wciąż mówi o sprawach zawodowych, kiedy przed nim cała noc w Helsinkach, a potem wylegiwanie się w spa?

- Z pewnością masz rację.
- Oczywiście, że mam.
- Pewnie niepotrzebnie się martwię.
- Jak zawsze.
- Słyszałaś coś o Raimie?

Taina nie waha się.

- O Raimie? To znaczy o czym?

– Tak tylko pomyślałem. Mówił coś, że żona mu się gdzieś rozchorowała i będzie musiał po nią pojechać.

– I co w związku z tym? – Sprawia wrażenie szczerzej. A mówiąc ściślej, wypowiada się tak, jakby miała szczerze w poważaniu.

– Chyba nic – odpowiadam. – Jak chcesz porozdzielać obszary zbierania?

- Kto tu się wybiera na wakacje?

– Ja.

- No właśnie, mój Jaakko-słodziako.

Jaakko-słodziako?

– Tak tylko myślę, że gdyby ktoś mnie pytał, to powinienem wiedzieć, gdzie cię można znaleźć... tak mniej więcej.

Chwila milczenia.

– Nie sędzę, żeby ktokolwiek miał pytać – odpowiada wreszcie Taina. Głos ma wyraźnie zniecierpliwiony. Sama to zauważa i natychmiast się poprawia: – Kochany mój pączusiu.

– Znowu zwraca się do mnie jak do dziecka, które próbuje namówić do jedzenia. – Napiszę ci w mailu wszystko co trzeba. A teraz skoncentruj się tylko na wypoczynku i myśl wyłącznie o tych cudownościach, które cię czekają, dobrze?

Wieczór jest ciepły, cienie mają kolor głębokiej czerni. Powietrze mięknie i gęstnieje, jak zawsze przed wielkim deszczem. Wyostrzam wzrok, patrząc na budynek, zerkam w lusterko wsteczne, a potem kieruję spojrzenie prosto przed siebie. Nigdzie ani śladu ruchu. Nasłuchuję. Ciszy nie zakłóca najłżejszy szmer.

Stopy bolą mnie od żwiru. Takie drogi nie są stworzone do spacerów na bosaka. Poruszam się naprzód z trudem, kołyszę z boku na bok i unoszę nogi przesadnie wysoko, chociaż oczywiście rozumiem, że to bezzasadne. Mogę sobie wyobrazić, jak wyglądam w swoich gaciach, które jeszcze rano były białe.

Docieram na podwórze i trawnik. To niebiańskie doznanie – po chropowatym żwirze moje stopy czują się tak, jakby trafiły do łóżka z puchową kołdrą. Widzę rozświetlone okna, puste pokoje. Wspinam się po schodach, dzwonię do drzwi i już zaczynam wciągać brzuch, ale sam rozumiem, jakie to absurdalne, i rezygnuję. Nie wydaje mi się, żeby napięta pierś mogła zmniejszyć potrzebę wyjaśnień. I faktycznie nie zmniejsza.

Jej mina nie zdradza jednak tak wielkiego zdumienia, jakiego być może się spodziewałem.

Sanni krzyżuje ręce na piersiach i opiera się o framugę. Otacza ją ciepłe światło. Włosy ma rozpuszczone, opadają po obu stronach twarzy, chowając oczy w cieniu. Zwracam uwagę, że nie zaprasza mnie do środka.

– Może powinienem był najpierw zadzwonić – mówię.

– Albo się ubrać.

Kiwam głową.

– Jesteś sama?

– Czy mam się odważyć powiedzieć, że tak?

Macham rękami, żeby wyjaśnić. Ten gest przychodzi naturalnie, ale od razu rozumiem, jak wyglądam: jakbym pokazywał, co mam do zaoferowania. Nie wiem, czy w płynnej mieszaninie ciemnego wieczoru i poświacie wpływającego od środka światła elektrycznego widać, jak bardzo się czerwienię.

– Powiem wprost, jestem w trudnej sytuacji. Potrzebuję pomocy. Chętnie wszedłbym też pod prysznic i jeśli można, pożyczylbym jakieś ciuchy. Do jutra. Potem musimy porozmawiać o Asku i Grzybach Hamińskich. I o paru innych sprawach. Mam propozycję.

Sanni ma na sobie ten sam cieniutki T-shirt co rano. A do tego utrzymane w tym samym luźnym stylu szare szorty. Nie mogę nie pomyśleć o porannym epizodzie z majtkami. Potem przychodzi mi do głowy, że najwyraźniej nadeszła moja kolej na epizody.

– A ta propozycja ma związek z czym? – pyta Sanni.

– Nie z tym. – Ponownie wskazuję na siebie. – To propozycja przełożonego dla zatrudnionego.

Coraz gorzej, myślę i już chcę ratować sytuację, ale Sanni jest szybsza.

– Taina cię wyrzuciła, tak? – odzywa się, nim udaje mi się otworzyć usta.

Tego się nie spodziewałem. Zmiana kursu ma skutek fizyczny, co rozumiem dopiero wtedy, kiedy to następuje; przeżywam taką samą neandertalską chwilę jak dziś rano i instynktownie poprawiam postawę: wciągam brzuch i staję na schodach w pozycji bardziej macho.

– W pewnym sensie – odpowiadam. I tak się sprawy mają. Taina pozbywa się mnie z miasta, a czyż nie jest to wyrzucenie z hukiem? – Ten wieczór był, koniec końców, dość zaskakujący.

Przez chwilę stoimy tak obok siebie w ciepłe letniego wieczoru. Potem Sanni odwraca się do mnie plecami.

– Łazienka jest zaraz po prawej – mówi.

Nawet w szamponie są proteiny. Tak jest napisane na etykiecie. Nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób proteiny przenikają z włosów do mięśni, ale na wszelki wypadek wlewam na głowę wielkie ilości płynu. Moje nogi nie przestają drżeć, więc siadam na łazienkowej podłodze. Najpierw kieruję wodę z prysznicą prosto do ust i piję ją łapczywie. Potem się myję.

Pode mną tworzy się kałuża z błota; muł i piasek wydostają się z każdej strony, spływają mi z włosów, uszu, nawet z nosa. Moje palce są zakończone dziesięcioma czarnymi półksiężycami, każdy paznokieć muszę wyszczotkować osobno. Kiedy wreszcie jestem czysty, z trudem się podnoszę i wycieram do sucha grubym ręcznikiem o zapachu cytryny.

Sanni zostawiła dla mnie na pralce spodnie od dresu i T-shirt. Wkładam je. Spodnie mają odpowiedni rozmiar, ale na pośladkach tak mnie uciskają, że nie śmiem nawet zerknąć do lustra na swoje odbicie. Seledynowy T-shirt leży na mnie jak ulał, lecz śmiały dekolt na pewno jest nie do końca w moim stylu.

Gdy wchodzę do salonu, Sanni siedzi na kanapie i patrzy na mnie. Od lampy stojącej za nią pada ciepłe światło. Widzę rude włosy i nagie łydki.

– Herbaty? – pyta Sanni, wskazując duży kubek na stoliku.
– Tobie też przyniosę, jeśli masz ochotę.

Kręcę głową, dziękuję i siadam w fotelu.

Salon jest niewielki i przywodzi na myśl ptasie gniazdo, panuje w nim przyjemny półmrok. Okazała brązowa kanapa ze skóry, regał z ciemnego drewna wypełniony książkami i fotografiami w ramkach, na podłodze duży orientalny dywan z drzewem i ptakami o barwnych ogonach, siedzącymi na jego gałęziach. Środek pokoju zajmuje stół na solidnych nogach z blatem z desek. Staroświecko, stwierdziłaby Taina. Przytulnie, odpowiedziałbym.

– Potrzebujesz skarpetek? – odzywa się Sanni po kilku milczących sekundach, podczas których patrzyliśmy na siebie nawzajem.

– Chyba nie. – Wzdrygam się i spoglądam na swoje stopy. – Zwłaszcza że nie mam butów.

– Musiałeś chyba wyjść dość nagle?

– To było jak grom z jasnego nieba – przyznaję. – Spotkałaś dzisiaj Aska?

Kiwa głową.

– Przedstawiłam mu swój plan zbiorów – mówi. – I usłyszałam, że jutro zobaczę się z jego partnerem z Japonii. Asko chce mu pokazać, co potrafimy: zbieranie w realu, parę pewniaków, gdzie rosną grzyby, i że wszystko jest wysokiej jakości i prosto z natury. Ten jego partner przyleci właśnie jutro do Finlandii.

– Jeden? Sam jeden? Nie więcej? Nie mówił o „nich”?

– Rozmawialiśmy po fińsku. Jestem pewna, że była mowa o „nim”, a nie o „nich”.

– Podał nazwisko tego gościa?

Sanni kręci głową, pije herbatę. Kubek ma średnicę równie szeroką jak jej twarz, której dolna część ginie w naczyniu.

– I co jeszcze mówił? – dopytuję się.

Odstawia kubek na stolik.

– Że coś kombinujesz – rzuca tak lekko, jakby mówiła o pogodzie.

Kładzie na kanapę wyprostowane nogi, stopami w moją stronę. Jej wzrok jest przez cały czas utkwiony we mnie, ale teraz staje się jakby jeszcze uważniejszy. Trzymam ręce na oparciu, poruszam palcami u nóg po przyjemnej powierzchni dywanu.

– Coś jeszcze? – pytam.

– Kombinujesz coś, Jaakko?

Spoglądamy na siebie. Wtedy to uderza: zmęczenie, które sięga szpiku kości niczym ból niedający się umiejscowić. Jestem totalnie wykończony, wyczerpałem wszystkie siły. Byłem dziś na komendzie policji, w saunie i w grobie. Choćby moje narządy osiągnęły stan nie wiem jak bardzo stabilny, daleko im do normalności. Czuję, jak nadchodzi ciemność, muszę się pospieszyć.

– Kombinuję – potwierdzam. – Oczywiście. Zwerbowałem cię na szpiega. Przeszedłem się też do firmy Aska i spółki. Asko przypuszcza, że ukradłem jeden z ich mieczy. Z pewnością zauważyłaś je na ścianie.

– Trudno by było nie zauważyć. Asko się chyba bardzo nimi ekscytuje. W jakiś sposób mają się łączyć także z japońskimi kontaktami. Ukradłeś ten miecz?

– Pewnie, że nie.

– Asko podejrzewa, że to zrobiłeś.

W takim razie nie słyszał jeszcze o Juhanim, myślę. Czy kiedy usłyszysz, zażąda, by zwrócili mu miecz? A jeśli to zrobią, mam znów bać się poćwiartowania?

– Co jeszcze podejrzewa? – pytam.

– Że nie zrezygnujesz ze mnie ot tak, bez trudności.

– Tak powiedział?

– To usłyszałam głównie między słowami.

Przypomina mi się, co Sanni powiedziała o tym, że nagle się przebudziła i że widzi sprawy inaczej.

– Nie dziwi mnie to – mówię. – Widzi w tobie spory potencjał.

– A ty, Jaakko? Co ty widzisz?

Śliczną i ambitną kobietę o rudych włosach i błyszczących łydkach, której albo ufam, albo nie.

– Które miejsce zaproponowałaś jako pierwsze do zbiorów? – pytam.

Sanni patrzy na mnie. Nie potrafię powiedzieć, czy w tym spojrzeniu więcej jest chłodu osoby rozczarowanej faktem, że jej pytanie zostało zignorowane, czy raczej zadumy nad tym, ile różnych rzeczy mieści się w naszej współpracy.

– Onkamaa – odpowiada. – To dobre połączenie: bór sosnowy, skraj pola, dzika łąka, zarośla, kilka dobrych wzgórz i do tego jeszcze punkty wyrębu. To najlepsze miejsce, a jeśli pomyśleć, że wybierzemy się tam zaraz po deszczu, a niewykluczone, że już w trakcie...

– W trakcie deszczu?

Sanni kiwa głową.

– Asko powiedział, że teraz mam do czynienia z prawdziwymi mężczyznami.

– Tak ci powiedział?

– Potraktowałam to neutralnie z punktu widzenia płci. Uznałam, że chodzi mu o to, że frajerzy nie muszą ruszać tyłków.

– Właśnie – rzucam i zbieram siły. Już samo siedzenie wymaga ode mnie sporego wysiłku. Odchyłam się na oparcie fotela. Skutek jest dwojaki: z jednej strony mam wsparcie, ale też chce mi się spać. Fotel jest miękki, pochłania mnie. Pokój wydaje się ciemniejszy niż jeszcze przed minutą. – Z pewnością o to mu chodzi. Jaka jest najnowsza prognoza?

– Jutro mają być ulewy już po południu.

– I jutro zabierasz gościa do lasu?

– Jeśli pogoda na to pozwoli, jeśli gość przyleci, jeśli Asko tak zdecyduje, jeśli...

– Chwileczkę – przerywam jej. – Ty, Asko, pan Japonia? Nikt więcej?

Sanni chyba zaczyna coś sobie przypominać.

– Skoro o tym mówisz... Sama się trochę zdziwiłam, że wynajmujemy minibus, skoro ma być nas trójka i zmieścilibyśmy się nawet do mojego auta. Ale Asko liczył z pewnością również Juhaną i Juhaniego. Wtedy byłaby nas piątka.

Zastanawiam się przez chwilę. Juhana i Juhani nie pójda oczywiście na grzyby. Ale Asko może tego nie oczekuje. A zatem musi mieć na myśli innych pasażerów.

– Napisz do mnie esemesa od razu, jak się dowiesz – proszę. – To ważne. Albo może być ważne.

Sanni patrzy na mnie. Milczy. Jej oczy są ukryte w cieniu, ale dostrzegam w nich błysk, a w pozycji głowy wyczuwam nieme pytanie. Jestem tak zmęczony, że centymetr po centymetrze wypuszczam brzuch na wolność. Choć

tłumaczyłem sobie, że to bez sensu, konsekwentnie wciągałem swoją piłkę plażową, usiłowałem naprężyć piersi i nabijać mięśnie, lecz w tym momencie ten wysiłek mnie przerasta. Zielony pagórek, który mam w miejscu talii, połyskuje w miękkim świetle.

Są w życiu chwile, kiedy czysta żenada wieku średniego jest nawet straszniejsza od śmierci. Wiem, o czym mówię. Teraz jest taka chwila. Nie sądzę, żeby Sanni oczekiwała, że powiem coś na swoją obronę, bo i co miałbym powiedzieć? „Byłem w domu w czasie obiadu. Lubiłem sobie podjeść. Mam słabość do pączków z lukrem. Umrę tłustą śmiercią”.

– Co stanie się potem?

Pytanie Sanni wyciąg mnie z półletargu i uzalania się nad sobą, z próżnych samooskarżeń.

– Wtedy będziemy mieć lepsze rozeznanie, co Asko konkretnie zamierza – odpowiadam. – Uzyskamy lepszy całościowy obraz sprawy. I uratujemy firmę.

Fryzura Sanni zasłania jej twarz bardzo skutecznie, światło pada na nią z tyłu i nieco od góry, włosy tworzą po bokach szczelne zasłony.

– Zamierzasz odpowiedzieć na moje pytanie? – nie daje za wygraną.

Patrzę tam, gdzie, jak przypuszczam, znajdują się jej oczy.

– Asko ma rację – mówię z przekonaniem. – Nie zamierzam rezygnować z ciebie ot tak, bez walki.

Sanni tłumaczy, jak zdobywać wielkie miasta krok po kroku. Oczarujemy najważniejszych właścicieli restauracji, rozpoczniemy dostawy do specjalistycznych sklepów,

zaoferujemy podróże zapoznawcze do egzotycznej Finlandii, a jeśli ktoś nie zechce przyjechać aż tutaj, zawieziemy mu fiński las osobiście. Każdy kontrahent z osobna, każda gaska z osobna, indywidualne degustacje...

– Jest jeszcze co rozwijać – ciągnie Sanni. – Zwłaszcza że odpowiedzialna za degustację Taina właśnie wyrzuciła cię na bruk.

Odpowiadam, że to tymczasowe. Nie dodaję, że mam na myśli swoje małżeństwo, a jednocześnie całe życie, którego tymczasowość została szczególnie podkreślona zatruciem, chwilowo ustabilizowanym. Mówię jeszcze, że zorganizowanie degustacji to drugorzędny problem, najpierw musimy zadbać o to, co najważniejsze.

– Sanni, muszę trochę odpocząć – rzucam, kiedy naprawdę dociera do mnie, w jakim jestem stanie.

– Masz na myśli sen?

Nim zdążę zapytać, co innego mógłbym mieć na myśli, mówiąc o odpoczynku, Sanni zeskakuje z kanapy. Otwierają się i zamykają drzwi szafy, potem słyszę jej powracające kroki. Kładzie pościel na kanapie, która jest za krótka. Duża i na pewno miękka, ale zbyt krótka. Porównuję ją do miejsca, w którym bym spał, gdybym nie zdążył umknąć siekierze. Kanapa wygląda nieźle. Zbieram w sobie siły, podnoszę się.

– Na pewno poradzisz sobie z pościelą.

– Myślę, że dam radę.

Spoglądamy na siebie. Oczy Sanni, niebieskozielone i dziwnie błyszczące w tym szarym pokoju, są takie, że instynktownie szukam do nich drogi i dopiero kiedy do nich docieram, zauważam, że znów mnie pochłonęły. I najpierw myślę, że od lat nie byłem w ten sposób z nikim innym niż

z Tainą, ale potem zadaję sobie pytanie, jaki to jest niby sposób. Idę spać, czyż nie? Przy Sanni mówię, robię i myślę rzeczy, które wpędzają mnie w popłoch. A ona prawdopodobnie to wie.

– Wiesz, gdzie jest łazienka... i kuchnia... gdybyś czegoś potrzebował.

– Dziękuję, Sanni. Dobranoc.

– Dobranoc.

I znów patrzymy na siebie, i znów mija kilka dziwnych, cichych sekund.

Potem pytam o to, co mnie dręczyło.

– Jaką mogę mieć pewność, czy nie przeprowadzasz takich samych rozmów z Askiem?

– Przecież przeprowadzam – odpowiada Sanni. – Ale póki co ty płacisz lepiej.

Choć jestem wykończony, wzdrygam się ze zdumienia. Widzę na jej twarzy uśmiech.

– Tylko się z tobą drocę, Jaakko – mówi i odwraca się. Już zniknęła za drzwiami, kiedy słyszę: – Ja też widzę w tobie duży potencjał.

ZNAM:

NORIYUKI KAKUTAMA

KUSUO YUHARA

DAISUKE OKIMASA

MORIAKI TAKETOMO

AKIHIRO HASHIMOTO

NIE ZNAM:

SHIGEYUKI TSUKEHARA

W porannym świetle drzewa, trawnik i krzewy zielenieją, wszystkie liście, źdźbła i łodygi otrzymują każde z osobna własną niepowtarzalną barwę. Z prawa na lewo, ze wschodu na zachód, z sekundy na sekundę, z minuty na minutę w ogrodzie rozpala się ogień światła, kiedy słońce poranka uderza w kolejne kwiaty, i pełnie coraz dalej, wprawiając całą przestrzeń w błyszczący, gorejący, wznoszący się wyżej i wyżej strumień tysiąca płomieni.

Wracam wzrokiem z okna do kuchennego stołu i ponownie do swojej listy.

Obudziłem się wcześnie, razem ze słońcem. To wcale nie takie złe uczucie. Nie jestem zmęczony. Mój umysł jest dziwnie lekki. Cieszę się, że nie umarłem. Nie wiem, czym jest szczęście, ale myślę, że ma ono ścisły związek z pozostawaniem przy życiu. Piję herbatę. To nie należy do moich zwyczajów, ale chyba nie należą do nich także bycie mordowanym albo budzenie się na kanapie należącej do Sanni.

Pomacałem swój brzuch, zebra, wyciągnąłem przed lustrem język i obejrzałem gardło. Właściwie nie boli mnie żaden organ wewnętrzny, nie czuję też mdłości, ale pewną zmianę chyba dostrzegam: niedoczynność, spadek zasilania, jakbym prowadził auto, które nadal jedzie naprzód, ale nieodwracalnie traci jednego konia mechanicznego za drugim.

Przy każdym z nazwisk dopisuję sprawowane funkcje.

Kakutama, dyrektor.

Yuhara, menadżer jakości.

Okimasa, marketing.

Taketomo, logistyka, konserwacja żywności, magazynowanie.

Hashimoto, dystrybucja.

Tsukehara... Nie wiem.

Kiedy używam przeglądarki, zauważam, że zostało mi tylko dwa procent baterii. Potrzebuję prądu, potrzebuję telefonu. Obok tostera leży ładowarka, ale to jakiś inny model, nie pasuje do mojej komórki.

Zegar ścienny pokazuje trzynaście minut po szóstej.

Jeśli wyjadę teraz, będę za moment w biurze, gdzie jeszcze nikogo nie ma, i będę miał zapasową ładowarkę na długo przed otwarciem sklepów o dziewiątej. Poza tym centrum warto unikać także z innych powodów: jeśli będę się poruszać, istnieje niebezpieczeństwo, że wpadnę na kogoś, kogo nie chcę spotkać akurat teraz, kiedy oficjalnie jestem w spa w Estonii.

Przekradam się bezszelestnie do przedpokoju, sprawdzam ofertę obuwniczą. Sanni ma nogi jak zwierzątko; jej buty są tak wąskie i krótkie, że z mojego punktu widzenia może się w nich zmieścić tylko czyjaś łapa. A ja jestem mężczyzną o wielkiej stopie. Przeglądam wszystkie buty we wszystkich szafkach. Wreszcie w schowku obok drzwi wejściowych znajduję czarne męskie kalosze w rozmiarze czterdzieści sześć. W otoczeniu innych butów wyglądają jak meble. Ktoś je nosił może jeden jedyny raz. Plamy się wyróżniają, bo poza tym kalosze aż błyszczą. Nie bardzo wiem, co o tym myśleć. Wkładam je i przeglądam się w lustrze: gumiaci do pół uda, przyciasne spodnie dresowe i słodziutki T-shirt o kuszącym dekolcie. Wolę nie myśleć, jak się prezentuję.

Przy drzwiach coś sobie uświadamiam. Nie mogę jechać własnym autem, nikt nie może mnie tak zobaczyć. Na stoliku w przedpokoju są kluczyki Sanni. Zdejmuję kalosze, wracam do kuchni, zostawiam kartkę z życzeniami miłego poranka i informacją, że pożyczam od niej samochód. Wracam do przedpokoju i wychodzę.

W samochodzie Sanni pachnie ładniej niż w moim. Bardzo możliwe, że mam w głowie tylko swoją wczorajszą podróż w fetorze śmierci. Wjeżdżam na Teollisuuskatu od tyłu, tuż przed mostem na Salmi skręcam w prawo na

Mannerheimintie i po paru minutach jestem przed naszą firmą. Nie widać innych samochodów.

W hali fabrycznej panują pustki i cisza. Dziś rano sprawia wrażenie kościoła i wiem, skąd to uczucie: to mój kościół. Mam właśnie przejść na korytarz prowadzący do biura, kiedy ponad drzwiami suszarni dostrzegam pomarańczową strużkę światła. Nie słyszę szumu maszyn, suszenie dobiega więc końca, prawdopodobnie zostały ostatnie minuty. Prawie już wchodzę do środka, ale machinalnie zerkam na zegar ścienny. Obracam się na pięcie, nie mam czasu do stracenia.

Ładowarka jest na półce. Okręcam ją kabelkiem, wychodzę i nagle słyszę czyjeś kroki. Rozpoznaję ich swobodny rytm. Odprężam się, na pewno zdołam wszystko wyjaśnić. Podążam w kierunku kroków, zbliżam się od prawej strony nadchodzącego i witam go serdecznie.

Olli przecinał halę z wielką stanowczością, ale teraz przystaje. Obraca się. Światło z okien hali fabrycznej oblewa go od tyłu. Olli nic nie mówi i jak zawsze, kiedy udaje mu się milczeć, naprawdę wygląda jak wcielenie George'a Clooneya. To wrażenie znika dopiero, kiedy otwiera usta. Zaczynam rozumieć, skąd się wzięły jego rozliczne rozwody: widzę już początkowe, środkowe i końcowe fazy związków – wielkie marzenia, totalne nieporozumienia i krachy.

– Dzień dobry – rozpoczynam.

– Coś nie tak? – pyta.

– Nie – odpowiadam instynktownie. – Oczywiście, że nie.

– Wcześniej tu jesteś.

W jego stwierdzeniu kryje się pytanie, rozumiem to.

– Musiałem po nią przyjechać. – Unoszę dłoń z ładowarką.

Nie wiem, czy widzi, co mam w ręce, ale może to nie jest

ważne. Ważne z kolei jest... – Olli, musimy pogadać.

Nie reaguje ani słowem.

– No dobrze – rzucam, kiedy cisza trwa już dość długo. Stoimy w odległości jakichś czterech metrów od siebie, mniej więcej w samym środku hali. – W ogóle nie powinno mnie tu teraz być.

Milczenie.

– Powiedziałem Tainie, że pojechałem do Tallina. Bardzo cię proszę, żebyś nikomu nie mówił, że mnie tu widziałeś dziś rano. Ani dziś, ani w ogóle nigdy.

Olli momentalnie się rozluźnia, jakby jego ciało pozbyło się wielkiego ciężaru. Kilkakrotnie kiwa głową.

– Kobiety – stwierdza.

– Nie... – Chcę już rozpocząć wyjaśnienia, ale dostrzegam w tym słowie swoją szansę; to dużo lepsza opcja, tego się trzymajmy. – No właśnie. Kobiety.

– Taina cię wyrzuciła.

To nie było pytanie. Olli jest już drugą osobą, która zakłada, że Taina mnie wyrzuciła. Dlaczego nie na odwrót? Dlaczego to ja nie mógłbym jej wyrzucić?

– I co, chce się teraz zejść z tym swoim kochankiem? – pyta na jednym wdechu.

– Trudno to stwierdzić – odpowiadam i już mam wyjaśniać pierwsze nieporozumienie, kiedy Olli podrzuca kolejne:

– No to będziesz mieć w Tallinie wolną rękę. Tak to jest. Jak jedno, to i drugie. Mogę ci dać parę adresów.

– Dzięki, właściwie... – zaczynam, ale dochodzę do wniosku, że jeśli potwierdzę wszystko, co powie Olli, uda mi się zarówno przyspieszyć rozmowę, jak i poprowadzić ją

w tym kierunku, który mi odpowiada. – Parę adresów rzeczywiście by się przydało.

– Tym się wychodzi, czym się weszło – stwierdza Olli. – I na odwrót. Taina zostanie w firmie?

To pytanie autentycznie mnie zaskakuje.

– Słucham?

– Jeśli babka grzmoci kierowcę, to chyba nie można jej tu trzymać?

Patrzę na Ollego.

– Kierowcę?

Olli łączy obie dłonie, kciukiem jednej ręki masuje dołek pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym drugiej ręki. Patrzy mi najpierw w oczy, potem na bok i w dół.

– Skoro już podjąłeś temat... – mówi. – Przyjrzałem się tej sprawie nieco bliżej.

– Przyjrzałeś się sprawie? – Nie jestem pewien, czy dobrze słyszę.

– Tam to robili. – Olli ruchem głowy wskazuje biuro. – Przy tej szafie z segregatorami. Petri trzymał Tainę w powietrzu, o tak... silny młody człowiek, prawdziwy ogier, pewnie z piętnaście razy w nocy tak czy inaczej...

– Olli – przerywam mu. – Czy oni zauważyli, że ty... hm... że na nich patrzysz?

Kręci głową.

– Te ich jęki i piski... Jak im tam wszystko bulgotało i chlupotało...

– Mówiłeś komuś?

Olli znów patrzy mi prosto w oczy. Sprawia wrażenie zdecydowanego, stanowczego. Wygląda jak mężczyzna, który wie, co robi i dla dobra jakiej sprawy.

– W tej kwestii stoję za tobą w stu procentach.

Wymuszam na Ollim milczenie na wszystkich frontach: nie widział mnie, niczego o mnie nie słyszał, Taina i Petri to znajomi z pracy, o których życiu osobistym nie potrafi powiedzieć ani słowa – i w ogóle o niczym nie ma pojęcia. Kiedy wreszcie wychodzę, Ollemu przypomina się lista.

Pozwalam mu taką stworzyć, chociaż zegar ścienny tyka. Wskazówki gonią, z chwili na chwilę poruszają się coraz prędzej i lżej, minuty skracają się w podskokach. Olli zatopił się we wspomnieniach; widzę, jak smakuje w myślach swe kolejnej przygody. Pograżony w głębokiej zadumie, obgryza końcówkę ołówka, postukuje nią w usta. Boję się, że ponagłając go, przedłużyłbym tylko całą procedurę, a w najgorszym wypadku doprowadziłbym do konfliktu w naszych braterskich stosunkach.

Wreszcie Olli rozprostowuje plecy i czyta to, co napisał. Na lekturę paru linijek potrzebuje wielu długich minut. Robię, co w mojej mocy, żeby nie wyrwać mu z rąk świstka papieru i nie uciec biegiem na zewnątrz. Moje oczekiwanie wreszcie zostaje nagrodzone: Olli wręcza mi kartkę, przyglądając mi się od stóp do głów.

– Na twoim miejscu przed wyjazdem bym się przebrał.

Sanni miesza w talerzu płatki z jogurtem i zalewa je płynnym miodem prosto z dużego słoika. Na zewnątrz już wieje, nadchodzi deszcz. Po porannym słońcu pozostały tylko przypadkowe przebłyski wydobywające się spomiędzy gęsto

zbitych chmur. Pogoda zmieni się lada chwila. Sanni zamyka słoik z miodem, dociska oburącz pokrywkę.

– Ukradłeś mój samochód – mówi. – A teraz chcesz darmowe ciuchy.

– Pożyczyłem go. Za ubrania zapłacę. Jak tylko znajdę swój portfel.

Portfel jest albo w grobie wraz z Juhaną, albo w kontenerze na śmieci na Tervasaari. Popełniłem błędy, wiem. Ale nie mam siły się oskarżać. Działam bez przygotowania; nie jestem przyzwyczajony do chowania trupów albo niszczenia dowodów. Sytuacja jest nowa i zaskakująca. To wszystko dotyczy całego życia, czego miałem okazję gorzko doświadczyć. Wszystko wydarza się po raz pierwszy i ostatni.

– Znowu się z tobą drocę, Jaakko. Jeśli jeszcze się nie zorientowałeś.

– Miałem właśnie taką nadzieję.

– Ale muszę zapytać: dlaczego nie weźmiesz swoich rzeczy z domu w czasie, kiedy Taina jest w pracy? – chce wiedzieć Sanni. Spojrzenie niebieskozielonych oczu jest od samego rana czujne i ostre. – Czy to nie byłoby prostsze i tańsze niż kupowanie nowych?

W tej wiosce nie sposób utrzymać choćby jedną tajemnicę, myślę. Tu nawet zmarłych stawiają na baczność i dla wszystkiego musi być wytłumaczenie. Słyszę ruchy delikatnej szczęki, białe zęby miażdżą orzechy, rodzyнки, otręby i suszone owoce. Patrzę Sanni w oczy i mówię o Tallinie. Że oficjalnie tam jestem, chociaż siedzę w jej kuchni. Że nikt nie może mnie zobaczyć, nigdzie. Nie do końca potrafię

zinterpretować miny Sanni, chociaż teraz widzę jej twarz w całości. Rude włosy związała dziś w koński ogon.

– Koszulka będzie L – mówi, nabierając na łyżkę kolejną porcję musli. – Buty mniej więcej czterdzieści pięć. Dżinsy trzydzieści osiem, na długość trzydzieści dwa. Taina chyba rzeczywiście nie chce cię mieć na widoku.

– Może lepiej XL-ka, czterdzieści pięć się zgadza, dżinsy mniej więcej też. I tak, im będę dalej, tym lepiej.

– Jakie to jest uczucie?

– Nowe ubrania?

– Kiedy ktoś cię wywała.

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Sam się nad tym zastanawiam. Na razie mam wrażenie, że to dość naturalny ciąg dalszy tego, co było wcześniej.

– Nie wyglądasz na szczególnie stłamszonego rozpaczą.

Sanni już zjadła, moczy teraz w kubku sitko do herbaty. Zastanawiam się nad jej słowami.

– Chyba rzeczywiście nie jestem stłamszony.

Sitko uderza o talerz z musli, Sanni odsuwa go od siebie, kładzie łokcie po obu stronach kubka.

– Nie mów tego nikomu, ale dzień, w którym się rozwiodłam, należał do najlepszych w moim życiu.

– Obiecuję, że nie powiem.

– A najlepsze w tym wszystkim – zlizuje wargi koniuszkiem języka – było właśnie uwolnienie się. To brzmi niemal jak przyznanie się do popełnienia przestępstwa. Że rozstanie z kimś wygrywa ze wszystkim, co wam się kiedykolwiek zdarzyło, odkąd ze sobą byliście czy żyliście.

– To co czujesz, jest oczywiście czymś konkretnym – zauważam, choć myślę, że z nas dwojga akurat w tej chwili to chyba jednak ja jestem lepiej poinformowany w kwestii, co jest przestępstwem, a co nie. – Ale mówienie o czymś na głos nie jest moim zdaniem czymś najgorszym, co człowiek może zrobić.

– Czułam się taka wolna, taka szczęśliwa... – ciągnie Sanni.
– Miałam ochotę wydać przyjęcie.

– Właśnie.

Podnosi na mnie wzrok znad kubka i reflektuje się. Chyba przypomina sobie, że mówi do faceta, który pojawił się przed jej domem w samych majtkach, umorusany ziemią od stóp do głów.

– Przepraszam – rzuca. – Chcę tylko powiedzieć, że wszystko ma swoje dobre strony.

– Rozumiem – odpowiadam z pewnym przekonaniem co do swoich słów. – Prawdopodobnie masz rację. Nie zdążyłem po prostu przemyśleć sprawy z takiej perspektywy. Ale jeśli... Nie jestem stłamszony rozpaczą, jak się wyraziłaś. Jestem zaskoczony.

– Masz przed sobą całe życie.

Patrzę na nią.

– No dobrze, to frazes – przyznaje. – I brzmi banalnie, ale w tych sprawach tak to jest. Daję ci słowo, że jak kiedyś spojrzysz w przeszłość i pomyślisz o Tainie, będziesz szczęśliwy, że nie wydarzyło się nic więcej.

– Nic więcej?

– Jak długo ze sobą byliście?

Dodaję lata chodzenia, siedem lat małżeństwa. Które teraz minęło. Tyle. Sam to powiedziałem. Ale to oczywiście nie jest

cała prawda. To kwestia... Dzwoni komórka. Sanni bierze ją do rąk, czyta wiadomość.

– Asko – informuje mnie. – Jego gość widocznie wylądował właśnie w Helsinkach. To oznacza, że będą w Haminie za parę godzin. Asko przyśle mi wiadomość, jak będą mnie potrzebować. Mówiłeś o tym, że...

– Przynajmniej trzy sprawy.

Muszę pożyczyć samochód. Musisz informować mnie na bieżąco. No i potrzebne mi te ciuchy.

Sanni wyrusza na zakupy ubraniowe. Kiedy wróci, pojedziemy do Summy, żeby pożyczyć samochód od jej brata. W tym czasie mogę sobie wszystko przemyśleć. Mogę myśleć o Tainie, o swoim małżeństwie. To prawda, że nie pożera mnie wielka rozpacz. Wypełniały mnie wszelkie inne uczucia: byłem osłupiały, wściekły, zazdrosny, żądny zemsty, rozczarowany, urażony, byłem również obojętny. Ale wszystkie one tylko przeze mnie przemknęły, teraz nie jestem już w stanie ich uchwycić.

Czy to oznacza, że nigdy Tainy nie kochałem? Oczywiście, że nie... Chyba nie. Im dłużej o tym myślę, tym większą odczuwam niepewność. Patrząc przez okno na podwórze. Zaparkowałem swój samochód możliwie jak najbliżej budynku, od drogi widać tylko tył. Wolę nie chodzić po podwórzu, to ryzykowne, chociaż dom Sanni znajduje się przy spokojnej ulicy, która jest na dodatek ślepa. Ale miałem już okazję zauważyć, że w tym mieście informacje mogą się rozprzestrzeniać szybciej niż w najnowocześniejszej sieci światłowodowej. Poza tym dom Sanni jest przytulny.

Przytulniejszy od mojego? Początkowo sama ta myśl wydaje się nie na miejscu. Potem uprzytamniam sobie, że i ta kwestia jest tymczasowa. Jeśli będę żyć, wyprowadzę się ze swojego domu. Ale czy domem nazywam budynek, przed którym moja żona ujeżdża Petriego? Chyba nie. Prawda jest taka, że wkrótce będę nie dość, że nieżywy, to także bezdomny. Być może to powinno mną bardziej wstrząsnąć. A właśnie wcale mną nie wstrząsa.

Do dobrych stron umierania można zaliczyć to, że tyle spraw, wcześniej tak ważnych, w obliczu nadchodzącej śmierci całkowicie traci znaczenie. I wcale nie na tej zasadzie, jak to się powszechnie wydaje albo jak często się słyszy: że niby rodzina staje się wtedy bliższa, pieniądze przestają odgrywać jakąkolwiek rolę, że w człowieku rozpala się płomień boga (albo Boga) i że nagle zaczyna pojmować fenomen wieczności. W moim przypadku rodzina zmieniła się we wrogów, na pierwszym miejscu znalazł się sukces firmy, a jeśli mam mówić o płomieniu wieczności, to głównie jako o czymś takim, co zamienia Juhanę w popiół i nie przestanie się tlić, dopóki jego żar nie pochłonie koniec końców także nas, pozostałych. Przerażają mnie trochę moje myśli. Człowiek sam nie wie, co ma w głowie, zanim o tym nie pomyśli.

Sanni wjeżdża na podwórze.

Ubrania mają odpowiednie rozmiary. Nie wiem, jak to możliwe. Chyba nigdy wcześniej nie wyglądałem równie swobodnie i stylowo: przydługie jasnobrązowe szorty,

koszula w czerwono-niebieską kratę, biało-czarne adidas. Wyglądam jak dobrze sytuowany turysta.

Jedziemy po samochód. Podczas drogi właściwie się do siebie nie odzywamy. Na wszelki wypadek wyciągnąłem się na tylnym siedzeniu – w razie czego zdołam się ukryć. Kiedy dojeżdżamy do Summy, poprawiam się na siedzeniu, żeby lepiej widzieć.

– Nadłóżmy lepiej trochę drogi – proponuje Sanni. – Była żona Aska, z którą on od czasu do czasu spędza noce... o szczegóły nie pytaj... mieszka w pobliżu.

Jedziemy więc kawałek drogą prowadzącą ponad wielkimi piaskowniami z obu stron. Część z nich nie jest już eksploatowana, a na ich miejscu utworzyły się urocze oczka wodne. Na zboczach, tworzących dla nich naturalne piaszczyste plaże, rosną młode sosny. Woda jest chyba wystarczająco głęboka, by móc tam pływać – największe zbiorniki mają rozmiary podwójnych kortów tenisowych. Niewielkie zatoczki są jak miniaturki rajskich plaż z dalekich krajów. Gdybym był teraz chłopcem, to tutaj, w tych piaskach, odnalazłbym swój idealny świat i przeżywałbym niesamowite przygody.

Niebo ciemnieje, narastający wiatr uderza w korony drzew.

Sanni wjeżdża w węższą drogę po lewej stronie. Po jakichś pięciu minutach skręcamy w prawo i oto jesteśmy na miejscu. Wsiadamy, wchodzimy na teren posiadłości, zamkniętej z jednej strony żółtym drewnianym domem, a z dwóch innych – zabudowaniami gospodarczymi w tym samym kolorze. Czwarta strona, nieosłonięta, wychodzi na rzekę. Jesteśmy na skarpie, zbocze opada gwałtownie ku nurtowi,

który po ciągnącej się fali upałów prawie całkowicie wysechł. Sanni łąpie na mnie, lustruje mnie, jak to się mówi, od stóp do głów i uśmiecha się z uznaniem. Chyba podoba jej się mój nowy image, spod jej ręki.

Pojawia się Matti – nawet nie wiem, z której strony przyszedł. Pewnie spomiędzy budynku mieszkalnego i gospodarczego. Witamy się uściskiem dłoni. Jest nieco starszy od Sanni, ma intensywnie brązowe oczy, głowę łąsą jak kolano i podobnie jak jego siostra, jest szczupły i wysportowany. Najwidoczniej zdążyli wszystko omówić, bo kierujemy się prosto do garażu, znajdującego się w tylnej części jednego z budynków gospodarczych.

Wyraźnie ocenia mnie wzrokiem. Rozumiem go. Pożycza mi swoje auto, a tutaj samochód jest czymś innym niż na przykład w Helsinkach, zdążyłem się tego nauczyć. To właściwie świętość, coś bardziej świętego i nietykalnego niż... Może powinienem go pocieszyć – również pożyczanie czyjejs żony nie udaje się całkiem bezkarnie.

Drzwi się otwierają. No, tego to się nie spodziewałem.

Lexus, model sportowy, prawie nówka. Samochód jest drogi, luksusowy, maksymalnie wypieszczony. W pierwszej chwili wpadam w przerażenie, potem uprzytamniam sobie, że na ten samochód Taina na pewno nie zwróci większej uwagi. Na pozór to zwykłe małe autko, w kolorze metalu. Dopiero po uważnym przyjrzeniu się bliżej człowiek widzi, z czym ma do czynienia, co zdradza między innymi dźwięk silnika; wystarczy nacisnąć pedał gazu choćby odrobinę mocniej, jak to przez przypadek zrobiłem, wyjeżdżając z podwórza.

Naciągam mocniej czapkę z daszkiem z logo Hamińskich Baseballistów, którą pożyczył mi Matti: gdyby Taina, zerkając w swoje lusterko wsteczne, zadała sobie odrobinę trudu, dostrzegłaby obcego faceta w obcym samochodzie. Nie sędzę, żeby miała to robić: ja jestem przecież w Tallinie, a nikogo innego nie interesują jej poczynania.

Po drugiej stronie samochodu deszcz uderza już z całą mocą o ziemię. Zastanawiam się, jak opowiedzieć Sanni o swojej śmierci. Nie mogę tego odwlekać w nieskończoność. Wymieniała dzisiaj nazwy większych europejskich miast, opowiadała o nich i o grzybach, używając czasu przyszłego.

Słuchałem jej i czułem, jak bołą mnie obie nerki, jak bardzo są wrażliwe na wszelki dotyk. Stan stabilny nie jest stanem stałym. Oczywiście, że nie. Nie ma nic stałego: widzę Tainę.

Zrzuca z ramienia czarną sportową torbę do bagażnika i siada za kierownicą. Wyjeżdża na wstecznym z podwórza – z podwórza przed naszym byłym wspólnym domem. Kiedy skręca, opony żłobią w ziemi wgłębienia i ruszamy w drogę. Taina jest ubrana z równie swobodną elegancją jak ja.

I niemal natychmiast nadchodzi to, co nam obiecano: deszcz z prawdziwego zdarzenia.

Najpierw pękate, zuchwałe pierwsze krople zapowiadające ciąg dalszy. Potem coraz regularniej, coraz gęściej. Wkrótce ziemia staje się czarna, asfalt zaczyna błyszczeć, strugę światła lamp rozbijają niezliczone drobiny. Pada, nareszcie pada! Po wielu dniach duchoty deszcz przynosi poczucie wolności i ulgę, nie tylko strudzonemu powietrzu. Niemal słyszę, jak w lesie rosną grzyby.

Taina prowadzi spokojnie, bez niespodzianek. Jazda za nią to łatwizna, myślę, kiedy rozbrzmiewa sygnał telefonu. Spoglądam na ekran, odbieram.

– Cześć, miśku – mówi. – Czy mój pączusio jest już w Tallinie?

Tylne światła jej samochodu połyskują sto kilkadziesiąt metrów przede mną.

– Jeszcze nie.

– Tam też pada?

– Leje jak z cebra – odpowiadam. – Pomyślałem właśnie, że to dobrze dla grzybów.

– Nie mogłoby być lepiej. Ale ty nie musisz teraz myśleć o grzybach. Jak ci minął wieczór?

Cudownie: grzebałem mężczyznę, zataczałem się w krzakach, spałem na kanapie...

– Zaliczyłem parę sprawdzonych miejscówek – mówię. – A przy okazji... pojawiło się kilka niespodzianek.

– Brzmi nieźle. I słyszę, że jesteś na promie, zgiełk taki i szumi...

– Pada. Słuchaj, ciągle zapominam ci o tym powiedzieć: Sanni złożyła wypowiedzenie.

Miga jej lewy kierunkowskaz, samochód Tainy się zatrzymuje i woda spod kół auta jadącego z naprzeciwka obryzguje mu przednią szybę.

– Ach tak? – Taina nie brzmi jak współwłaścicielka firmy, z której znika właśnie jedna z najważniejszych pracownic. – Cóż, z pewnością to przemyślała i robi to, co uważa za słuszne.

– Tak się zastanawiam... To zdarzyło się tak niespodziewanie i w niekorzystnym momencie, więc może wpłynąć dość mocno na naszą działalność. Sanni odpowiadała za zbiory...

– Już my wiemy, gdzie rosną grzyby. – Taina odpowiada tak szybko, że chyba samą ją to zaskakuje. Jedziemy wzdłuż rynku, powoli. Kierowcy przed nami szukają miejsc do zaparkowania albo usiłują jakoś stąd wyjechać. Praktycznie rzecz biorąc, ruch zamarł. – Chciałam tylko powiedzieć, że Sanni niekoniecznie będzie nam w ogóle potrzebna.

– Niewykluczone, że chce przejść do konkurencji – dodaję. – Do Grzybów Hamińskich. Kojarzysz tego Aska. I całą resztę.

– Kojarzę, kojarzę. Nie zamierzam się nimi zamartwiać. Co taka Sanni może im dać? Nic specjalnego. Niczego dzięki niej nie osiągną. Ale, kochanie, mówię to po raz ostatni. Znowu się

nakręcasz, a powinieneś wypoczywać. Muszę kończyć. Miłego weekendu!

Deszcz za przednią szybą zamienia się w strugę srebra. Znowu ruszamy.

– Taina?

– Tak?

– Wydaje mi się, że między nami coś się dzieje – mówię. – Nie wiem, oczywiście, czy stało się tak już dawno temu, a ja dopiero teraz to zauważam... ale takie mam w tej chwili uczucie.

Prosto, zakręt w lewo, skręt na prawo; Taina zamierza zaparkować przy chodniku niemal w tym samym miejscu co ja, kiedy byłem ostatnio w Seurahuone. Mijam jej samochód, słyszę, jak mówi:

– Naprawdę potrzebujesz teraz wolnego, *honey*. Miłego dnia. Zadzwoń niedługo.

Nadjeżdżają Japończycy. Mikrobus skręca przed hotelem Seurahuone. Nie dziwi mnie, że na miejscu kierowcy siedzi Petri. Przyglądam się, jak towarzystwo wychodzi z samochodu. Rozpoznaję wszystkich, z wyjątkiem jednego mężczyzny. Zakładam, że to on nazywa się Shigeyuki Tsukehara. Jest w tym samym wieku co dobrze mi znany dyrektor Kakutama i sprawia podobne wrażenie eleganckiego dżentelmena. Wiekowo sytuują się gdzieś pomiędzy pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, obaj mają na sobie ciemne garnitury i krawaty.

Petri biega z parasolem to tu, to tam, próbuje chronić mężczyzn i walizki przed deszczem. Ma co robić, bo mężczyzn

jest sześciu, a z walizkami nastąpiło jakieś zamieszanie. Petri goni, coś komuś wręcza, coś od kogoś bierze. Wreszcie przestaje się rzucać i stoi po prostu w deszczu. Wygląda, jakby dopłynął w ubraniach do portu, który okazał się na dodatek niewłaściwy.

Taina stoi już przed drzwiami. Wita się z gośćmi pocałunkiem w policzek, kiedy ci wchodzi do budynku. Po chwili ulica jest pusta; wszyscy znikają wewnątrz Seurahuone. Domyślam się, że to na ich powitanie Taina wygłasza teraz mowę.

Tylko Petri stoi wciąż na ulicy, bezradnie otrząsając z deszczu parasol. Coś dzieje się z jego postawą. Ramiona opadają, sylwetka staje się jakby węższa. Nie sprawia wrażenia mężczyzny, który zamierza wysadzić biznes grzybowy w kosmos mocą własnej innowacyjności. Przez podejrzenie długą chwilę stoi pod dachem, patrzy w deszcz i na swoje nogi, a potem się odwraca i wchodzi do środka.

Sprawa – jak widzę to teraz – przedstawia się tak, że stworzymy trzy obozy:

1) Jest firma, którą reprezentuję i do której jeszcze przed chwilą należeli także Taina i Petri.

2) Jest pilotowany przez Tainę i Petriego nowy projekt, którego celem jest sprzątnięcie mi klientów prosto z reprezentowanej przeze mnie firmy i tym samym uruchomienie własnej działalności.

3) Są Grzyby Hamińskie, nowa firma prowadzona przez Aska (a wcześniej także przez Juhaniego i Juhanę), która prawdopodobnie zamierza poprzez nową osobę, Tsukeharę, przenieść całą współpracę na całkowicie nowe tory

i pozostawić zarówno mnie, jak i Tainę oraz Petriego z ręką w nocniku.

Deszcz stuka o dach samochodu. Mija godzina, podczas której doświadczam przeszywającego bólu nerek i silnych zawrotów głowy, a po dojściu do siebie kombinuję, jak zdołam przeprowadzić naturalną i wyważoną dyskusję w cztery oczy z Kakutamą. Taina i Petri są w Seurahuone. Biorę pod uwagę opcję schodów pożarowych i wspinaczki, ale blaszany dach jest śliski od deszczu, a moja kondycja fizyczna i to, że nie znam numeru pokoju Kakutamy, nie dodają mi odwagi. Poza tym pamiętam, co wymusnęło się Tainie: *Już my wiemy, gdzie rosną grzyby.*

Petri wraca do mikrobusu, uruchamia silnik. Nadchodzi moja żona, przebrana w przeciwdeszczowy komplet z goretexu i solidne buty. Petri otwiera przed nią drzwi, Taina wsiada, drzwi się zamykają. Taina natychmiast zaczyna wściekle wymachiwać rękami.

Po chwili pojawiają się Japończycy. Również oni mają na sobie ubrania dostosowane do pogody. Zwracam uwagę na jaskrawoczerwoną kurtkę Kakutamy, to jedyna taka w całej ekipie. Taina wskazuje mężczyznom miejsca. Ręce poruszają się teraz łagodniej, wolniej.

Mikrobus wyprowadza nas z miasta.

Taina być może wyspecjalizowała się w różnych aplikacjach związanych z grzybobraniem, przepisach, sprawach degustacji i w tak zwanym produkcie końcowym, ale też bardzo sprawnie porusza się po lesie. O mnie nie można tego powiedzieć.

Jesteśmy gdzieś pomiędzy Uski a Kattilainen, przejechaliśmy długie odcinki wciąż coraz węższymi drogami

w coraz głębszym lesie i nie jestem już nawet pewien kierunków świata. Za sprawą deszczu położenie słońca na niebie pozostaje tajemnicą. Po wyłączeniu świateł nie widzę już mikrobusa. Kiedy skręciliśmy na tę ostatnią dróżkę, zgasilem reflektory.

Na szczęście cała ekipa jest dość kolorowa. W głębi lasu dostrzegam jakiś ruch i przebłyski. Tym, czego szukam wzrokiem, jest czerwona kurtka. Wreszcie ją znajduję. Jej właściciel zdążył wspiąć się za innymi na wzgórze. Na próżno spoglądam na siedzenie obok. Nie wziąłem ze sobą swojej praktycznej kurtki z warstwą wodoodporną, jestem wystrojony w ciuchy dopiero co zakupione przez Sanni. Kurtka Kakutamy czerwienieje na końcu szeregu.

Ciężki deszcz uderza o ziemię. Powietrze jest ciepłe i wilgotne, ziemia mokra i grząska. Moje nowe białe adidas-y zatapiają się w chaszczech.

Jeśli poruszanie się w terenie kiedyś było dla mnie uciążliwe, to teraz sprawia z wielokrotną trudność. Z przerażeniem patrzę na dystans dzielący mnie od reszty. Każdy krok z osobna powoduje duszności, wymaga osobnego wysiłku. Boli mnie brzuch, rozsada mnie z boku – nie wiem, czy znów chodzi o nerki, czy o coś innego; być może mam jakieś nowe dolegliwości, na przykład zapadły mi się płuca. Idę zgięty wół, co jakiś czas muszę przytrzymać się sosen.

Zapach lasu jest intensywny i bogaty, mieszanina nowego urodzaju i starej gnijącej ściółki. Dotarcie do grupy to proces nie tylko wyczerpujący, ale też skomplikowany. Nie jestem całkiem pewien, z której strony nadszedłem, gdzie zostawiłem pożyczony samochód. Nie sądzę, by Matti

szczególnie się ucieszył, gdybym mu powiedział, że zgubiłem jego lexusa w lesie.

Kawałek pleców Kakutamy prześlizguje się pomiędzy pniami sosen, jakby ktoś mrugał czerwonymi światłami. Staram się zmierzać w jego kierunku, pozostając niewidocznym w takim stopniu, jak to możliwe. Taina zdecydowanie prowadzi swą drużynę naprzód. Szereg rozciągnął się już na dziesiątki metrów, tak to się dzieje w lesie. Widok się otwiera, docieramy na teren wyrębu. Wielkie kamienie przywodzą na myśl rzeźby z Wysp Wielkanocnych. Stawiając długie kroki, przechodzę z jednego do następnego i po każdym takim odcinku zbliżam się do Kakutamy o parę metrów. Dzieli nas taka odległość, że właściwie mógłbym zawołać go po imieniu, ale nie mogę tego zrobić.

Z dwóch powodów: nie udaje mi się wciągnąć wystarczająco dużo powietrza i choćbym nawet zdołał to zrobić, krzyki są nie na miejscu. Również inni dosłyszeliby mój głos. Jeszcze jeden kamień i jeszcze jeden... Odgłosy moich kroków w ogóle mnie nie martwią. Grupowicze depczą po uschłych gałązkach i poszyciu, prawdopodobnie nie słyszą nic poza hałasami, jakie sami wywołują. Kakutama jest w moim zasięgu, ale muszę działać szybko. Bez porządnej dawki tlenu długo nie pociągnę. Kiedy wchodzę do głębokiego wgłębienia, wyżłobionego przez leśną maszynę – do czegoś w rodzaju krótkiego rowu – wpadam na pewien pomysł. Ziemia jest pęknięta, wyszukuję kilka kamyków odpowiedniej wielkości i celuję.

Za pierwszym razem pułuję, ale Kakutama zwalnia; ogląda się na boki, lecz nie za siebie. Może człowiek wyczuwa

przedmioty lecące w jego stronę, chociaż ich nie widzi. Nie mogę całkowicie się wychylić, nie chcę, by dojrzał mnie ktokolwiek poza nim. Dlatego muszę sprawić, by Kakutama – i nikt inny – odwrócił się twarzą do głazu i jeszcze mnie za nim dostrzegł.

Rzucam drugi kamień. Trafiam mniej więcej w środek czerwonej kurtki.

Kakutama wydaje z siebie jęknięcie, które jest stanowczo zbyt głośne. Obraca się, wygląda teraz tak, jak wyglądają przestraszeni bohaterowie horrorów. Również inni się odwracają, muszę paść na ziemię. Słyszę ożywioną dyskusję, zarówno po japońsku, jak i po angielsku. Rozpoznaję głos Kakutamy, potem Tainy. Dochodzą mnie słowa *bird* i *maybe*. Może ptak.

Ziemia jest mokra, a biorąc pod uwagę falę minionych upałów, również zaskakująco chłodna. Deszcz pada równomiernie, jest niewyczerpany i niezmienny. Czuję, jak wilgoć i chłód ziemi przenikają do mojego ciała z regularnością równą wodzie zapełniającej wannę; jej powierzchnia podnosi się powoli, ale pewnie. Leżenie ma jednak swoją dobrą stronę: udaje mi się oddychać.

Reszta grupy oddala się, Kakutama szuka czegoś na ziemi, może ptaka, małego otumanionego pisklaka. Ponownie zamachuję się ręką. Japończyk podnosi wzrok dopiero, kiedy gwizdzę. Niezbyt udaje mi się naśladowanie ptaka, ale w Kakutamę wyraźnie wstąpiła nadzieja. Liczy na to, że zagadkę uda się rozstrzygnąć, i wreszcie mnie dostrzega.

Znam tę minę z filmowych horrorów, ale tak jest tylko przez chwilę. Dziękuję swemu szczęściu, gdy przerażenie na twarzy Kakutamy przeradza się w zdumienie, a potem znowu

w niepewność. Zamierza coś powiedzieć, ale w porę udaje mi się zasłonić palcem usta. Martwiejemy na dobre kilka sekund wypełnionych po brzegi deszczem.

Kiedy mam już pewność, że Kakutama nie potrzebuje mojego wskazującego palca, by zachować milczenie, gestem tej samej ręki skłaniam go do podejścia bliżej. Wyraźnie się waha, zerka na pozostałych – ci, co idą najszybciej, są już prawie po drugiej stronie wyrębu. Rozumiem jego zdumienie, ale czasu jest mało. Ubijam ręką w powietrzu niewidzialną śmietaną. Kakutama potakuje, maszeruje w stronę mojego kamienia, każdy jego krok to dla mnie osobny powód do stresu.

Jednocześnie uprzytamniam sobie, w jakim jeszcze sensie nasze dzisiejsze spotkanie kompletnie odbiega od wszystkich poprzednich: nie mamy do dyspozycji osób lepiej władających angielskim. Być może nie mówię aż tak źle jak kierowca rajdowy czy pijany turysta – ale jednak dość topornie; posługuję się bardzo ograniczonym słownictwem. Z kolei wymowa Kakutamy jest tak specyficzna, że trudno mi cokolwiek zrozumieć nawet wówczas, gdy warunki do rozmowy są optymalne.

Wyszedł już chyba z największego szoku; jego oczy są ciekawe i zaskoczone, ale bije z nich serdeczność.

Podajemy sobie dłonie.

Inni nie mogą wiedzieć, że się spotkaliśmy, mówię.

Kakutama potakuje.

Co się dzieje?

To długa historia, odpowiadam. Potrzebuję pańskiej pomocy.

Pańska żona mówi, że już pana nie ma.

Ona już nie jest moją żoną.

Patrzy na mnie, potem w kierunku zmierzającej dalej grupy, a potem ponownie na mnie. Odnoszę wrażenie, że dodał właśnie jeden do jednego i niezależnie od języka wychodzi na to samo. Widzę w jego oczach, że spojrzął zarówno w przeszłość, jak i w przyszłość, a potem dotarł do tej chwili bogatszy o nową wiedzę.

Dlaczego pan tu jest? Wykonuję rękami gest, który ma jasno wyrażać, że mam na myśli właśnie to miejsce, ten las.

Kakutama nie odpowiada od razu. Jest biznesmenem, który ma za sobą dziesiątki lat doświadczenia. Od wielu lat ze sobą handlowaliśmy. Zawsze mógł na mnie polegać. Moje wyceny są rozsądne, dostarczam najwyższą jakość towaru. Nigdy nie próbuję kombinować, dotrzymuję wszystkiego, co obiecuję. Kakutama podejmuje decyzję.

Nowa matsutake, mówi.

Nie od razu rozumiem, co powiedział, chociaż słowa są tylko dwa i oba z bliskiego mi obszaru. Wreszcie... To takie uczucie, jakbym miał przed sobą odwrócony domek dla lalek, a teraz nagle widzę wnętrze, pokoje i umeblowanie i... wreszcie postępowanie Tainy staje się zrozumiałe, chociaż nie znaczy to, by było choć trochę bardziej akceptowalne. Nowa odmiana. No jasne. Czasem odpowiedź jest prosta.

Dziękuję, mówię najpierw. A potem... Zbieram się, by sformułować w sposób jak najprostszy i najlepiej uporządkowany to, co myślę i do czego zmierzam.

Zajmę się grzybami, mówię. Przedstawię państwu ofertę. Dziś wieczorem.

Kakutama znów spogląda w kierunku pozostałych.

Da pan ofertę, mówi. I odchodzi.

Oddala się. Nie ma innego wyjścia. Tamci przecięli już polanę i zniknęli w leśnym gąszczu.

Łazienka jest równocześnie znajoma i w jakiś nieokreślony sposób obca. Moje spojrzenie wędruje od drzwi ku oknu, z okna do prysznicu.

Całość jest utrzymana w różach i naturalnej bieli, zgodnie z projektem Tainy. Również większość rzeczy należy do niej: kolorowe butelki, puszkki, tuby i słoiczki, które zapełniają półki i dolny blat – wszystko to jest własnością mojej byłej żony, która teraz krąży po lesie i nawet jeśli o mnie myśli, to sądzi, że wypoczywam sobie w kraju naszego południowego sąsiada albo w innym miejscu daleko stąd. A ja wciąż jestem tutaj.

Golę brodę na golasa, prawdopodobnie po raz ostatni przed tym lustrem. Biorąc pod uwagę okoliczności, czuję się nieźle. Chyba nawet trochę zeszczuplałem. Staję profilem do lustra; brzuch jest w dalszym ciągu okrągły i nieznośnie opada na dół, ale może w odrobinę mniejszych gabarytach. Prostuję się, moje barki znów odnalazły odpowiednią wysokość. Naprężam mięśnie ramion, zupełnie jakbym w nich dostrzegał bicepsy. Staję znów twarzą do lustra, wciągam powietrze w płuca i powoli je wypuszczam. Myślę, że może Sanni ma rację.

Opłukuję pod prysznicem resztki piany po goleniu. Po przygodzie w lesie to jak nagroda. Szacuję, że mam około godziny, nawet jeśli Taina postanowiłaby wrócić do domu natychmiast po odstawieniu Japończyków do Seurahuone. Prawdopodobnie wciąż jednak walczą z kolonią grzybów i Taina nie zdąży przyjechać, nim obeschną ślady.

Dzięki znajomej wieży radiowej udało mi się określić swoje położenie w lesie. Pojąłem, gdzie jestem, gdzie zostawiłem samochód, gdzie mniej więcej rosną nowe kolonie. Znajdziemy je na pewno, gdy nadejdzie na to pora.

Przechodzę do sypialni. Z szuflady stolika nocnego wydaję butelkę płynu po goleniu. Wciąż jest w nieotwartym opakowaniu. Zrywam ochronny plastik i spryskuję się w okolicach brody i szyi. Mam dwa garnitury: jeden do pracy, drugi na większe uroczystości. Wybieram ten drugi, do tego biała koszula i krawat w niebiesko-zielone pasy. Ubieram się i pakuję torbę. Wrzucam do niej dwa zestawy odzieży na zmianę.

Nie sądzę, żebym potrzebował czegokolwiek więcej. Nie dlatego, że umrę – mam silne postanowienie żyć przynajmniej do końca pierwszego rzutu zbiorów – lecz dlatego, że gdy Kakutama wraz z partnerami wróci do Japonii, Taina będzie wiedzieć, że wciąż jestem przy życiu i na dodatek w pobliżu. Na tym etapie będziemy już mieli za sobą wszelkie ustalenia. Mniej lub bardziej bolesne.

Wyglądam i pachnę lepiej niż w przeciągu wielu ostatnich lat, choć to wyłącznie moja ocena. Odwracam wzrok od lustra na okno. Niebo ma nadal kolor stalowoczarny, ale deszcz zrobił sobie przerwę. Wycieram podłogę, sprzątam z grubsza

po sobie. Pilnuję, by nie zostawić żadnych śladów po swojej wizycie. Ruszając na dół, być może nawet nucę pod nosem.

Kiedy jestem na parterze, śpiewam już na cały głos. To kawałek mojego ulubionego zespołu z czasów młodości, cięższy rock. Nie znam wszystkich słów, ale co z tego? Słyszę gitarę, przechodzę do refrenu, robię kilka tanecznych kroków. Okręcam się raz, drugi. Trochę mi wiruje w głowie, ale kiedy zerkam w lustro w przedpokoju, stwierdzam, że warto było. Jestem w szczytowej formie, jestem dżentelmenem na skalę międzynarodową, a do tego ten styl i ta pewność siebie, życie pełną pierśią! Aż sam się dziwię, gdzie byłem przez te wszystkie lata.

Sięgam po torbę, przerzucam ją przez ramię, jeszcze tylko ostatni rzut oka na wnętrze domu: wszystko wygląda jak przed moim przyjściem. Otwieram drzwi, mówiąc jednocześnie na głos coś w stylu „Ou jee, bejbi”, i widzę Tikkanena, który stoi obok lexusa.

– Zmiana stylu, widzę – mówi. – I teraz bardziej na sportowo?

Schodzę w dół, idę do niego w swoim garniturze, otwieram pilotem drzwi samochodu. Wrzucam torbę z ciuchami na miejsce pasażera i sam czuję, jak na przedmieściach miasteczka na wybrzeżu pachnie mój płyn po goleniu.

Cały blask prysnął.

Zniknął wraz z wiatrem uderzającym od morza, przepadł bezpowrotnie w identyfikatorze dyndającym na szyi policjanta. Tikkanen wskazuje ruchem głowy lexusa.

– I od razu zdecydowanie bardziej na sportowo?

Zupełnie jakby jako policjant nie mógł się dowiedzieć, do kogo należy ten wóz. Już to wie, nie mam co do tego

wątpliwości.

– Pożyczony – rzucam.

– A co się stało z własnym?

– Usterka – odpowiadam zgodnie z prawdą. Usterka polega na tym, że moja żona by go rozpoznała.

– Stylowy garnitur. – Pochwała Tikkanena wydaje się niewymuszona. Podejrzewam, że to jego wielka zaleta jako urzędnika: jest zwyczajnie ludzki. – Chyba nie wyjeżdża pan w podróż?

– Oczywiście, że nie. Śledzi mnie pan?

Patrzy na mnie bez słowa.

– Sam się zastanawiam, czy nie powinienem – odzywa się wreszcie. – Odnoszę wrażenie, że wokół pana dużo się dzieje.

Czekam. Nie zamierzam dawać mu ani jednej nadprogramowej karty. Nie mogę, a on zapewne wcale tego nie potrzebuje.

– Rozmawialiśmy już o zaginięciu Juhaniego Alatalo – mówi Tikkanen, nie spuszczać ze mnie wzroku. – I oczywiście o jego odnalezieniu. Rozmawialiśmy o tym, że jego przyjaciele być może uważają pana za winnego zaginięcia. Interesujące, pomyślałem wtedy, ale uznałem też, że z wielkim prawdopodobieństwem w grę wchodzi najróżniejsze zbiegi okoliczności. Jak to często w życiu. Później otrzymałem informację, że zaginął także Juhana Nevalainen. Ale zanim zniknął, oświadczył, że idzie pana zabić. Teraz nie mogę się nijak z nim skontaktować, a pan ubrał się jak na targi mody w Mediolanie i jeździ sobie nówką z torbą na przednim siedzeniu, a w tej torbie na moje oko mieści się tylko ubranie na kilka dni. Jak pan sądzi, co powinienem o tym wszystkim myśleć?

Zastanawiam się nad jego słowami.

– Informację? – pytam. – Jaką informację i od kogo?

– Nie mogę o tym mówić, na pewno pan to rozumie.

– Czyli od Aska – stwierdzam i nim Tikkanen zdąży cokolwiek odpowiedzieć, dodaję: – Albo, co jeszcze gorsze, dostał pan wiadomość anonimową.

Tikkanen krzyżuje ręce na piersi.

– I pańskim zdaniem ta wiadomość jest bezpodstawna?

Nie lubię kłamstw. Nie chcę kłamać.

– Coś w tym jest, niewątpliwie. W tym sensie, że o ile mi wiadomo, zarówno Juhani Alatalo, jak i Juhana Nevalainen nie przepadają za mną. I jeśli się nie mylę, ich niechęć do mnie jest dość silna. Jednocześnie muszę stwierdzić, że tego nie rozumiem, w najmniejszym stopniu. O ile mi wiadomo, nigdy nic im nie zrobiłem. Jak pan wie, nawet nie ukradłem tego słynnego miecza, z którego chyba wzięły początek wszystkie nieporozumienia.

– Wraca pan do miecza.

– Nie ukradłem go.

– Oczywiście, że nie – przytakuje Tikkanen.

Otoczył nas mrok, chmury zamieniły się w masę z betonu, za chwilę lunie na nas deszcz z siłą spadającego sufitu. Ostatnie słowa Tikkanena wciąż wiszą w powietrzu, obaj równie dobrze rozumiemy ich znaczenie. On chce, żebym wiedział, że on wie także coś innego poza tym, o czym w najlepsze rozmawiamy – mówi mi więcej, niż mówi.

– I co teraz? – Kiwa głową, patrząc na mój krawat.

– Negocjacje biznesowe – mówię.

– Tu, w Haminie?

– Donikąd się nie wybieram. W torbie mam parę luźniejszych ciuchów. Dżinsy, T-shirty, takie tam.

Przez chwilę milczy.

– Ważne te negocjacje? – pyta w końcu.

– Można tak powiedzieć.

– A w tym samym czasie konkurenci znikają. – Drapie się po policzku. Jego bródka tworzy wokół ust idealny kwadrat, wyrównywanie jej na pewno drażni skórę. – Niezły przypadek.

Patrzę mu prosto w oczu.

– Nie prosiłem się o nic takiego – mówię.

– Nie wiem, czy w życiu trzeba o cokolwiek prosić – odpowiada Tikkanen, a jego głos jest znów głosem przyjaciela: niewymuszony, bezpośredni, głos człowieka o dobrych intencjach. – Czasem odnoszę wrażenie, że dostajemy najróżniejsze rzeczy bez proszenia o nie.

Czuję krople na policzkach i czubku głowy. Unoszę rękę, jakbym chciał pokazać, że badam powietrze i zauważam w nim deszcz.

– Mogę już jechać? – pytam.

– Ależ proszę.

Słyszę, oczywiście, jego słowa, ale nie reaguję natychmiast. Wreszcie otwieram drzwi samochodu.

– Zamierza pan mnie śledzić?

– Czy powiedział mi pan wszystko, co pan wie?

Patrzemy na siebie. Nie odpowiadam. Wsiadam do lexusa, uruchamiam silnik. Tikkanen stoi obok własnego samochodu, nie zważając na deszcz, który znów zaczął padać. Kiedy odjeżdżam sprzed swojego byłego domu, pilnuję się, by nie naciskać zbyt mocno pedału gazu.

Miasto się wyludniło, deszcz rozłożył na rynku swój bryzgający dywan. Budki poznikały, wygląda na to, że działają tylko dwie przyczepy z pieczywem. Okienka są otwarte, bijące z sufitów budek światło jest niczym ogień, który z magnetyczną siłą przyciąga do siebie całą resztę spowitego w szarościach świata. Niemal czuję w nosie zapach świeżego bochenka żytniego chleba, a w dłoni rączkę ząbkowanego noża; wyimaginowany nóż przenika przez twardą skórkę do miękkiej zwartej masy, czuję już niemal w ustach słodko-słony smak ciasta posmarowanego masłem...

I wiem, że nie mogę jeść żytniego pieczywa.

Nie mam pojęcia, czy chodzi o śmierć i jej skutki uboczne, czy też niespodziewane spotkanie z Tikkanenem i psychosomatyczne skutki tego spotkania, a może o połączenie jednego i drugiego – ale mój brzuch wypełniają gorące igły, podczas gdy jednocześnie czuję przenikające zimno.

Rozglądam się uważnie, z równą dokładnością sprawdzam stronę; patrzę również do tyłu. Nikt mnie nie ściga. Być może zdążyłem pogrzebać wszystkich potencjalnych kandydatów do tego zajęcia, nie licząc Tikkanena, ale akurat jego polo nigdzie nie widać.

Kiedy do wszystkich moich dolegliwości dochodzi jeszcze ból głowy, funduję sobie przystanek najpierw przed apteką, a potem przed kioskiem. Muszę zatankować: piję wodę i coca-colę, biorę paracetamol i wsuwam lody oraz czekoladę. Zalety tego typu diety są rozliczne: łatwo się przełyka, niewiele trzeba gryźć, jedzenie dosłownie rozpływa się w ustach, ból głowy słabnie, a samopoczucie natychmiast się poprawia. W moim przypadku minusów właściwie nie ma: z pewnością

nie zdążę już specjalnie przytyć, w zębach nie pojawią się dziury, a ze wszystkich problemów świata ryzyko cukrzycy martwi mnie najmniej, skoki cukru z pewnością nie mają większego znaczenia w obliczu tego, jakie „podrygi” muszę znosić. Gryzę więc czekoladę jak świeże bułeczki, połykam lody, jakbym jadł owsiankę, i popijam wszystko colą.

A potem czekam.

To nie jest łatwe. W tej chwili właśnie czekanie okazuje się najtrudniejsze. Mam wrażenie, że każda minuta jest mi wydzierana z osobna. Każda sekunda to mikroskopijny tykający krok zbliżający mnie na skraj przepaści. Nie podoba mi się ta myśl, włączam radio. Przez chwilę przysłuchuję się paplaninie pary prowadzących. Wyłączam.

Nadjeżdża mikrobus z Petrim za kierownicą. Towarzystwo ma za sobą długi dzień. Teraz deszcz już im nie przeszkadza, Petri nie zawraca sobie głowy wychodzeniem na zewnątrz ani tym bardziej nie chroni niczyjej głowy parasolem. W czasie gdy bus pustoszeje, on trwa na swym posterunku za kierownicą. Taina z kolei jest w ciągłym ruchu: kieruje Japończykami do Seurahuone z takim zaangażowaniem, jakby istniało jakiekolwiek ryzyko, że któryś z nich zgubi się na trasie liczącej sześć metrów.

Kiedy goście są wreszcie odstawieni, Taina otwiera drzwi samochodu i mówi coś Petriemu. Ten wysiada, przechodzi na drugi koniec pojazdu i otwiera bagażnik. Wyciąga skrzynki – jedną, drugą, trzecią – i zanosz je prosto na drugą stronę hotelu. To tam, o ile mi wiadomo, jest wejście dla dostawców. Odgaduję, a mówiąc ściślej, wiem, co kryją w sobie skrzynki. Nowa odmiana. Grzyby na obiad własnej roboty, jak zdradził mi obolały recepcjonista Ilari.

Sprawdzam godzinę. Taina spokojnie zdąży ze wszystkim, co zaplanowała: ugości i oczaruje całą ekipę. Nie mam nic przeciwko.

Czekanie nie wydaje się już równie wyczerpujące.

Dochodzi siódma.

Podano do stołu.

Sala restauracyjna jest elegancko oświetlona: światło jest matowe i ciepłe, dopełniają go płomienie porozstawianych z rozmysłem świec. Obrusy połyskują bielą, błyszczą zastawa, tworząc harmonijne połączenie z kompozycjami ze świeżych kwiatów. Wygląda na to, że restauracja jest zamknięta dla innych klientów. Zaproszeni goście zebrali się w grupkach na końcu sali, pod barem. Stoją, trzymając w dłoniach kieliszki z powitalnym drinkiem. Wystarczy rzut oka, by ocenić, że szampan jest z tych drogich.

Wszyscy Japończycy mają na sobie ciemne garnitury. Pięciu znam osobiście, a jednego nigdy wcześniej nie spotkałem. Taina w wieczorowej sukni z odsłoniętymi plecami wygłasza toast. Petri stoi na uboczu, w najbardziej zacienionym punkcie sali. Ma na sobie garnitur i krawat, a jego znamionująca wyczerpanie postawa zdradza, że nie przez przypadek wybrał takie miejsce.

Taina stoi twarzą do Japończyków, widzę tylko jej plecy. Unosi dłoń z kieliszkiem. Szampan pieni się, w szkle odbija się blask świecy od strony baru, głos Tainy jest podekscytowany, a przemówienie barwne. Angielszczyzna mojej żony to kwestia bardziej pasji niż znajomości języka. Taina mówi

o wieczornym menu, o nowym czasie, o tym, jak dobry smak łączy ludzi i umożliwia nawiązanie wspólnoty.

Sądząc po minach zebranych, Kakutama musiał opowiedzieć o naszym spotkaniu przynajmniej menadżerowi jakości, Yuharze. Tych dwóch stoi nieco na uboczu. Zwracają na moje nadejście równie niewiele uwagi, jakbym powrócił właśnie z toalety. Pozostali są bardziej zaskoczeni. Najmłodszy z gości, Taketomo kierujący logistyką, szepcze coś na ucho stojącemu obok Okimasie, który jest szefem marketingu i ma problemy z cerą. Hashimoto, dystrybutor z zaczątkiem garbu, opuszcza nieco dłoń z kieliszkiem i rozgląda się, jakby musiał coś przedsięwziąć, znaleźć na przykład drogę ewakuacyjną. Nieznany mi mężczyzna, Tsukehara, z głową podobnie jak Kakutama częściowo pokrytą siwizną, to jedyna osoba, która się uśmiecha. Uśmiech nie jest jednak przyjazny, wyczuwam w nim chłód, jakby zadowolenie z cudzego nieszczęścia. Również Petri mnie dostrzegł i odwrócił wzrok ku oknom, za którymi kryją się tylko narastające ciemności spowite deszczem.

Taina nie słyszy moich kroków. Jej plecy są opalone, w miękkim oświetleniu połyskują miedzią, podobnie jak włosy, które upięła w duży kok. Zatrzymuję się za nią w odległości wyciągniętych ramion.

Wypowiada jeszcze kilka słów, zanim zauważy, że spojrzenia słuchaczy nieco się z nią rozmijają. Człowiek czuje to, choć jeszcze nie wie, o co właściwie chodzi. Taina milknie na sekundę lub dwie i dopiero wtedy zerka za siebie... i krzyczy.

Jej oczy, okrągłe nawet w zwykłych sytuacjach, teraz przypominają spodki, są jak ślepiea dopiero co ustrzelonej

sowy. Usta ma otwarte, w ich kąciku dostrzegam kroplę wina lub śliny. Udaje jej się utrzymać w dłoni kieliszek, ale szampan wylewa się i na podłogę, i na jej czarne szpilki.

– Dobry wieczór państwu. Bardzo przepraszam za spóźnienie – mówię po angielsku. – Kochanie, wszystko już w porządku. Przeziębienie minęło.

Taina nie rozumie, co mówię. Albo tylko sprawia takie wrażenie. Moja uproszczona angielszczyzna na miarę drwala jest zrozumiała nawet dla pierwszoklasisty, ale sytuacja sama w sobie zdaje się Tainę totalnie przerastać. Robię krok w stronę baru, sięgam po lampkę szampana i nawiązuję z gośćmi kontakt wzrokowy.

– Mam nadzieję, że dzień spędzony w lesie był udany. – Unoszę kieliszek.

Po chwili wahania w ślad za moim ruszają kolejne kieliszki. Ten w ręce Kakutamy jako pierwszy osiąga wysokość wzniesionego toastu.

– Wkrótce zaczniemy się zajadać przysmakami. – Staję tuż obok Tainy, ciało przy ciele. – Jestem pewien, że moja żona nas zaskoczy. Pozytywnie!

Ostatnie słowo wypowiadam z naciskiem i podkreślam je dodatkowo mową ciała. Obejmuję Tainę w pasie.

Jej spojrzenie krąży od Petriego – który wycofał się do najciemniejszego kąta sali – poprzez zaproszonych gości aż do mnie. Na mnie tylko zerka. Udało jej się pozbierać, przymknęła usta, ich kąciki unoszą się w nędznej próbie uśmiechu, a ręka trzymająca kieliszek odzyskała stabilność. Ciało Tainy jest przy moim, gorące i mocne. Prawie już zapomniałem, co to za uczucie mieć żonę tak blisko siebie.

Miny zebranych są pełne oczekiwania. Rozumiem to. Wcześniej usłyszeli od Tainy, że już nie pracuję w branży. A oto jestem. Pokładam sporą nadzieję w dobre wychowanie naszych gości. Nie zaczną się teraz awanturować o stan rzeczy. Są tutaj, by degustować, być może chcą ubić biznes i na tym etapie wszystko musi być jasne. Do tego czasu możemy być uprzejmi i z uwagą śledzić rozwój sytuacji.

Wygłaszam krótką przemowę, w której serdecznie witam naszych gości, przybyłych do najpiękniejszego i najbardziej uroczego miasteczka na wschodnim wybrzeżu Finlandii. Mówię też, że pogłoski, jakobym wycofał się z branży, są mocno przesadzone. Wychwalam żonę, która dniami i nocami daje z siebie wszystko, wkładając w swą pracę zarówno duszę, jak i ciało. Na koniec przeproszam, że układ miejsc przy stole nieco się zmieni, pragnę bowiem usiąść obok żony. Wyczuwam na to zgodę, podobnie jak i na wszystko inne, co mówię. „Dla wszystkiego jest wytłumaczenie”, potakujemy sobie nawzajem.

Ilari, mój stary znajomy recepcjonista i jeden z najbardziej nieustraszonych wojowników z frontu antydrukarkowego, wchodzi do sali restauracyjnej przez drzwi od kuchni. Jedzenie gotowe – mówi. Kieruje swe słowa do Tainy, dostrzega również mnie i wita się braterskim skinieniem głowy. Powtarza swój komunikat Tainie, a jej udaje się wydobyć z siebie podziękowanie. Recepcjonista wychodzi, a towarzystwo pomimo barier językowych najwyraźniej rozumie, o co chodzi, czeka jednak oczywiście na zezwolenie. Spojrzenia kierują się na Tainę.

Cmokam ją w policzek, szepcząc równocześnie do ucha:

– Wiem, że mnie zabiłaś. – Jeszcze jedno cmoknięcie. – Wiem również dlaczego.

Patrzę na naszych gości. Uśmiechają się. Mój pokaz czułości wypadł tak, jak powinien. Inna rzecz, że Taina wygląda jak człowiek, który obudził się z najgorszego koszmaru i uprzytomnił sobie, że to wcale nie był koszmar.

– Moja żona serdecznie zaprasza wszystkich do stołu – mówię po angielsku.

Taina, jednocześnie sztywna jak kawał stali, ale też lejąca się jak plastelina, siada ostatecznie tam, gdzie ją prowadzę, w środkowej części długiego stołu. Zajmuję miejsce u jej boku. Po prawej mam Tainę, po lewej Okimase, naprzeciwko siedzi Kakutama. Po jego prawej stronie zasiada Yuhara. Po lewej, naprzeciwko Tainy, usiądzie nieznany mi Tsukehara.

Petri, którego miejsce zająłem, otrzymuje nakrycie na końcu stołu i pozostaje bez pary naprzeciwko. Siedzi twarzą do tylnej ściany, którą mógłby ujrzeć, gdyby tylko zechciał odrobinę unieść wzrok znad obrusa, i bokiem do okna, za którym widać jedynie strugi deszczu połyskujące w świetle latarni.

Kakutama opowiada o wyprawie do lasu. Twierdzi, że była interesująca, a wręcz ekscytująca.

Tymczasem Ilari nalewa nam białe wino. Jest najwytrawniejsze z wytrawnych, objaśnia, lekko kwaskowe, ze względu na długo utrzymujący się i intensywny posmak idealnie komponuje się z ekoprzystawkami... Cieszę się w jego imieniu. W taki sposób wypowiadają się ludzie poruszający się po własnej przestrzeni, w sektorze, którym zarządzają. Każdy z nas czegoś takiego potrzebuje.

Taina nadal nie odezwała się ani słowem. Jest blada. Chyba nigdy nie widziałem jej policzków bez śladu rózu czy opalenizny. Pytam, czy chciałaby się wypowiedzieć na temat przystawek.

– Co? – rzuca po fińsku.

Powtarzam pytanie. Ilari rozpoczął już podawanie głębokich talerzy.

– Zupa – mówi po angielsku Taina.

Ilari widocznie dostrzega, że jest przynajmniej w jakimś stopniu zestresowana, i z pięknym brytyjskim akcentem zdradza, że oto zjemy zupę z naturalnej gąski sosnowej, na której smak składają się oprócz świeżych po deszczu grzybów także ekologiczny rozmaryn z lokalnej uprawy oraz nieprzetworzona śmietana o najwyższym procencie tłuszczu, wytworzona z mleka szczęśliwych, swobodnie pasących się krów – które, miałbym ochotę dodać, uprawiają być może filozofię.

Dziękujemy Ilariemu, który ewidentnie jest z siebie dumny i bardzo zadowolony, że nadarzyła mu się możliwość prezentacji. Odchodzi do kuchni wyprostowany jak strzała. A my jemy.

Grzybowa ze śmietaną jest pyszniejsza niż wszystko, co miałem kiedykolwiek okazję jeść. Smak satysfakcjonuje także gości. Już po kilku łyżkach patrzymy sobie w oczy, wydając odgłosy uznania, i ponownie zanurzamy w szerokich talerzach duże ciężkie łyżki. Z wyjątkiem Tainy. Siedzi tuż obok mnie i tam też pozostanie, ale odnoszę nieodparte wrażenie, że przez cały czas próbuje się oddalić. W grę wchodzi być może ruch na skalę milimetrów, ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że Taina się odsuwa.

– To jest ta nowa odmiana? – pytam ją po fińsku.

Jej łyżka zatrzymuje się w połowie drogi między talerzem a ustami, gdzieś na wysokości bujnych piersi. Taina milczy.

– Czy chciałabyś nam wszystkim o niej opowiedzieć? – drążę, nadal po fińsku.

Przelatuje mi przez myśl, że chyba zeszywniała jej ręka. Przez chwilę trwa w powietrzu, zawieszona. Powierzchnia zupy na łyżce ani drgnie, zastygła jak woda stojąca. Po prostu tam tkwi. Wreszcie Taina odkłada łyżkę na talerz, robi to powoli. Nadal nie mówi; wygląda na to, że sztywność przesunęła jej się z ręki na twarz.

– To może ja coś powiem – proponuję.

Nie odpowiada. Nie wiem, czy to kwestia płomienia świec, czy tego, że ją zaskoczyłem, ale moim zdaniem wygląda trochę martwo.

Czuję na sobie wzrok Kakutamy i Yuhary po drugiej stronie stołu; prawie już zjedli zupę. Biorę do ręki nóż, pobrzękuje o kieliszek i głowy odwracają się ku mnie. Podnoszę się. Mówię po angielsku, że chciałbym wygłosić parę słów o tym, dlaczego tu jesteśmy. Będę w miarę swych sił mówić po angielsku, który jest naszym wspólnym językiem, wyjaśniam, ale od razu ostrzegam, że od czasu do czasu podeprę się także swoim językiem ojczystym.

Dostrzegam serdeczne skinienia. Zaczynam.

PO ANGIELSKU: Witajcie, przyjaciele.

PO FIŃSKU: Kochana żono.

PO ANGIELSKU: Dziękuję wam, że przyjechaliście tu, do Haminy, w tak liczny gronie. To dla nas wielka radość i zaszczyt.

PO FIŃSKU: Jesteś kurwą. Kurwą spod latarni.

PO ANGIELSKU: Sukces zawsze opiera się na współpracy. Potrzebujemy siebie nawzajem.

PO FIŃSKU: Kiedy zobaczyłem twoje gołe pośladki na Petrim, porzygałem się.

PO ANGIELSKU: Współpraca polega na tym, że obie strony robią wszystko, co w ich mocy. Dla nas oznacza to, że gdy tylko mamy do zaoferowania coś nowego, mówimy o tym wam, natychmiast i w pierwszej kolejności.

PO FIŃSKU: Niepojęte, że liżesz jaja kierowcy, ale to nie jest jeszcze wcale najgorsze.

PO ANGIELSKU: Dziś właśnie zobaczyliście, a teraz także po raz pierwszy spróbowaliście nowej odmiany, nowych matsutake, dzięki którym będziemy mogli osiągnąć razem wielki sukces. Już na podstawie samej zupy mam śmiałość stwierdzić, że tak smakuje najpyszniejszy grzyb świata, ale też... tak smakuje wielki sukces.

(Niewymuszone wybuchy śmiechu mojej publiczności, pełne zrozumienia skinienia głową).

PO FIŃSKU: Najgorsze są intrygi. Intrygi zwieńczone morderstwem.

PO ANGIELSKU: Ten dzień radości i święto naszego wspólnego zwycięstwa to równocześnie pewna możliwość. Możemy jeszcze bardziej zacieśnić współpracę, możemy ją uefektywnić. Drodzy państwo, mam dla was pewną ofertę, którą chciałbym teraz przedstawić.

PO FIŃSKU: Petri może cię pieprzyć, aż ci cipa uschnie na wiór. A ty możesz przykuć łańcuchem do łóżka tego kutasa bez mózgu i żyć z samego jebania. Takie rzeczy się zdarzają, coś takiego można wybaczyć, można to zrozumieć.

PO ANGIELSKU: Moja oferta jest taka, że zapewnimy wam więcej matsutake, lepsze matsutake, i zaczniemy rozwijać działalność w Japonii wspólnie, w samym Tokio. Mam do tego odpowiednią osobę.

PO FIŃSKU: Ale intrygowanie, działanie za plecami... tego po prostu nie mogę zrozumieć ani nie mogę zaakceptować.

PO ANGIELSKU: A o co proszę w zamian? O lojalność. O jednomyślność. O to, żebyśmy byli waszymi dystrybutorami matsutake przez następne pięć lat. Oto moja propozycja.

PO FIŃSKU: Trzeba było mi powiedzieć. Nie powinnaś była mnie mordować.

PO ANGIELSKU: Mam nadzieję, że jeszcze w dzisiejszy wieczór uściśniemy sobie dłonie, aby ją przypieczętować.

Rozglądam się wokół siebie, a potem patrzę prosto na Kakutamę, siedzącego vis-à-vis. Japończyk potakuje, unosi obie dłonie i zaczyna klaskać. Inni idą za jego przykładem. Potem obaj wstajemy, ściskamy sobie ręce ponad stołem. Towarzyszy temu kolejna porcja braw. Siadamy.

Wszystko dobrze się kończy.

I wtedy odgłos, jakby ktoś tuż przy moim uchu kropnął ze strzelby. Po tępym, drażniącym buczeniu następuje wytrysk, który w swej sile i natężeniu natychmiast przekracza prędkość zwiastującego go dźwięku.

Taina rzyga.

Przez ułamek sekundy wszystko zalega w powietrzu, jakby ktoś ciskał z wysoka wiaderkiem wypełnionym kaszą manną; łuk jest tym dłuższy i tym bardziej spektakularny, im więcej rzucający wkłada w niego siłę. A w tego pawia Taina włożyła

całą siebie: jej umięśniony tułów uderza naprzód w ekspresowym tempie; ruchem będącym czymś pomiędzy wyciskaniem sztangi z klaty a końcową fazą martwego ciągu, fazą rozrywającą żyły.

Jej usta otwierają się do granic możliwości, jak u dentysty, i powodowane tym samym bólem: policzki zaraz pękają, gardło rozerwie się na strzępy.

Dźwięk wydobywa się z samej głębi żołądka i płuc. To najbardziej atawistyczny odgłos, wydawany przez ludzkie ciało, mieszanina wrzasku wojownika i krzyku rodzącej, coś tak prymitywnego, że przenosi myślami do narodzin gatunku, a może jeszcze dalej, do Wielkiego Wybuchu, do niezmiernego gorąca i ciśnienia uniwersum.

A potem ciecz już się leje swoim jedynym możliwym torem odrzutowca. Jej koniec sięga świec i dopiero większa masa, następująca tuż za nim, zmiata wszystko ze swej drogi, gasi świece, zaciemnia stół. Masa, której ilości przekraczają prawdopodobną objętość żołądka Tainy, zdaje się nabierać podczas swego lotu coraz większej mocy, a kiedy wreszcie przekracza powierzchnię stołu, uderza o podłogę z mocą tajfunu.

Tsukehara być może widzi nadciągającą burzę, ale nie wierzy własnym oczom. Siedzi wyprostowany, lewa ręka na kolanach, prawa na stole. Jego talerz jeszcze przez chwilę jest pusty. Garnitur – elegancka czarna marynarka, biała koszula, zmysłowo połyskujący ciemny krawat – są jeszcze przez moment widoczne. Potem już nie.

Pierwszą zmianę widać na twarzy Tsukehary, dotychczas pozbawionej wyrazu. Wypełnia się. Jego garnitur zmienia barwę na jasny brąz o odcieniu śmietanowej zupy

z naturalną gąską sosnową. Talerz przed nim wypełnia się po brzegi. A sam Tsukehara w okamgnieniu zamienia się w bagiennika, istotę z czasów prehistorycznych ze skrzelami na plecach, która wyczołguje się z pramorza, by rozpocząć życie na ziemi. Właśnie tak się zachowuje – otrząsa się z wody. Widać, że koncentruje się tylko i wyłącznie na tym, by przetrwać, dotrzeć na ląd. Na tym, by poczuć ziemię pod nogami. Ręce szukają czegoś, czego mogłyby się uchwycić. Męczyzna wyrywa się, szarpie, pragnie żyć!

Po pierwszej fali następuje druga, ale na tym etapie Taina zaczyna się przechylać na bok. Zaraz się przewróci, wraz z krzesłem. W tej samej sekundzie, kiedy uderza o podłogę i z jej ust ponownie wystrzeliwuje strumień wymiotów, identyczna strzelba odpala także na drugim końcu stołu.

Odwracamy się i my, którzy wciąż jeszcze stoimy i których nie oblała salwa zjedzonej zupy, widzimy, jak Petri powtarza za Tainą jej dopiero co zakończony spektakl. Ale Petri ma do dyspozycji wielką przestrzeń: jego wymioty sięgają na środek sali.

Na tym etapie wszyscy podnosimy się, odsuwamy od stołu.
Nogi krzesel szurają o podłogę.

Ktoś krzyczy.

Pęka kieliszek.

Przybiega Ilari.

Z ust Petriego wydobywa się powietrze, ale pewnie coś jeszcze, również z jego drugiej strony.

Świece migoczą złamanymi płomieniami.

Pochylam się nad Tainą i widzę jej twarz: blada, sprawiająca wrażenie martwej. Podnoszę się trochę, pospiesznie odwracam i widzę, że także Petri jest na

podłodze. Rozpoznaję również jego minę. Tak wyglądałem wtedy, kiedy moje ataki już mijały, udawało mi się dotrzeć do łazienki, by umyć twarz. Takiego siebie widziałem w lustrze. Nie potrzebuję oficjalnej diagnozy, wiem, co stało się Tainie i Petriemu.

To jest powtórka z pierwszych objawów mojego zatrucia.

Ilari, uzbrojony w żółte gumowe rękawice sięgające prawie łokci, podtrzymuje wstrząśniętego Tsukeharę pod pachami. Zakładam, że Tsukehara jest raczej ogłupiały niż poszkodowany. Jego nogi zamieniły się jednak w rozgotowane spaghetti, Ilari musi się zdrowo namęczyć, ciągnąc go i usiłując równocześnie uniknąć dotykania mokrego jegomościa.

Taina i Petri leżą na kanapach w holu. Petri nie ma na sobie koszuli, zostały mu tylko spodnie od garnituru. Z jakiegoś powodu zdarł z nóg także skarpetki. Taina dostała od Ilariego dwa wielkie białe ręczniki i naprędce się nimi owinęła. Wygląda, jakby alkoholizowała się w najlepsze w jakimś spa. Najostrzejsza faza ataków minęła.

Opuściliśmy salę, która z wyglądu i zapachu przypomina miejsce awarii kanalizacji na wielką skalę. Fetor wymiocin uderza w nozdrza, drażni oczy, dzwoni w uszach, wywołuje odruchy wymiotne, a w końcu także same wymioty. Szef logistyki Taketomo nie przestaje wycierać sobie ust krawatem.

Uspokajam wszystkich po kolei. Wielokrotnie powtórzyłem gościom, że to wszystko nie ma związku z tym,

co właśnie zjedli, niczym nie muszą się martwić. Widzę, że zwłaszcza Kakutama bardzo chciałby mi wierzyć.

Tę sytuację można wyjaśnić – mówię, patrząc mu w oczy.

Stoimy w rogu holu, tuż przy recepcji. W cichym kącie nikt nam nie przeszkadza, możemy swobodnie porozmawiać.

Jak? – pyta Kakutama.

Nie mogę jeszcze o tym mówić – odpowiadam.

Nie dodaję, że nie mogę mówić, ponieważ sam jeszcze nie wiem, o co w tym chodzi. Do tej pory byłem przekonany, że Taina i Petri mnie otruli. Przemawiały za tym fakty – być może trochę naciągane – i wszelkie prawa logiki... przynajmniej z mojego punktu widzenia. W świetle tego, co wydarzyło się przed chwilą, Taina i Petri raczej nie mogli być sprawcami. Rzadko kto dokonuje skrytobójstwa, aby potem popełnić podwójne samobójstwo poprzez zarzycanie się w miejscu publicznym na śmierć.

Istnieje tylko jedna możliwość: zostali otruci, tak samo jak ja i w ten sam sposób. To z kolei oznacza, że muszę się skontaktować ze swoim lekarzem. Doskonale pamiętam, co mówił o pierwszej fazie zatrucia.

Proszę Kakutamę o dodatkowy czas i na jednym wdechu zapewniam go, że umowa, którą właśnie zawarliśmy, jest aktualna i że będę szanował jej ducha do swych ostatnich dni.

Czy z grzybami jest coś nie tak? – pyta mnie w sposób, na który nie można zareagować półprawdą ani tym bardziej fałszywie.

Nie – odpowiadam. Grzyby są najlepszej jakości i w tej kwestii nic się nie zmieni.

Kakutama patrzy na mnie badawczo.

Dobrze – stwierdza wreszcie. – Do tej pory zawsze mogłem ci zaufać i ufam również teraz. We wtorek wracamy do Tokio. Zakładam, że do tego czasu to wszystko... – ruchem głowy wskazuje hol, w którym na wpół przytomni Taina i Petri wydają z siebie różnorakie westchnienia, i chwyta się za nią obiema rękami – że to wszystko zostanie wyjaśnione, a nasza umowa w głównych założeniach omówiona.

Dziękuję mu. Sięgam po telefon i wybieram numer lekarza.

– Czy w pańskim samopoczuciu zaszła jakaś zmiana? – pyta.

– Nie w moim. Ale teraz dwie inne osoby mają te same objawy.

Milczenie.

– Te same? – upewnia się.

Wyjaśniam, że potrzebuję jego pomocy i lekarstwa, o którym wspomniał, że mogłoby na tym etapie jeszcze zadziałać. Mówię, że te dwie osoby przyjadą do niego – i tylko do niego – do szpitala za dwadzieścia minut.

– Tak się składa, że jestem o kwadrans drogi od szpitala.

– O nie! – rzucam. – Tak się składa, że będzie pan w szpitalu za pięć minut.

Jak trudno wyjaśnić komuś, że jeśli nie zrobi tego, co mu się powie, to umrze! A właściwie samo mówienie nie sprawia problemów, gorzej z reakcjami na moje wieści. Petri podrywa się jak oparzony, wrywa z donicy jukę i rzuca nią w Ilariego, który właśnie wrócił do holu. Recepcjonista uchyla się, a Petri wykrzykuje coś, czego nie mogę zrozumieć.

Widocznie całe ukrywane dotychczas napięcie wybuchło teraz w jednej siarczystej eksplozji: jego zdrada, współudział w zatopieniu ciała, nagłe zatrucie, świadomość, że pełni funkcję zabawki erotycznej. Taina patrzy na to wszystko z pozycji leżącej, z uniesioną głową. Nie mam innego wyjścia, niż pozwolić Petriemu na jego wariackie okrzyki, bo teraz muszę przecież wytłumaczyć Tainie, że zabiorą ją do szpitala, gdzie dostanie antidotum.

– Antidotum na co?

– Na śmierć – odpowiadam.

Muszę koniecznie wcisnąć ich oboje do samochodu, żeby jak najszybciej z nimi porozmawiać, i to bez obecności innych. Choćby z dwóch powodów: raz, że muszę zdobyć informacje, dwa, że w dalszym ciągu nie mogę dopuścić, by Tikkanen wmieszał się w moje sprawy. Nadal nie zamierzam spędzać czasu w jego dusznym pokoju, odpowiadając na enigmatyczne pytania.

Ktoś mnie zamordował, ktoś próbuje zamordować Tainę i Petriego. Nie mogę nie pomyśleć – ta refleksja pojawia się nagle i w sposób nieunikniony – że mógłbym pozwolić im umrzeć. Ale Taina i Petri zostali już ukarani, a ja odzyskałem grzybowy biznes i w dalszym ciągu zamierzam wyjaśnić kwestię mojego morderstwa. Potrzebuję do tego ich pomocy. Taina i Petri coś wiedzą. Jestem tego pewien, nawet jeśli oni nie zdają sobie z tego sprawy.

Petri jest kompletnie zdezorientowany, jego ciało wciąż jest silne, choć atak być może nieco je osłabił. Muszę doprowadzić kochankę żony do stanu umożliwiającego transport. Proszę o pomoc Kakutamę, Yuharę i Okimase – akurat ten ostatni zadziwiająco dobrze się trzyma. Ilari

wręcza nam kolejne ręczniki, owijamy w nie Petriego. W jednej chwili zamienia się w solidną paczkę białej frotté.

Oczywiście nadal wydobywają się z niego różnorakie odgłosy, ale teraz są to przede wszystkim ciche pomruki. Razem z Kakutamą, Yuharą i Okimasą przenosimy go do samochodu. Aby przywiązać go do tylnego siedzenia, potrzebujemy jeszcze jednego długiego obrusu. Potem sam wyprowadzam Tainę z holu, sadzam na miejscu pasażera i odjeżdżamy.

– Taina – mówię. – Ja miałem to samo na początku tygodnia. Te same objawy, ten sam nieprzyjemny początek. Ktoś za tym stoi. Zauważyłaś ostatnio coś podejrzanego?

Jakbym sam zamienił się w Tikkanena, którego za wszelką cenę próbuję unikać. Rozumiem jednak, że na moje pytanie nie jest łatwo odpowiedzieć; zwracam się przecież do osoby, która zaplanowała rewolucję w firmie, zdradziła mnie, złamała i obrzygała swoich potencjalnych partnerów biznesowych. Muszę doprecyzować:

– Masz w tym swój udział? W zatrutowaniu mnie?

Kręci głową.

– Wiesz, kto mnie zatrul?

Kręci głową.

– Wiesz, kto chciałby zatruc cię i tłumoka?

Kręci głową.

– Byłem pewien, że ty to zrobiłaś. Ale na to nie wygląda. Nie zatrulaś się, nie jesteś takim typem. Przed chwilą, gdy to się wydarzyło, pomyślałem, że może w grę wchodzi nasza świeża konkurencja. Ale nie sądzę. To znaczy jestem pewien, że nie. Oni za to nie odpowiadają. Mam o nich informacje z pierwszej ręki i wiem, że propagują działania

bardziej wprost. Woleliby już zaatakować mieczem albo uderzyć...

Petri wydziera się, a potem ryczy jak krowa. Zmieniam taktykę. Nie spuszczam wzroku z Tainy. O ruch uliczny nie muszę się martwić: to wieczór i jesteśmy w Haminie.

– Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej nasza trójka wydaje się nieprawdopodobna jako kandydaci do zabicia. Zamordowanie mnie jeszcze byłem w stanie rozumieć na tym etapie, kiedy sądziłem, że chcesz się mnie pozbyć. Z kolei z punktu widzenia konkurencji lepiej usunąć nas oboje. No, ale zostaje jeszcze ten półgłówek z tylnego siedzenia. Po co truć również jego? Nic toto nie potrafi, o niczym nie ma pojęcia. Tu chodzi o coś innego... Ale o co?

Petri skomle jak pies. A potem chyba płacze.

Taina wyciera sobie twarz rącznikiem.

– Nie wiem – odzywa się tak cicho, że z ledwością rozróżniam jej słowa.

– Czego nie wiesz? – pytam.

– Nic... Chciałam tylko... Czy ja umrę?

– Za chwilę spotkamy się z lekarzem i zobaczymy. Całkiem możliwe, że nie umrzesz.

Petri wydaje z siebie długi zdławiony jęk.

– Nie zrobiłabym czegoś takiego – mówi półszepem Taina.

– Nie zamordowałabym ciebie.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Oczywiście miło słyszeć, że żona mimo wszystko by mnie nie zabiła. Z drugiej strony to, że w ogóle jest o tym mowa, zdradza być może, że nie wszystko w naszym małżeństwie układało się jak należy.

– No więc – rzucam. – Pomyśl dokładnie o ludziach z naszego otoczenia. Kto miałby powód zatruwać najpierw

mnie, a potem ciebie i tę zdziwę?

– Petriego – protestuje Petri.

Taina najmniejszym gestem nie zdradza, że dosłyszała chrapliwe jójczenie z tylnego siedzenia. A potem coś mówi; coś, co nie daje mi spokoju.

– Nikt o nas nie wie.

– Czyli o kim? – pytam.

– O mnie i...

– O Petrim – dobiega z tyłu.

– O mnie i Petrim, i o wizycie Japończyków – ciągnie Taina.

– To była tajemnica. Nikt nie wiedział.

Obraca odrobinę głowę w moją stronę.

– To znaczy ty skądś wiedziałaś – dodaje.

Prowadzę energicznie i precyzyjnie, ale nie przekraczam dozwolonej prędkości. Minuty i sekundy są ważne. Deszcz stuka o przednią szybę; brzmi to tak, jakby tysiące małych palców bębniło o blat stołu.

– Jesteś całkiem pewna, że nikomu nie mówiłaś o swoich planach?

Taina milczy przez kilka dobijających mnie sekund.

– Wszystkiego nie powiedziałam nawet Petriemu – odpowiada wreszcie.

Dojeżdżam pod szpital. Skręcam za budynek, pod zadaszenie, jak umówiłem się z lekarzem. Już czeka. Towarzyszy mu kobieta, w której mimo cywilnych ubrań rozpoznaję pielęgniarkę starszej daty; kiedyś pobierała mi krew. Zatrzymuję się przed nimi. Lekarz wyjaśnia, że będzie potrzebował kogoś do pomocy. Zanim wyswobodzamy Petriego z tylnego siedzenia, wymuszamy na nim obietnicę. Ma w kącikach oczu łzy. Taina ma do lekarza tysiące pytań.

Ten nie chce obiecać zbyt wiele, ale mówi, że rokowania nie są najgorsze. A potem odwraca się jeszcze do mnie.

Zostaję za drzwiami, które już się zamknęły. Noc jest miękka, szumi tylko deszcz, wypełniając cały świat; spada z trzech stron, tworząc wokół zadaszenia nieprzeniknione ściany. Moja żona i jej kochanek o tym, co planują, nie mówili nikomu. Ale ja komuś powiedziałem o Tainie i Petrim.

21

Podwórze jest puste, ziemia miękka od deszczu i upstrzona kałużami. Lampa na elewacji naszej fabryki oświetla tylko przednie drzwi, a i te nie najlepiej. Próbuję w miarę możliwości unikać pułapek wypełnionych deszczem. Czuję wodę na twarzy, głowie, szyi, rękach. Odległość od samochodu do drzwi wynosi jakieś piętnaście metrów, a mimo to jestem mokry.

Wewnątrz zdejmuję marynarkę i przez chwilę czekam. Włączam światło i przechodzę do tego miejsca hali, w którym byłem, kiedy tamta myśl po raz pierwszy wpadła mi do głowy. Teraz w suszarni nie świeci się światło i niskie, miarowe szmery maszyn, pochłonięte sekundę później przez resztę szumów świata, początkowo nie przykuwają mojej uwagi.

Naciskam główny włącznik, ale nie uruchamiam maszyn. Sprawdzam tylko historię logowania. Żadnego od wiosny. Czyżbym źle słyszał, czy krążę całkiem po omacku? Przez chwilę się zastanawiam, po czym kieruję się do swojego gabinetu i włączam komputer. Odczekuję moment i parę razy klikam myszą.

Suszarni można używać zarówno manualnie, jak i cyfrowo. Cyfrowe użycie koduje się automatycznie na pulpicie sterowniczym suszarni, w jej rejestrze. Rejestrowanie manualne polega na naciśnięciu paru prostych włączników. W gruncie rzeczy użycie jakiegokolwiek większego urządzenia elektrycznego wpisuje się do Programu Kontroli Zużycia Energii. To dość skomplikowana nazwa na proste oprogramowanie, które kazałem zainstalować jakiś rok temu, żeby zmniejszyć koszty.

Suszarnia ma własny numer, który odnajduję wśród innych. Odkąd ostatnio była uruchamiana cyfrowo, ktoś włączył ją manualnie aż osiem razy.

Wracam do hali, otwieram drzwi suszarni i światło włącza się automatycznie.

Całe pomieszczenie wygląda właściwie jak wielkie skrzyżowanie domowego pieca i przechowalni utrzymanej w systemie regałowym. Suszarnia ma wysokość i szerokość samochodu osobowego, na ścianach przebiegają dziesiątki poziomów do suszenia. Wszystko wygląda tak, jak powinno. Na chybił trafił wyciągam jakieś dziesięć tac. Wszystkie są czyste.

Wpada mi coś na myśl i obchodzę maszynę dookoła. Zdejmuję obręcz chroniącą filtr i ostrożnie wyciągam go ze środka. Filtr ma średnicę czterdziestu centymetrów, jest nowy, biel aż błyszczący, dopiero co został zmieniony. Precyzyjna robota, myślę. Odkładam go na miejsce. Wracam do przedniej części suszarni, robię kilka kroków do tyłu. Po lewej stronie urządzenia widzę to, czego nieświadomie szukałem.

Pod tylną ścianą holu ciągnie się długi blat zarezerwowany dla pracowników na czas przerw. A właściwie nikt tego nie planował, po prostu tak wyszło ze względu na dostęp do wody. Na stole stoi ekspres do kawy, przed nim fotel, parę taboretów. Regał wypełniają kubki z tekstami i obrazkami, które mają być zabawne albo sympatyczne. Obok kubka z napisem *World's Best Granddad* stoi puszka z ciastkami.

O ile się nie mylę, ciastka pojawiły się mniej więcej w tym samym okresie, kiedy suszarnia została po raz pierwszy uruchomiona manualnie. Pamiętam swoją radość, kiedy je zobaczyłem także na stole w moim gabinecie. Spodobało mi się, że mogę je chrupać do kawy, wykonując prace biurowe. Na pytanie, skąd się bierze ich słono-słodki smak, słyszałem w odpowiedzi, że przepis jest tajemnicą, a rozmowa, co zresztą dość logiczne, przechodziła zwykle na takie kwestie jak niesprawiedliwe i niekonsekwentne zachowanie kobiet i odwieczna wojna płci.

Trzymam w rękach puszkę, w układance jest coraz więcej puzzli.

Zdaniem lekarza moje zatrucie spowodowały składniki pochodzące z natury. Ktoś je zebrał i użył do ich obróbki suszarni. Potem zostały zmielone i wymieszane z innymi składnikami. Ten sam ktoś piekł ciastka i przynosił je na mój róg stołu, a ja je zjadałem.

Pozostaje tylko jedno pytanie.

Dlaczego, Olli?

Gęsto zabudowane drewniane domy zamykają północną stronę ulicy Isoympyräkatu – która, jak wspomniałem, mimo okręgu w nazwie nie jest wcale okrągła. Najstarsze liczą ponad wiek; ich fundamenty to wielkie bloki kamienne, część domów jest pochyła, ale poza tym porządnie odrestaurowana, a część w stanie rozkładu. Budynek, w którym mieszka Olli, jest czymś pomiędzy.

Skąpe żółtawe oświetlenie, stare budynki obmyte obfitym deszczem, wąska uliczka i do tego parę wysokich drzew liściastych samoistnie uruchamiają maszynę czasu. Nic nie wskazuje na dzień dzisiejszy. Myślę, że gdybym teraz umarł i taki widok miałby pozostać w mojej głowie jako ostatni, nie wiedziałbym, czy umarłem w roku 1948, czy w 2006. Zastanawiam się także, czy z punktu widzenia zakończonego życia ma to w ogóle jakiegokolwiek znaczenie. Ludzie od zawsze umierają na masową skalę, prawie każdy dokonał żywota w czasie według niego niewłaściwym.

Dwa okna domu Ollego wychodzą na ulicę. W obu żaluzje są zasłonięte.

Podwórze zamyka płot z desek, furтка jest otwarta. Pod niewielkim zadaszeniem stoi zaparkowany czterokołowy quad.

Całe podwórze jest zarośnięte trawą, a teraz przede wszystkim ubłocone. Olli potrafi być może zbierać zasłonaki, trujące korzenie, owoce leśne i muchomory, potrafi je przetwarzać i umiejętnie zatruwać ludzi wokół siebie, ale mistrzem ogrodnictwa to on nie jest. W jednym z okien od strony podwórza żaluzje są częściowo uniesione. Najpierw myślę, że w środku wybuchł pożar, ale po chwili uprzytamniam sobie, że to włączony telewizor. Kolor

i natężenie światła zmieniają się nieustannie, z zewnątrz wygląda to tak, jakby w pomieszczeniu odbywała się dyskoteka.

Zamierzam już nacisnąć dzwonek do drzwi, kiedy dostrzegam błyszczącą od deszczu klamkę. Próbuje jej. Drzwi otwierają się miękko. Słyszę telewizor, trwa dobry moment, nim udaje mi się rozpoznać program: *Milionerzy*. Najwyraźniej ambicje Ollego nie dotyczą wyłącznie zabójstw.

Telewizor jest nastawiony tak głośno, że choć czuję pod stopami stuletnie deski podłogowe, nie słyszę ani jednego skrzypnięcia. W krótkim korytarzyku na wprost wejścia są drzwi do toalety, po prawej – do dwóch pomieszczeń; te dalsze, od strony ulicy, prowadzą chyba do sypialni. Pierwsze są uchylone i kiepsko tłumią dźwięki i światło. Tu niewątpliwie Olli ma swój salon.

Ktoś z występujących w programie odpowiada błędnie, publiczność w studio wydaje z siebie westchnienie rozczarowania, usta Ollego wypowiadają coś, czego nie mogę dosłyszeć. Siedzi, a właściwie leży w fotelu.

Salon jest odrobinę deprymujący, ale schludny. Meble z tych, które można otrzymać od poprzednich właścicieli, kiedy się wyprowadzają; boazeria na wysokość pasa i tapety tworzą toporną całość będącą przedziwnym połączeniem brytyjskiego szeregowca i fińskiej sauny. W sufitowym plafonie świeci stanowczo zbyt silna żarówka, która demaskuje zarówno cień grzyba na suficie, jak i najświeższe koty z kurzu, na stykach podłogi i boazerii.

– Olli, czy mógłbyś trochę ściszyć? – pytam.

Ręce wylatują mu z oparcia fotela, plecy prostują się, twarz tężeje, usta tworzą okrąg, a oczy zamieniają w znak

zapytania. Ale Olli trwa na swoim miejscu i wygląda jak George Clooney w młodszym wcieleniu.

– Jaakko – mówi.

– Wciąż wśród żywych – oznajmiam, rzucając mu w ramiona ciastko.

Nawet nie próbuje go złapać. Dopadł go stan zeszywnienia. Brązowe ciasteczko ląduje na jego szarych spodniach dresowych i przełamuje się na pół. Głowa Ollego pochyla się ku niemu powoli. Nie wiem, jak długo musi się przyglądać połówkom ciastka, aby zrozumieć, o co chodzi. Daję mu kilka sekund. Potem biorę ze stołu pilota i wyłączam telewizor.

Cisza najwidoczniej go przebudza; Olli podnosi na mnie wzrok. Wygląda na takiego Ollego, jakiego znam: szczerzy gość, albo odrobinę ociężały umysłowo, albo kryjący się ze swą mądrością – wciąż nie do końca zgłębiłem, jaki właściwie jest – i pomimo całej swej wiedzy o kobietach mających pewne zahamowania.

– Zatrujęm ich w twoim imieniu – mówi.

To nie do końca taki wstęp, jakiego być może oczekiwałem.

– Ich? – upewniam się.

– Tainę i Petriego – wyjaśnia. – Strzelali się jak króliki, chrupali jak...

– Olli – przerywam mu. – Najpierw otrujęm mnie.

Przez chwilę milczy. Patrzy mi prosto w oczy i wciąż sprawia wrażenie szczerego, uczciwego człowieka.

– Cóż, z tego powodu jest mi przykro.

Stoję w drewnianym domu mojego mordercy i patrzę mu w oczy.

– Jest ci z tego powodu przykro?

– Tak. – Kiwa głową, nadal bardzo przekonująco.

– W takim razie nie ma problemu – stwierdzam. – Wszystko jest w porządku. Wyraziłeś żal, więc sprawa jasna i mogę wrócić do domu, żeby sobie umrzeć.

Chyba zrobiłem się trochę nerwowo. Wciągam powietrze.

– Olli, jasna dupa – odzywam się już całkiem spokojnie. – Nie wiem tak naprawdę, czego się spodziewać. Ale skłamałbym, gdybym powiedział, że przeprosiny mogą tu coś załatwić.

Unosi ramiona. To powinien być zapewne gest wzruszenia ramion, ale trwa tak długo, że wygląda raczej na głęboką zadumę, którą wieńczy poczucie niepewności.

– To było niechący – mówi. – Poniekąd.

– Jak można niechący zbierać truciznę, suszyć ją, mieszać ze słodkim ciastem i robić z tego okrągłe, poniekąd, kurwa, pyszne ciasteczka?

Gdy pytanie zmierza ku końcowi, mój głos staje się coraz wyższy. Olli sprawia wrażenie, jakby się mnie bał.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy można coś takiego zrobić – tłumaczy. – Jak one działają... I czy w ogóle ktokolwiek będzie je jadł.

– Ja je, kurwa, jadłem.

– Ty jesz wszystko.

Kręcę głową.

– Najpierw mnie zabijasz, a potem krytykujesz moje nawyki żywieniowe!

Olli broni się gestem ręki.

– Nie. Wcale nie. Każdy może jeść, co chce, każdy ma prawo do swojego ciała, każdy...

– Olli – rzucam. Zwracam się do niego jak do psa.

Obaj milczymy. Olli patrzy przed siebie, potem zerka na mnie spod brwi.

– Ćwiczyłem się w pieczeniu. Tych ciastek. Nie sędzę, żebym miał jakieś inne opcje.

– Opcje w związku z czym? Albo nie pieczesz w ogóle, albo tylko ciastka z grzybów, które zagrażają życiu?

Kręci głową, powoli.

– Mówiłem ci, że mam za sobą trzy rozwody. Nie chciałem ich, ani jednego nie chciałem. Zawsze mnie babsztyl zostawiał. To ja byłem porzucany, taka jest prawda. Do tego zaręczyny, sześć razy w sumie. I zawsze to samo: każda kolejna mnie zostawiała. Ja nigdy żadnej. Nikt nie zniesie czegoś takiego! Ja też nie. Następna już mnie nie zostawi. Będę ją karmił ciastkami i ją zatruję. To jedyne rozsądne wyjście, zanim zdąży uciec, umrze. Kiedy jeszcze będzie szczęśliwa, kiedy oboje będziemy szczęśliwi. I wszyscy na tym wygrają.

Nie wiem, co powiedzieć. Olli znów na mnie patrzy.

– Przynajmniej Taina i Petri dostali, na co zasłużyli – odzywa się po chwili. Jego głos jest przypochlebny, próbuje mnie zwabić.

Znów kręczę głową.

– Są w szpitalu – wyjaśniam. – Jeśli to zatrucie jest dostrzeżone wystarczająco wcześnie, w najlepszym wypadku można je zatrzymać.

– No, ale ty przecież chciałeś, żeby oni...

– Być może tak powiedziałem, owszem, być może w ten sposób wyraziłem swoje uczucia. Ale to naprawdę nie oznacza, że chciałbym tego!

Na twarzy Ollego maluje się zaskoczenie. Nieklamane.

– Myślałem, że jesteście po tej samej stronie.

– Jak, do cholery, możemy być po tej samej stronie, skoro mnie zamordowałeś i zamierzasz mordować jeszcze kolejnych ludzi?

Olli wpadł w zadumę, zastanawia się albo nad moim pytaniem, albo nad czymś innym.

– Powiesz policji? – pyta ze wzrokiem utkwionym we mnie.

– A co proponujesz? Że policjantów też otrujemy? A potem pozostałych mieszkańców Haminy? A jak to wyjdzie na jaw, to resztę Finów? Będziemy wszystkich karmić ciastkami, aż nie zostanie nikt, kto by nas podejrzewał?

Olli nie odpowiada. Powtarza zagranie sprzed chwili: gapi się przed siebie i co jakiś czas pospiesznie na mnie zerka, ukradkiem. Kiedy wykonuje następny ruch, przychodzi mi na myśl, że zaraz zaatakuje. Ale nie o to chodzi. Olli próbuje się wydostać na zewnątrz, uciec. Odwraca się już w przejściu na korytarz, gdy uprzytamniam sobie, że muszę go złapać.

Nie zatrzymuje się, by włożyć buty. Taranuje drzwi. Stałem bliżej wyjścia, ale dopiero na schodach na zewnątrz osiągam pełne tempo. Olli zeskakuje schodek po schodku, by przejść do biegu, ale ja wykonuję sus z samego szczytu i łapię go w powietrzu.

Deszcz szumi, ziemia jest miękka i mokra. Pochłania moje kolano i łokieć. Pod plecami czuję coś w rodzaju przemoczonego, zdeformowanego materaca. Siłujemy się.

Chyba żaden z nas nie opanował filmowych walk na pięści, bo próbujemy tylko zdobyć jak najlepszą pozycję, by rozłożyć przeciwnika na plecy. Żaden z nas nie jest sportowcem wyczynowym ani nawet jego namiastką. Ja na dodatek dźwigam ze sobą utrapienia nadchodzącego końca;

natychmiast wpadam w zadyszkę, tracę oddech, a do tego zakwasy skutecznie uniemożliwiają mi wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Krawat pod szyją nie jest najlepszym gadżetem do zapasów; zaczynam rozumieć, dlaczego ludzie na ringu wbijają się w trykoty.

Okręcamy się i ciężko dyszymy, nasze ruchy są powolne, chociaż twarze mamy zwrócone do siebie i wdychamy sobie powietrze prosto w nosy. Co jakiś czas niemal już stoimy, uprawiamy zapasy w pozycji wertykalnej. Potem znów padamy na ziemię i tarzamy się w błocie. Nic już nie widzę. W oczach i ustach mam pot, ziemię i deszcz.

Wreszcie padamy na ścianę szopy. Obok piętrzy się kupa gratów, wśród nich kawałek deski o długości metra. Udaje mi się ją chwycić w chwili, gdy Olli oplata mi ręką szyję.

Stoi tuż za mną, przyciska tak mocno, że kark omal mi nie pęka, a kiedy mnie unosi, mam wrażenie, że głowa odpada mi od barków. W zalanej deszczem nocy zaczynam dostrzegać dziwne, intensywne światło. Stawiam wszystko na jedną kartę: uwalniam obie ręce, chwytam deskę i zamachuję się nią w powietrzu wszystkimi siłami, które mi jeszcze pozostały.

Uścisk na mojej szyi słabnie na tyle, że udaje mi się wydostać. Obracam się i uderzam ponownie, teraz z boku. Deska trafia Ollego w ucho; słycać plask – strzeliłem liścia stulecia. Olli unosi lewą rękę na wysokość głowy, jakby chciał lepiej słyszeć. Kołysze się z jednej strony na drugą, nogi odmawiają mu posłuszeństwa, na próżno próbuje znaleźć oparcie to z lewej, to z prawej.

To jest moja chwila.

Odwracam się, otwieram drzwi szopy, robię ponowny obrót, a potem chwytam Ollego za pierś i zanim udaje mu się skoordynować ruch ręki, by mnie złapać, porywam go za sobą do tańca; wykonujemy dwa piruety i już jesteśmy w szopie. Zrzucam Ollego na betonową podłogę i rozglądam się.

Światła jest niewiele: przebłysk żółtawej poświaty samotnej latarni ulicznej zza płotu, wspomnienie lampy oświetlającej korytarz w domu, w którym zostawiliśmy otwarte drzwi. Dostrzegam tylko polana na opał i inne materiały z drewna, żadnej siekiery, żadnych narzędzi. Zostawiam Ollego na ziemi, wychodzę i zamykam za sobą drzwi. Przez chwilę zastanawiam się, czym zaryglować wejście.

Klucze do quada znajduję w dzbanku z logo whisky, stojącym na stoliku w korytarzu. Uruchamiam pojazd, zajeżdżam powoli pod szopę, pod same drzwi, lekko uderzam i wyłączam silnik. Olli jest uwięziony.

Deszcz nadal szumi, jestem kompletnie przemoczony. Kiedy zdejmuję ręce z kierownicy, czuję się tak, jakbym wypuścił z uścisku także własną świadomość. Zastanawiam się, gdzie zostawiłem telefon. Prawdopodobnie w samochodzie. Muszę zadzwonić po kogoś, kto odbierze Ollego. Po jakiegoś przedstawiciela władzy. Tikkanena.

Wiem, że idę, ale nie czuję tego. Tworzę całość z deszczem, z wodą wsiąkającą w ziemię, tracę swój stan skupienia; myślę, że umieram, naprawdę umieram, to właśnie ten stan, nie odczuwam, że dotykam drzwi samochodu, nie jestem pewien, czy do niego wsiadłem, czy nadal zostaję na zewnątrz, nie wiem, czy uruchamiam silnik, czy po prostu siedzę i czy to, na

czym zaciskam palce, jest kierownicą czy czymś innym. Moje oczy zamykają się, nie jestem już na Isoympyräkatu, nie jestem w Haminie, w żadnym miejscu, w którym obowiązuje jakaś geografia. Jestem ponad i jestem wolny, a równocześnie połączony ze wszystkim, zarówno nieważki, jak i solidnie przymocowany. Lecę i unoszę się; szybuję i leżę.

CZĘŚĆ III
MIŁOŚĆ

1

Ktoś uchyla wieko trumny. Właśnie teraz, gdy tak przyjemnie sobie umarłem. Kiedy po wszystkich męczarniach mogę wreszcie odpocząć. Ciekawe, że na tym świecie człowiek nie może nawet dokonać w spokoju żywota; ktoś decyduje za niego nawet w tej sprawie. Może to jedno z wiecznych praw uniwersum: Nigdy nie robisz niczego dobrze i inni zawsze wiedzą lepiej, jak powinienesz wszystko robić, łącznie z umieraniem.

Światło napiera przez powieki, jestem rozbudzony, zanim otwieram oczy. Przez dłuższy czas mrugam, nim uda mi się cokolwiek zobaczyć. Najpierw widzę tylko połyskujące światło, rozedrgane błyski. Stopniowo wyłaniają się kształty: wielki dąb, płot z jasnobrązowych desek, wąska droga, drewniany budynek w radośnie żółtym kolorze.

Oddycham ciężko. Nie mogę przełknąć śliny; usta są tak suche, że ich nie czuję, boli mnie gardło. Mój garnitur wygląda tak, jakbym się wytarzał podczas deszczu w błocie. Jeśli pomnożyć najgorszego kaca przez sto, to wynik musi być taki. Lewa ręka zwisa mi bezwładnie. Drugą trzymam na piersi. Klucz jest w stacyjce. Niezbyt rozumiem, co robię akurat tutaj, właśnie teraz. Z jakiegoś powodu pierwszy

przychodzi mi na myśl quad; nigdy takim nie jechałem. Potem przypomina mi się reszta, również to, co miałem zrobić.

Znajduję telefon w plastikowym schowku pomiędzy siedzeniami. Biorę go do ręki, by zerknąć na ekran, ale ruch jest zbyt gwałtowny i omal nie tracę przytomności. Usiłuję otworzyć okno, ale lewa ręka nie współpracuje. Próbuję prawą; świeże powietrze jest jak woda, którą łapczywie łykam. Ponownie sprawdzam ekran komórki.

Sądząc po godzinie i ilości światła, jest poranek. Sanni próbowała do mnie dzwonić sześć razy. Nie słyszałem, spałem. Albo byłem nieprzytomny. Oprócz tego napisała do mnie trzy wiadomości, ostatnią zaledwie kilka minut temu.

Pierwsza:

Jaakko, co teraz? My w drodze do Ihamaa. Asko i Tsukehara to najwyraźniej starzy znajomi. O coś im chodzi. Wszyscy Japończycy też są tutaj. Coś tu się wydarzy. Sanni.

Druga:

Jaakko, to nie wygląda dobrze. Asko nie przestaje się na mnie gapić. Tsukehara wydziera się po japońsku. Nie wiem, o co chodzi. Dziwne uczucie.

Trzecia:

Idzie Asko

Zajeżdżam po dwie butelki półtoralitrowej coli. Jedną wlewam sobie do gardła zaraz po wyjściu z kiosku. Większość zawartości rozbryzguje mi się na brodę, koszulę i krawat, który wielokrotnie już luzowałem. Zimny, słodki napój nigdy wcześniej nie smakował równie dobrze; dokładnie wiem, co oznacza gaszenie pragnienia. Miałem usta jak pieprz, teraz wracają do życia. Gardło początkowo się broni, wykrztuszam napój, potem mogę pić.

Deszcz na chwilę ustał, niebo jest szare i ciężkie. Jadę tak szybko, na ile tylko starcza mi odwagi, i wlewam w siebie kolejne porcje. Lexus reaguje posłusznie, kiedy naciskam pedał gazu. Na długich pustych prostych prędkość dochodzi prawie do dwustu. Próbuję dzwonić do Sanni. Nie odbiera. Sprawdzam w telefonie kierunek. Google szacuje, że dojadę na miejsce w ciągu osiemnastu minut.

To długie minuty. Myślę i staram się nie myśleć o tym wszystkim, w co ją wplątałem. Skoro pomocnicy Aska są gotowi na wszystko, co możliwe i niemożliwe, to do czego jest zdolny ich szef? A jeśli jego gapienie się ma związek z tym, co Sanni w najlepsze robi – zdradza mi, co tam się dzieje? Co Asko może jej zrobić? I w jakim stanie ducha jest jego znajomy, Tsukehara, którego obrzygała Taina? Czy Asko już wie o losie Juhaniego i miecza? Jeśli tak, to jak zareaguje? Jeżeli plany Aska i Tsukehary są zagrożone, to jak oni to odbiorą?

I jaki jest ten ich plan?

Nie mogę przestać myśleć o Sanni, o jej głosie, o świeżo rozbudzonej pasji, o jej ładnym salonie, o tym, jak ona się ze mną droczy. Myślę o niej także wtedy, kiedy myślę o tym, że teraz muszę przestać o niej myśleć. Zwłaszcza wtedy.

Ostatecznie przemierzam całą drogę w jedenaście minut. Ihamaa to tylko nazwa miejsca, żadna wieś ani nawet skupisko domów. Tam gdzie mapa wskazuje punkt docelowy, jest jedynie owalne miejsce do zawracania. Po prawej stronie rampy stoją dwa pojazdy. Jeden z nich to minibus. Zatrzymuję lexusa za nim, wysiadam z samochodu i rozglądam się.

Najpierw sytuacja wygląda beznadziejnie. Potem odliczam minuty wstecz. Zakładam, że towarzystwo zbierało się przed wyjściem przez co najmniej pięć minut. To wyklucza prawą stronę, bo przejście przez pola i rowy aż do skraju przeciwległego lasu zajęłoby im więcej czasu. Gdyby wybrali ten kierunek, musiałbym ich jeszcze widzieć. Przechodzę więc na drogą stronę ulicy i nurkuję do lasu po lewej.

Jest duży, ale panuje w nim cisza. Jeśli ktoś odezwałby się odrobinę głośniejsze, dosłyszałbym go. Kiedy po lesie chodzi cała grupa, pod butami trzaskają gałązki, gałęzie uderzają w twarz tego, który maszeruje jako drugi lub kolejny, rozlegają się protesty, co jakiś czas ktoś przywołuje wszystkich w jedno miejsce. Przez dłuższą chwilę idę, wreszcie zatrzymuję się i nadstawiam ucha. Nic. Znow idę. Zatrzymuję się. Nasłuchuję. Idę. Zatrzymuję się. Idę. Zatrzy...

Dźwięki obcego języka w połączeniu z faktem, że dobiegają z polany, na którą właśnie miałem wejść, sprawiają, że rzucam się na ziemię. Nie wiem, o czym mówi Tsukehara, ale brzmi jak ktoś, kto nie żartuje.

Unoszę ostrożnie głowę. Polana jest dość duża. Ma kształt prostokąta, a jeśli przyrzeć się uważniej, jest podzielona na mniejsze prostokątne części. Pomiedzy nimi przebiegają ścieżki; na jednej z nich widzę ich wszystkich. Stoją

w szeregu, plecami do mnie; tylko twarze Aska i Tsukehary skierowane są w moją stronę. Sanni stanęła w nieznacznym oddaleniu od reszty. Nie patrzy na Tsukeharę, spuściła wzrok. Asko sprawia wrażenie, jakby się w nią wpatrywał, w milczeniu jej groził. W promieniach porannego słońca dostrzegam coś połyskującego, długi błyszczący przedmiot, który Asko trzyma w lewej ręce opuszczonej na udo.

Nadchodzi jego kolej na przemowę.

Mówi po angielsku lepiej niż ja. Tsukehara tłumaczy.

Zaczynam rozumieć, o co chodzi i dlaczego Asko był tak bardzo pewien zwycięstwa.

Plan jest genialny. Mogą zaferować – w cenie korzystnej jak żadna inna i w ilościach większych niż kiedykolwiek wcześniej – wyhodowane w lesie dzikie ekogąski sosnowe. Które, jeśli zachować precyzję, nie mają z tą nazwą nic wspólnego. Nie rosną w lesie, tylko na polanie, nie rosną też dziko ani nie są ekologiczne, bo nawozi się je chemią.

W grę wchodzi oszustwo, ale o tym Asko nie mówi. Natomiast ja powiem, bo to obraza, to osobista obraza wymierzona we mnie i całą moją branżę! To lekceważenie, zdrada, zdrada ludzi i zasad!

Wbiegam na polanę, ku tym, którzy obracają się teraz w moją stronę.

Nie wiem, w co się pakuję, to fakt. Ale czyż nie taka jest natura życia, całe jego przesłanie? Nawet w najlepszym wypadku wszystko to tylko próby i błędzenie po omacku. Mam dobre zamiary, a mój najważniejszy cel to chronienie Sanni. Nie chcę, by Asko w jakikolwiek sposób groził jej sztyletem czy nożem – zakładam, że w grę wchodzi jedno lub

drugie, nie wygląda mi to na miecz. Biegając do Aska, przez cały czas krzyczę i rzucając się na niego.

2

Słyszałem kiedyś powiedzenie, zgodnie z którym powinniśmy żyć tak, jakbyśmy mieli umrzeć jutro. Śmiem twierdzić, że moja wersja jest lepsza: Żyj tak, jakbyś umierał teraz. Właśnie tak obecnie żyję. Nie ma się czego bać. Życie jest przez cały czas czymś nowym, każda chwila to przygoda, kiedy gałązki z trzaskiem przełamują mi się pod nogami, ziemia dudni, las wygląda, jakby dziko się trząsł, a wrzask wydobywający mi się z gardła brzmi groźnie nawet w moich własnych uszach. Trzy litry amerykańskiej coli w moim brzuchu, ciemny garnitur sztywny od stwardniałej gliny i błota i przemoczone do ostatniej nitki, uciskające mnie w stopy buty ze sztucznej skóry nie tworzą w sposób naturalny optymalnych warunków do podejmowania jakiegokolwiek ataku – ale nie zatrzymuję się.

Z min zebranych widzę, że tego się nie spodziewali. Tsukehara jest tak wściekły, jakby za chwilę miał wybuchnąć na miliardy atomów. Kakutama z kolei zachowuje zadziwiający spokój. Odnoszę wrażenie, że przyglądanie się mojemu najściu budzi w nim wręcz zadowolenie. Na twarzach pozostałych malują się w różnym natężeniu zdumienie i chęć zadania cisnących się na usta pytań.

Zaskoczenie Sanni sprawia, że coś w moim sercu wywija koziółka. Nie myliłem się co do niej.

A Asko... Nigdy go takiego nie widziałem. Gdybym powiedział, że zmienił się w myśliwego, byłoby to bagatelizowaniem sprawy. Jest drapieżcą. Zabójcą.

Przedziera się między pozostałymi, biegnie w moim kierunku i unosi rękę z nożem. Nie wiem, jak to możliwe, że za sprawą ruchu ostrze zaczyna się wydłużać, ale wówczas dostrzegam ciśniętą na ziemię pochwę. To nie jest nożyk do grzybów! Pochyliam się, chwytam z ziemi solidną gałąź sosnową. Być może to sprawa cukru, kofeiny, adrenaliny, zakochania, wściekłości; być może to tkwiąca we mnie głęboko potrzeba obrony honoru grzybowego biznesu; poruszam się zwinniej i szybciej niż przez cały tydzień.

Zbliżamy się do siebie jak bohaterowie średniowiecznego turnieju rycerskiego. Asko wyraźnie stracił panowanie nad sobą. Pozwala nienawiści eksplodować – i dobrze. Ja tymczasem usiłuję znaleźć dobry uchwyt dla mojej gałęzi i udaje mi się. Ściskam konar ze wszystkich sił.

Asko zbliża się jak w filmach kung-fu, kiedy ujęcie odtwarzane jest w zwolnionym tempie i każdy gest oraz najmniejszy nawet ruch jest pokazywany osobno. Widzę jego rozwścieczoną, stężałą z gniewu twarz, ostrze unosi się, błyszczący, czubek zbliża się jak igła... Gdyby mnie teraz trafił, przeszyłby mnie na wskroś jak balon albo jabłko. Asko natęża się, ja robię to samo.

Potem, jak w filmie, jesteśmy w powietrzu.

Nóż Aska błyszczący, połyskuje w nim promień słońca, stal skrzy, odbija blask jak lustro. Wyciągam przed siebie rękę ściskającą gałąź. Las jest bezgłośny, polana tworzy przestrzeń

ciszy. Ludzie za Askiem zastygli w miejscu jak słupy soli. Kiedy wykrzywia twarz, widzę jego zęby. Te białe zęby przesłonięte nożem przywodzą na myśl paszczę rekina. Być może Asko zamierza właśnie coś krzyknąć, ale nie zdąży.

Moja broń jest dłuższa niż jego nóż i to przesądza o wszystkim. Gałąź z porażającą siłą uderza go między nogi i Asko wygląda, jakby przełamywał się wpół już w powietrzu. Nóż wypada mu z rąk i przelatuje mi obok twarzy niczym kometa.

Równie rozstrzygający jak długość gałęzi okazuje się mój sposób uchwytu. W ucisku zawarłem całą siłę, jaką w sobie mam. Asko wydaje z siebie przeciągły odgłos: tak wyje człowiek, który traci dech i którym targa niewyobrażalny ból.

Upadamy na ziemię. Asko zwija się instynktownie w pozycję embrionalną i zakrywa dłońmi swoje skarby rodowe. To oczywiście tylko gest, instynktowny ruch, który nie zdoła już zatrzymać uderzenia. Skowyt Aska nie ustaje, ale teraz zmienia naturę. Przedziera się do niego na czworakach i siadam na nim okrakiem; ryk przeistacza się w łzawy jęk. Nie jest już dla nikogo zagrożeniem. Zamierzam odwrócić się w stronę pozostałych, a zwłaszcza do Sanni; może uśmiechnę się do niej uśmiechem zwycięzcy – ale dzieje się inaczej.

Wściekłość Tsukehary jest w zasadzie zrozumiała. Przemierzył osiem tysięcy kilometrów, by przekonać współnika do zawarcia całkiem nowej umowy o dostarczenie grzybów „autorstwa” Aska – partnera biznesowego, z którym najwyraźniej łączyła go dłuższa wspólna historia. Ale choć liczył na sukcesy i dowody uznania, zalała go fala wymiocin, jego plan został zniszczony, a współpiskowiec staranowany

do nieprzytomności. Nie takie rzeczy mogą wyprowadzić człowieka z równowagi.

Tsukehara ma zwinne nogi, jego drobne ręce są jak ptasie skrzydła. Omija mnie i Aska, chwytając z ziemi nóż i rzuca się do ataku. Z wściekłości prawie zamknął oczy, wrzeszczy coś, jakby na wpół płakał. Nie mam czasu szukać swojej gałęzi, nie wiem, gdzie się podziała. Tsukehara jest nade mną i właśnie ma wbić mi przez czaszkę ostrze, kiedy cały las zaczyna dudnić. Mam wrażenie, że równocześnie upada wiele drzew.

Japończyk zastyga w bezruchu. A potem zgina się jak walący się budynek. Chwytając się oburącz za prawe udo, na którym wyrasta ciemnoczerwona plama. Zarówno Tsukehara, jak i Asko jęczą; ich gardła wydają z siebie nieustające głębokie lamenty.

W naszą stronę zmierza z bronią w ręce podkomisarz Tikkanen.

EPILOG

Jej ręka jest ciepła i drobna, przez chwilę ściska moją dłoń, potem uścisk słabnie. Sanni lada moment zaśnie. Nastaje poranek, chmury są białe jak na komiksowym rysunku, niebo jest idealnie błękitne. Dobrze mi. Nie wciągam nawet brzucha, bo i po co. Sanni widziała mnie bez koszuli. Widziała mnie też bez spodni. Wie, jak wyglądam, wie, kim jestem. Przy pierwszej możliwej okazji wszystko jej opowiedziałem.

Najpierw musiałem poinformować Tainę, że chcę rozwodu. Nadal leżała na szpitalnym łóżku, ale już w dużo lepszej formie. Nasza rozmowa nie trwała długo. Chciałem powiedzieć jej też coś miłego, więc podziękowałem za jedzenie. Obiecałem, że nigdy nie zapomnę, jak dobrze jadłem przez te lata. Nie dodałem, że do wspomnień zakradł się oczywiście także pewien rozpoznawalny niesmak, ale to właściwie nic takiego w obliczu wszystkich przygotowywanych przez nią smakołyków. I kiedy po kilku minutach pogawędki oświadczyłem, że to by chyba było na tyle, Taina skinęła tylko głową. Dodała jeszcze, że ona i Petri nie przeprowadzą się razem do Helsinek. Petri woli zostać w Haminie. Nie podał przyczyny ani w ogóle specjalnie wiele

z nią nie rozmawiał. Taina uważa, że wszystko przez to, że zbyt dużo razem przeżyli w zbyt krótkim czasie. Częściowo się z tym zgadzam.

Asko nie został oficjalnie o nic oskarżony. Ale po ujawnieniu podejrzenia o zabójstwo sprzed kilku dekad trudno mu się dokądkolwiek ruszać. Wśród ludzi z branży stał się persona non grata. Zamierzał wkraść się do naszego świata za pomocą oszustwa, a takich rzeczy się nie zapomina. W branży grzybowej coś takiego równe jest zabójstwu – masz dożywotnio przesrane.

Ollego znaleziono w szopie. Tikkanen go stamtąd zabrał. Olli nie stawiał oporu. Znów będzie się żenił. Narzeczona, póki co, jest bezpieczna: odsiaduje właśnie wyrok w żeńskim więzieniu w Hämeenlinnie.

Raimo pytał, co stało się z jego sauną, kiedy jechał do domu wraz z żoną, zaatakowaną przez norowirusa. Odniósł wrażenie, że z moją techniką saunowania jest coś nie tak. „Trzeba się nieźle nagimnastykować, żeby w ścianie pojawiła się dziura, a z podłogi oderwały deski” – stwierdził. Powiedziałem mu, że się poślizgnąłem. Nie wspomniałem ani słowem, co znajduje się za budynkiem sauny. O tej porze roku trawa szybko rośnie.

W związku z powyższym Juhana nadal jest zaginiony. Tikkanen tylko długo mi się przyglądał, kiedy w odpowiedzi na jego pytanie oświadczyłem, że moim zdaniem Juhana często dawał się ponosić uczuciom i najmniejszy drobiazg mógł go rozpalić do czerwoności.

Suvi nie pracuje już u nas na pół etatu. Została dyrektorem finansowym naszej firmy. Nigdy nie nawiązałem do naszej wcześniejszej rozmowy.

Tikkanen uratował mi życie. Wielokrotnie mu dziękowałem, a on równie często zwracał uwagę, że ja z kolei swoją natychmiastową reakcją uratowałem życie dwóch osób. To prawda. Siebie nie mogłem uratować. Ale może jeszcze mogę. Może człowiek żyje, chociaż umiera. Może coś z niego zostanie, duch czy myśl, coś, cokolwiek.

Nasza firma ma się lepiej niż kiedykolwiek. Na Kakutamie szczególne wrażenie zrobił fakt, że dla jej dobra byłem gotowy poświęcić siebie, że walczyłem na śmierć i życie o naszą współpracę. Powiedział, że zawsze będzie szanował mężczyznę, który z jedną gałęzią w ręce stawia się doświadczonemu użytkownikowi ćwierćmetrowego noża sashimi. Po fakcie pogratulowałem sobie, że udało mi się wysłuchać opowieści Kakutamy na temat długości i jakości noża, nie tracąc jednocześnie przytomności.

Sanni zbudziła mnie do życia. Na tyle różnych sposobów! Chcę mieć ją w ramionach, chcę jej za to wszystko dziękować. Pragnę jej powiedzieć, że kocham ją ze wszystkich sił, każdą żyjącą we mnie komórką. Oczywiście nie wyzdrowieję, niedługo umrę. Ale to akurat dotyczy nas wszystkich, nawet tych, którzy sądzą, że będą żyć wiecznie.

Sanni otwiera oczy. Uśmiecha się do mnie.

– Mówiłeś coś? – pyta.

Kręcę głową, całuję jej włosy delikatnie. Wkrótce zasypia.

Na ekranie pojawia się informacja, że za trzy godziny wylądujemy w Tokio. Niebo za oknem jest błękitne. Lecimy ku wschodzącemu słońcu.

1)

Neuvoton (fin.) – bezradny. ↵

Spis treści

Strona tytułowa	2
Karta redakcyjna	3
Spis treści	4
O książce	6
O autorze	8
Dedykacja	9
Motto	11
CZĘŚĆ I. ŚMIERĆ	12
1	13
2	21
3	27
4	37
5	43
6	50
7	57
8	64
CZĘŚĆ II. ŻYCIE	71
1	72
2	79
3	89
4	94
5	101
6	111
7	123
8	131
9	146

10	154
11	163
12	180
13	194
14	213
15	225
16	241
17	255
18	267
19	276
20	288
21	296
CZĘŚĆ III. MIŁOŚĆ	308
1	309
2	315
EPILOG	319